

JACK HIGGINS

Modlitwa Za Konających

Rozdział I FALLON

Kiedy wóz policyjny wyłonił się zza zakrętu, Fallon instynktownie cofnął się do najbliższej bramy? Odczekał parę minut, po czym podniósł kołnierz i ruszył przed siebie. Zaczynało padać.

Szedł w stronę doków. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach granatowego trencza. Niewysoki, nie więcej niż pięć stóp i cztery lub pięć cali, zdawał się płynąć raczej, a nie stąpać, trzymając się przez cały czas zacienionej strony ulicy-rzeki dobiegało ponure buczenie syreny wpływającego do portu statku, przywodzące na myśl groźny ryk jakiegoś prehistorycznego zwierza, który właśnie wynurzył się zza bezkresnych moczarów dawno zaginionego świata. Tak, pomyślał, statki mają coś z dinozaurów - są równie samotne w obcym im już świecie, który niedługo zachowa po nich jedynie wspomnienie. Dokładnie tak samo myślał teraz i o sobie.

Na końcu prowadzącej do doków ulicy znajdował się magazyn z szyldem „JANOS KRISTOU - importer”. Fallon otworzył drzwi w bramie i wszedł do środka.

Wewnątrz było ciemno, tylko na samym końcu hali płonęło słabe światło. Poszedł w jego kierunku, mijając sterty beli i skrzyń wszelkich rozmiarów. Pod gołą żarówką wiszącą nad drewnianym stołem siedział i pisał mężczyzna. Zapełniał właśnie starannym pismem strony księgi buchalteryjnej, która wyraźnie pochodziła nie z tej epoki. mężczyzna był prawie łyśy, jedynie za uszami sterczały pozlepiane strąki resztek siwych włosów. Okryty był starym kożuchem, ręce chronił wełnianymi rękawiczkami.

Fallon zbliżył się doń ostrożnie. Nie podnosząc głowy stary zapytał:

- To ty, Martin?

Fallon wszedł w krąg światła.

- Witaj, Kristou - powiedział cicho.

Obok na podłodze stała skrzynka z odbitym wiekiem. Przybysz podniósł je, sięgnął i wydobyl pistolet maszynowy typu Sterling. Broń musiała być nowa - pokrywała ją jeszcze gruba warstwa smaru.

- Nadal w branży, co? Dla kogo ta zabawka? Dla Izraela, czy dla Arabów? A może po raz pierwszy w życiu opowiedziałeś się po czyjejs stronie?

Kristou przechylił się ponad blatem stołu, wziął karabin z jego rąk i wrzucił go z powrotem do skrzynki.

- Nie odpowiadam za to, że świat jest taki, jaki jest - powiedział.

- Że jest taki parszywy.

- Może i nie, lecz pomogłeś mu trochę stać się właśnie takim - Fallon zapalił papierosa. - Doszło do moich uszu, że chciałeś się ze mną widzieć...

Kristou odłożył pióro i przyjrzał się Fallonowi uważnie. Twarz gospodarza poznaczona była drobnymi zmarszczkami, lecz osadzone w niej niebieskie oczy patrzyły bystro i uważnie.

- Kiepsko wyglądasz, Martin.

- W życiu nie czułem się lepiej - odparł Fallon. - No dobra. Co z moim paszportem?

Kristou uśmiechnął się przymilnie.

- Wyglądasz jak ktoś, kto najbardziej marzy o tym, by się trochę napić - postawił na stole butelkę i dwa kubki, skrywane dotąd w szufladzie. - Najlepsza na świecie irlandzka whisky. Żebyś poczuł się jak w domu.

Fallon zawahał się, lecz przyjął napełniony kubek.

- Żebyś umarł w Irlandii, jak się to u was mówi.

Wychylił alkohol jednym haustem i zgniótł kubek. - Paszport - powiedział cicho.

- Słuchaj Martin. To już nie ode mnie zależy... W pewnych kołach zrobiłeś się nazbyt popularny... To zmienia postać rzeczy...

Fallon obszedł stół i przez chwilę stał bez ruchu z pochyloną głową i rękami wbitymi głęboko w kieszenie granatowego płaszcza. Potem uniósł powoli głowę. Oczy w jego bladej twarzy płonęły niepokojącym blaskiem.

- Jeśli chcesz w ten sposób coś ze mnie wycisnąć, to nic z tego - wycedził. - Dałem ci już wszystko, co miałem.

Kristou poczuł, jak serce zamiera mu w piersi i strach z wolna zamraża wnętrzości.

- Martin, na litość boską, jak ty wyglądasz? Śmierć na urlopie... Fallon dłuższą chwilę stał bez ruchu, wbijając oczy w rozmówcę, lecz patrząc raczej przez niego. Potem zapadł się w sobie, oklapł, jakby coś z niego uszło. Odwrócił się ku drzwiom.

- Jest jeden sposób - powiedział szybko Kristou.

- Mianowicie?

- Dostaniesz paszport, miejsce na frachtowcu odbijającym w niedzielę wieczorem z Hull w rejsie do Australii i dwa tysiące funtów na nowy początek. Może być?

- A co mam zrobić, by to mieć? - spytał Fallon sarkastycznie. - Zabić kogoś?

- Zgadłeś. Fallon roześmiał się.

- Oj, Kristou - powiedział. - Jesteś coraz zabawniejszy. Nie rozśmieszaj mnie.

Sięgnął po butelkę. Opróżnił kubek gospodarza na podłogę i nalał whisky do pełna. Stary przyglądał się temu spokojnie; czekał. Deszcz walił o szyby jak zablakany przechodzień, usiłujący za wszelką cenę dostać się do środka. Fallon podszedł do okna i spróbował wyjrzeć na ulicę.

Po lewej stronie, tuż przy wylocie uliczki, stał samochód. Co interesujące - z wygaszonymi światłami. Od rzeki niosło się porykiwanie syren - mgła była coraz bardziej gęsta.

- Co za noc - odwrócił się do Kristou. - Pasuje jak ulał.

- Do czego?

- Do rozmów takich typów, jak ty i ja - wychylił jednym łykiem cały kubek whisky i odstawił go ostrożnie na stół. - Wal zatem. Słucham.

Kristou uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że pójdziesz w końcu po rozum do głowy.

Wyjął z szuflady papierową teczkę. Wyciągnął z niej zdjęcie, które podał Fallonowi. -

Obejrzyj go sobie.

Fallon podszedł do światła. Zdjęcie było najwyraźniej zrobione na cmentarzu. Świadczył o tym rzucający się w oczy dziwaczny brązowy nagrobek, przedstawiający postać wstającej z krzesła kobiety, szykującej się jakby do przejścia przez na wpół otwarte drzwi pomiędzy dwiema marmurowymi kolumnami, które ustawiono tuż za nią. Przed nagrobkiem klęczał z obnażoną głową mężczyzna w ciemnym płaszczu.

- Jeszcze to - Kristou wyciągnął rękę z następną fotografią. Scena była ta sama, tyle, że mężczyzna nie klęczał już, a stał twarzą do kamery, ściskając kapelusz w ręku. Był dobrze zbudowany, wysoki na przeszło sześć stóp, szerokie bary, wystające kości policzkowe, raczej kwadratowa twarz i lekko skośne oczy. Wyglądał na kogoś, kogo najlepiej omijać z daleka.

Fallon wypowiedział to zdanie.

- Wielu tak uważa.

- Kto to jest?

- Nazywa się Krasko. Jan Krasko.

- Polak?

- Z pochodzenia, to zresztą dawna sprawa. Przyjechał tu jeszcze przed wojną.

- Tu, to znaczy gdzie?

- Na północ. Dowiesz się wszystkiego, gdy przyjdzie czas.

- A ta kobieta?

- Ta na nagrobku? To jego matka. Czy słońce czy deszcz, odwiedza jej grób w każdy czwartek, kładąc na nim bukiet kwiatów. Bardzo się kochali.

Kristou wziął fotografie z rąk Fallona, przyjrzał im się przez chwilę i schował je z powrotem do teczki.

- No i co powiesz?
- Co on zrobił takiego, że zasłużył na twoją uwagę?
- Normalny konflikt interesów, nic nadzwyczajnego. Mój klient jest bardzo ugodowy, lecz ten Krasko nie chce iść na żadne ustępstwa. Musi zatem zniknąć. I to z największym możliwym rozgłosem.

- Nauczka dla innych?

- Coś w tym rodzaju.

Martin podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Samochód stał tam, gdzie poprzednio. Nie odwracając się, spytał:

- A czym dokładnie trudni się ten cały Krasko?

- Wszystkim. Wszystkim, na czym można zarobić. Kluby, gry hazardowe, zakłady...

Kurwy i prochy - dodał Fallon, odwracając się do rozmówcy. - A twój klient?

- Za dużo chcesz wiedzieć, Martin. Bądźże rozsądny.

- Dobranoc Kristou - Fallon ruszył ku drzwiom.

- Dobrze, dobrze - przestraszył się Kristou. - Wygrałeś. Powiem ci.

Fallon wrócił do stołu, a Kristou otworzył szufladę, wyjął z niej inną teczkę, z której wyciągnął kilka wycinków gazetowych. Przejrzał je, wybrał jeden i podał go Martinowi.

Wycinek pochodził sprzed osiemnastu miesięcy, lecz papier zdążył już zżółknąć. Artykuł nosił tytuł: "Angielski Al Capone".

Tekst uzupełniony był zdjęciem przedstawiającym barczystego, wysokiego mężczyznę, który właśnie schodził ze schodów. Twarz miał mięsistą, arogancką. Ubrany był w dwurzędowy płaszcz, z białą chusteczką wystającą z górnej kieszeni i ciemny, filcowy kapelusz. Obok niego szedł młody, siedemnastoletni może chłopiec w podobnym płaszczu, lecz bez kapelusza.

Albinos o białych, spadających na ramiona włosach, które upodabniały go do upadłego anioła.

Fotografia była podpisana: "Jack Meehan i jego brat, Billy, opuszczają Główną Siedzibę Policji w Manchesterze po przesłuchaniu w związku ze śmiercią Agnes Drew".

- Co to była za jedna, ta Agnes Drew? - spytał Fallon.

- Jakaś prostytutka. Ktoś zatłukł ją w ciemnej uliczce. Ryzyko zawodowe. Wiesz, jak to bywa.

- Mogę sobie wyobrazić - Martin nadal przyglądał się fotografii. - Ci dwaj tutaj wyglądają na przedsiębiorców pogrzebowych.

Kristou roześmiał się. Łzy radości nabiegły mu do oczu.

- To naprawdę zabawne, lecz Mr Meehan jest właścicielem największego w północnej Anglii zespołu przedsiębiorstw pogrzebowych.

Trafiliś - Co? Żadnych klubów, gier hazardowych, narkotyków? Tu piszą co innego. -

Owszem gospodarz przetarł zażławione oczy. - Niemniej od lat prowadzi on tylko legalne interesy. A tacy jak Krasko utrudniają mu życie. Tak to wygląda i nic na to nie poradzisz.

- Aha, świetlany charakter.

- Właśnie. Nie inaczej. - Kristou przetarł okulary i nałożywszy je z powrotem, spojrzał na Fallona. - Zgadzasz się?

- Jak cholera. Nawet bosakiem żadnego z nich bym nie dotknął. Diabli wiedzą, co można od nich złapać.

- Daj spokój, Martin. Jaki to problem dla ciebie? Jeden więcej, jeden mniej. Ilu dotąd załatwiłeś? Trzydziestu dwóch? Trzydziestu czterech? Tylko w samym Londonderry kropnąłeś czterech żołnierzy.

Kristou zerwał się, przewracając krzesło, przebiegł na drugą stronę stołu i chwycił Fallona za ramię. Ten go odepchnął.

- Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla sprawy, gdyż uznałem, że było to konieczne.

- Szlachetny ideowiec - warknął Kristou. - Te dzieciaki, które twój granat rozwalili na kawałki w szkolnym autobusie, to też było dla sprawy, co?

Zanim zdążył mrugnąć, znalazł się wpół leżąc na stole z ręką Fallona na gardle i lufą browninga wymierzoną między oczy. Błady jak ściana, usłyszał trzask odbezpieczanej broni i o mało co nie zemdlął z przerażenia. Nie udało mu się natomiast opanować czego innego, o

czym dal znać nabierający mocy zapach. Fallon przytrzymał go jeszcze chwilę, a potem odepchnął z obrzydzeniem.

- Nigdy więcej, słyszysz - szepnął przez zaciśnięte zęby. Broń w jego dłoni ani drgnęła. - Nigdy więcej. - Schował browning do kieszeni płaszcza, obrócił się i ruszył ku drzwiom. Stukot jego butów na kamiennej posadzce urwał się z trzaśnięciem drzwi.

Kristou wyprostował się powoli. Oczy miał pełne łez, teraz były to jednak łzy wstydu i wściekłości. Z ciemnego kąta pokoju rozległ się szyderczy, agresywny śmiech.

- No, no Kristou - odezwał się męski głos z silnym północnym akcentem. - Oto co znaczy znaleźć się w zaszrannej sytuacji.

Jack Meehan wszedł w obręb żarówki. Tuż za nim wyłonił się z mroku jego brat, Billy. Obaj ubrani dokładnie tak samo, jak na fotografii.

Meehan wziął do ręki pozostawiony na stole wycinek.

- Po jaką cholere to pokazywałeś? Zaskarzyłem do sądu tego skurwysyna, który to napisał, i wygrałem.

- Właśnie - zachichotał Billy. - Sędzia chciał ci przyznać ćwierć pensa odszkodowania, tylko że nie ma już takiej monety.

Jego głos był piskliwy, odrażający i nie miał w sobie nic męskiego. Meehan jakby od niechcenia trzepnął go w policzek i zwrócił się do Kristou, marszcząc przy tym nos z obrzydzenia.

- Idź i umyj się, człowieku, bo śmierdzisz jak jasna cholera, a potem pogadamy.

Kiedy Kristou powrócił z łazienki, Meehan siedział na jego miejscu za stołem i nalewał sobie whisky do czystego papierowego kubka. Brat stał za jego plecami. Upił mały łyk i krzywiąc się niemiłosiernie, splunął na podłogę.

- Wiem, że Irlandczycy jeszcze nie do końca zleźli z drzew, lecz mimo wszystko, jak oni mogą pić takie świństwo.

- Bardzo mi przykro, Mr Meehan - Kristou uśmiechnął się przymilnie.

- Przykro ci będzie, gdy z tobą skończę. Schrzanisz całą sprawę.

- Nie spodziewałem się, że on tak zareaguje - Kristou pocierał spierzchnięte wargi, poprawiając okulary na nosie.

- A czegoś ty się spodziewałeś, do jasnej cholery? Przecież to wariat. Wszyscy Irlandczycy mają bzika. Strzelają do kobiet i dzieci. To banda dzikusów.

Kristou nie wiedział, co odpowiedzieć. Uratował go Billy, który rzucił z lekceważeniem:

- Na moje oko, to żaden bohater. Bez spluwy w rękę byłby niczym.

- Wiesz, co ci powiem, Billy - westchnął Meehan. - Czasem myślę sobie, że już nigdy nic z ciebie nie będzie. Przed chwilą miałeś przed sobą diabła wcielonego i nawet tego nie zauważyłeś - roześmiał się głośno. - A ty, Kristou, też miałeś szczęście, że cię nie kropnął. Był wściekły, gdy do ciebie mierzył i spluwa ani mu drgnęła.

- Wiem, wiem, panie Meehan - szepnął Kristou. - Przedobrzyłem. Nie powinienem wspominać o tych dzieciakach.

- I co zamierzasz teraz zrobić?

Kristou spojrział najpierw na Billy'ego, potem na jego brata.

- Czy mam przez to rozumieć, panie Meehan, że nadal pan go chce do tej roboty?

- A czy tylko ja jeden?

- No fakt. Wszyscy się o niego ubiegają.

Kristou znów roześmiał się nerwowo, a Meehan wstał i pogłaskał go po policzku.

- Bądź grzecznym chłopcem i załatw to. Znasz mój adres. Jeżeli nie odezwiesz się do północy, przyślę tu Tłustego Alberta. Nie masz ochoty się z nim spotkać, co?

Meehan i Billy zniknęli w ciemności. Znów trzasnęły drzwi w bramie. Kristou stał nieruchomo, czekając, aż umilkną ich kroki.

- Kristou - rzucił jeszcze Meehan przez uchylone drzwi.

- Słucham pana.

- Pamiętaj, by się wykapać, gdy tylko wrócisz do domu. Śmierdzisz jak nieboskie stworzenie.

Drzwi trzasnęły po raz drugi, a Kristou opadł na krzesło i zaczął bębnić nerwowo palcami o blat stołu. Niechby szlag trafił Fallona! Niechby zwinęła go policja. Byłby spokój. Pomysł olśnił go - to idealne i śmiesznie proste rozwiązanie. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer Scotland Yardu. Gdy odezwała się centrala, poprosił o połączenie ze Special Branch.

Lało jak z cebra i Jack Meehan podniósł kołnierz płaszcza zanim jeszcze wyszedł na ulicę.

- Nadal nic nie rozumiem - odezwał się Billy. - Dlaczego zależy ci akurat na Fallonie?

- Przede wszystkim dlatego, że jest jednym z najlepszych, którzy posługują się na tym bożym świecie bronią. Poza tym, jest poszukiwany przez absolutnie wszystkich. Szuka go Special Branch, ściga go Wywiad Wojskowy, nawet starzy kumple z IRA cieszyliby się, gdyby mogli dostać go w swoje ręce. Oznacza to, że gdy załatwi dla nas co trzeba, łatwo i bez kłopotu będziemy mogli się go pozbyć.

- A czy to ma jakieś znaczenie? - zdziwił się Billy, gdy podchodzili już do zaparkowanego w uliczce samochodu.

- Jezus Maria! Poczytałbyś raz jakąś książkę. Tylko te dziewczuchy masz w głowie! Zwariować można!

Stali już przy drzwiczkach Bentley'a Continental. Nagle Meehan schwycił Billy'ego za ramię i szybko odciągnął go na bok.

- Co do cholery? Gdzie Fred?

- Nic wielkiego, panie Meehan. Mały guz na potylicy. Śpi sobie jak dziecko na tylnym siedzeniu.

Ciemność pobliskiej bramy rozdarła nagle zapalona zapalka. W jej świetle mignęła blada twarz Fallona, który w zębach trzymał papierosa. Zapalił go i rzucił zapalkę do rynsztoka. Meehan otworzył drzwiczki Bentley'a i zapalił światło.

- Czego pan chce? - spytał spokojnie.

- Cóż, chciałem, że tak powiem, ujrzeć pana we własnej osobie. A teraz życzę panom dobrej nocy.

Chciał odejść, lecz Meehan chwycił go za rękaw płaszcza.

- Podoba mi się pan, Mr Fallon. Wydaje mi się, że łączy nas pewne podobieństwo.

- Śmiem wątpić.

- Czytałem ostatnio takiego jednego niemieckiego filozofa - powiedział Meehan, ignorując wątpliwą odpowiedź. - Nie słyszał pan o nim pewnie. Twierdził on, że prawdziwie żyje tylko ten, kto umie stawić czoła śmierci. I co pan na to?

- Heidegger - Fallon zatrzymał się. - Ciekawe, że to on właśnie pana zainteresował. Hitler traktował jego pisma jak wyrocznie.

Znow ruszył naprzód, lecz Meehan zastąpił mu drogę.

- Heidegger? - zdziwił się. - Pan czytał Heideggera? Podwajam stawkę w mojej ofercie, a poza tym, zatrudnię pana na stałe, jeśli pan zechce. Czy można sobie wyobrazić lepszą propozycję?

- Dobrej nocy, Mr Meehan - powtórzył Fallon i zniknął w ciemności.

- Co za facet! - rzucił Meehan. - Twarda sztuka. Podoba mi się, cholera, chociaż to tylko irlandzki bandyta. Chodź, wracamy do Savoy'u. Siadaj za kierownicą, lecz jeśli zadrapiasz mi wóz, to jaja ci oberwę.

Fallon mieszkał w pensjonacie na Hanger Street w Stepney, tuż obok Commercial Road. Lało jak z cebra, lecz postanowił przejść się tam pieszo. Nie miał pojęcia, co ma teraz ze sobą począć. Kristou był jego jedyną i ostatnią nadzieją. Teraz był skończony. Po prostu skończony. Mógł uciekać, lecz jak długo?

Zbliżając się do domu wyciągnął portfel i przeliczył jego zawartość - cztery funty i trochę drobnych. Z komornym zalegał już od dwóch tygodni. Wszedł do taniego sklepiku i kupił paczkę papierosów, a następnie przeszedł przez jezdnię i skręcił w Hanger Street.

Gazeciarz schronił się przed deszczem w pobliskiej bramie. Mały człowieczek w łachmanach, stary londyński Irlandczyk, ślepy na jedno oko i niewiele widzący na drugie.

Fallon wsunął mu do ręki monetę i wziął gazetę.

- Dobranoc Michael - powiedział.

Stary zaczął nerwowo szukać w torbie na brzuchu reszty.

- Ach, to pan, panie Fallon?

- A kto niby? Możesz zatrzymać resztę.

Lecz stary człowiek schwycił dłoń Fallona i starannie odliczył parę drobnych monet.

- Ma pan nieproszonych gości. Przyjechali jakieś dwadzieścia minut temu - mruknął.

- Policja? - spytał Fallon szeptem.

- W cywilu. Jeszcze nie wyszli. Na drugim końcu ulicy czekają dwa wozy, a trzeci naprzeciwko domu.

Fallon odwrócił się, wszedł do narożnej budki telefonicznej i wykręcił numer swego pensjonatu. Właścicielka odebrała natychmiast. Wrzucił monetę i spytał:

- Mrs Keegan? Tu Dały. Czy mogłaby mi pani wyświadczyć drobną przysługę?

Po tonie jej głosu zorientował się od razu, że przypuszczenia Michaela były jak najbardziej uzasadnione.

- Oczywiście, Mr Dały.

- Spodziewam się telefonu około dziewiątej. Proszę zanotować numer i powiedzieć, że oddzwonię, gdy tylko wrócę, dobrze? Teraz nie mogę przyjść, spotkałem dwóch starych kumpli i idziemy właśnie do baru na jednego. Wie pani, jak to jest.

Przez chwilę panowała głucha cisza, a potem kobieta powiedziała sztywno, jak pod dyktando: Rozumiem, a skąd pan dzwoni?

Jestem w pubie przy High Street w Kensington. Nazywa się The Grenadier Grave. Muszę kończyć. Do zobaczenia.

Odwiesił słuchawkę, wyszedł z budki i przystanął w bramie, z której było widać drzwi posesji pod numerem trzynastym, położonej niemal w połowie ulicy.

Po chwili drzwi otworzyły się. Było ich ośmiu; sądząc po wyglądzie, wszyscy ze Special Branch. Pierwszy, który zszedł na ulicę, zamachał energicznie ręką. Zaraz też z cienia w głębi ulicy wysunęły się dwa samochody. Podjechały i całe towarzystwo załadowało się do środka i odjechało z maksymalną szybkością. Samochód parkujący na rogu ruszył zaraz za nimi. Fallon przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się przy sprzedawcy gazet. Wyciągnął z portfela jedyne pozostałe tam cztery banknoty funtowe i wcisnął je staremu do ręki.

- Niech pana Bóg błogosławi, Mr Fallon - szepnął Michael, lecz Fallon był już daleko.

Szybkim krokiem kierował się ku rzece.

Tym razem Kristou niczego nie usłyszał, mimo że od godziny czekał w napięciu skulony za stołem, na którym wciąż leżała otwarta księga buchalteryjna. Nagle do jego uszu doszedł ledwo słyszalny stuk obcasa, a niemal zaraz potem szczególnie głośno i starannie odbezpieczanego browninga.

Kristou nabrał głęboko powietrza, starając się zachować spokój.

- Po co ci to, Martin? - szepnął. - Co ci z tego przyjdzie? Fallon przeszedł na jego stronę stołu, nie opuszczając broni. Kristou wstał, trzymając się mocno blatu, by opanować drżenie.

- Jestem twoim ostatnim przyjacielem, Martin.

- Ścierwo, nie przyjaciel. Nasłałeś na mnie Special Branch.

- Nie miałem innego wyjścia - powiedział Kristou pospiesznie. - Inaczej nigdy byś tu nie wrócił. To dla twojego własnego dobra, Martin. Łazisz po świecie jak przypadkiem jeszcze żywy nieboszczyk i tylko ja mogę cię uratować. Wiem, czego ci trzeba: akcji i napięcia, bez tego jesteś jak ryba bez wody.

Oczy Fallona wyglądały jak dwie czarne jamy w bladej twarzy. Uniósł broń i wylotem lufy dotknął czoła starego. Ten przymknął oczy.

- Trudno. Jeśli musisz, to strzelaj. Niech już będzie koniec. Po co mi to wszystko? Czy to jest życie? Ale pamiętaj, jeśli mnie zabijesz, to skążesz na śmierć i siebie. Jestem twoją jedyną deską ratunku. Nie ma na świecie człowieka, który nie wydałby cię władzom lub nie wpakował ci sam kulki w łeb.

Zapanowała przeciągająca się cisza. Wreszcie Kristou otworzył oczy. Kurek browninga został łagodnie opuszczony, a sama broń znalazła się przy boku stojącego obok mężczyzny, który wbił przed siebie oziębiające spojrzenie.

- Pomyśl tylko - odezwał się cicho Kristou. - Pomyśl. Przecież ten Krasko nic dla ciebie nie znaczy. To gangster, morderca, alfons i sutener - splunął na podłogę. - Zwykła świnia.

- Przestań truć - warknął Fallon. - Co mam robić?

- Jeden telefon i w ciągu pół godziny będzie tu samochód, który zawiezie cię do Doncaster, na pewną farmę, gdzie nikt cię nie znajdzie. W czwartek rano, na tym cmentarzu, który widziałeś na zdjęciu, załatwisz faceta. I tyle. Krasko zawsze zostawia obstawę pod bramą. Nie lubi mieć świadków w chwilach, gdy staje się sentymentalny.

- Zgoda - rzucił Fallon. - Ale pamiętaj, że sam sobie wszystko organizuję.

- Oczywiście, jak tylko sobie życzysz - Kristou wyciągnął z szuflady i podał Fallonowi kopertę.

- Tu jest pięćset na początek. W piątkach.

Fallon ważył przez chwilę kopertę w rękę, a potem wsunął ją do kieszeni.

- Kiedy reszta? - zapytał. - I paszport.

- Mr Meehan zajmie się tym po pomyślnym załatwieniu sprawy.

- Dobra. Dzwon - zgodził się po chwili.

- Mądra decyzja, Martin, możesz mi wierzyć - uśmiechnął się z ulgą i zadowoleniem.

Zamilkł, lecz potem dodał:

- Jeszcze jedno, jeśli pozwolisz.

- Co takiego?

- Ten browning. Nie nadaje się do takiej roboty. Potrzebna jest ci broń cicha i o wiele zgrabniejsza.

- Może masz rację - Fallon spojrzał na broń krytycznie. - Co mi proponujesz?

- A co byś chciał?

Nigdy nie przywiązywałem się zbyt do określonej broni. To by tylko ułatwiło glinom robotę.

Kristou otworzył stojącą w kącie niewielką kasę pancerną i wyjął z niej małe zawiniątko, które zaraz położył na stole. Rozwinął je i pokazał piękny automatic, długi na sześć cali, z lufą sterującą na dodatkowe dwa cale. Następnie wydobyl trzycalowy tłumik i dwa pudełka z amunicją po pięćdziesiąt sztuk naboju w każdym.

- Do diabła. Co to takiego? - zdziwił się Fallon, biorąc broń do ręki.

- Ceska. Siedem i pół, Model 27. Niemcy przejęli fabrykę w Czechach w czasie wojny. To ich wyrób - widać to po lufie. Jest specjalnie przystosowana do tłumika.

- Jest to coś warte?

- Wywiad SS używał ich z powodzeniem, lecz możesz sam się przekonać.

Kristou zrobił parę kroków w głąb ciemnego pomieszczenia i zapalił światło. Na przeciwległej ścianie Fallon ujrzał wymalowaną tarczę strzelecką - identyczną z tymi, których używają wszystkie armie świata - postać przyczajonego żołnierza. Nakręcił tłumik na lufę i poczekał, aż gospodarz wróci i ustawi się za jego plecami.

- Wal jak będziesz gotów - usłyszał.

Ujął automat oburącz, starannie wymierzył i strzelił. Rozległ się przytłumiony huk, którego z pewnością nie było słyhać dalej, niż na trzy jardy wokoło. Kula przeszła ramię żołnierza. Mierzył jednak w serce, wziął zatem poprawkę i ponownie nacisnął spust. Znów pudło - o parę cali w lewo. Wziął kolejną poprawkę i tym razem trafił.

- No co, nie mówiłem? - krzyknął Kristou.

- Szpetne, lecz dobre. Podobnie jak ty i ja. Czy wspominałem ci już, jaki to napis widziałem na murze pewnego domu w Derry? "Czy istnieje życie przed śmiercią?" Zabawne, co?

Kristou gapił się na niego i niezbyt wiedział, co odpowiedzieć. Fallon jednak odwrócił się gwałtownie i strzelił dwa razy, pozornie nie celując - lecz wymalowany na ścianie żołnierz otrzymał parę nowych, wydziobanych pociskami oczu.

Rozdział II

KSIĄDZ DA COSTA

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie... - Ksiądz da Costa pełnym i czystym głosem odmawiał pacierz, idąc na czele ciągnącego cmentarną ścieżką konduktu. Gwałtowna ulewa niemal zagłuszyła jego słowa.

Serce przygniatał mu wielki ciężar. Przez całą noc lało, teraz zaś deszcz padał jednolitą ścianą i zdawał się nawet nasilać. Droga od kaplicy do grobu nigdy nie była lekka, dziś jednak stała się istną udręką.

Może i dlatego, że tak niewielu było żałobników. Dwaj posługacze nieśli małą trumienkę, za nimi szła podtrzymywana z jednej strony przez męża, z drugiej przez brata, matka tej, którą dzisiaj chowali. Ledwie powłóczyła nogami. Byli to biedni ludzie. Biedni i samotni. Samotni tym bardziej, że pogrążeni w żałobie.

O'Brien, dyrektor cmentarza, czekał przy grobie. Wielki, czarny parasol osłaniał go trochę przed deszczem. Stojący obok niego grabarz, widząc zbliżający się orszak, ściągnął grubą brezent, którym osłonił uprzednio grób. Nie pomogło to wiele - na dnie dołu było już i tak wody na jakie dwie stopy.

O'Brien usiłował osłonić księdza swoim parasolem, lecz ten odsunął go, zdjął płaszcz, podał go O'Brienowi i stał teraz w ulewnym deszczu okryty tylko starą, czerwono-złotą kapą.

O'Brien musiał zastąpić kościelnego. Ksiądz da Costa skropił trumnę wodą święconą, a kiedy wziął do ręki trybularz, zauważył nagle, że ojciec zmarłego dziecka patrzy na niego z dzikością uwiecznionego w klatce zwierzęcia i że palce jego prawej dłoni zaciskają się i prostują konwulsyjnie. Był to rosły mężczyzna, prawie równie wysoki jak ksiądz. Majster budowlany. Da Costa odwrócił szybko wzrok, uniósł oczy ku niebu i zaintonował modlitwę za zmarłe dziecko. Deszcz targał jego skłębioną, siwą brodą.

- Boże, Dawco Miłosierdzia i Miłośniku zbawienia ludzkiego, prośbę zanosimy do Twojej dobroci, spraw, by wszyscy wierni, którzy zeszli z tego świata, osiągnęli za przyczyną Najświętszej Maryi Dziewicy i wszystkich świętych twoich udział w wiecznej szczęśliwości. Nie po raz pierwszy uderzyła go banalność tych słów. Bo i jak, na litość boską, miał tłumaczyć zrozpaczonej matce, że Bóg potrzebował jej ośmioletnią córkę aż tak bardzo, że musiał sprawić, by dziewczynka utopiła się w kanale przemysłowym i dryfowała wraz ze ściekami przez dziesięć dni, nim ją odnaleziono?

Trumnę opuszczono do grobu. Rozległ się plusk i grabarz szybko zakrył otwór brezentową płachtą, a ksiądz da Costa odmówił jeszcze jedną modlitwę i podszedł do zapłakanej kobiety.

- Czy mógłbym być pani w czymkolwiek pomocny, droga pani Dalton? - zapytał, kładąc rękę na jej ramieniu.

Ojciec dziecka gwałtownie odsunął rękę księdza.

- Proszę dać jej spokój! - krzyknął. - Mało się nacierpiała! Te wasze modlitwy nikomu na nic się nie zdadzą. Czy ksiądz wie, że to ja musiałem zidentyfikować ciało? Po dziesięciu dniach w kanale! Czym moje dziecko zasłużyło na taki los? Jaki jest ten Bóg, skoro dopuszcza do czegoś takiego?

O'Brien postąpił krok do przodu, lecz da Costa go powstrzymał.

- Dajmy mu spokój - powiedział niemal szeptem.

Twarz Daltona przybrała wyraz szczerzego przerażenia. Zdał sobie widać sprawę z potworności swego postępu. Podszedł do żony, objął ją ramieniem i odszedł pospiesznie wraz z nią i z bratem.

O'Brien podał księdzu płaszcz.

- Bardzo mi przykro.. Nieprzyjemna sprawa.

- Nie można mu całkowicie odmówić racji - westchnął da Costa. - Cóż ja mogę w końcu powiedzieć człowiekowi, którego spotkała taka tragedia.

Grabarz spojrział na księdza niemal ze zgorszeniem, lecz O'Brien skinął współczująco głową.

- Życie jest dziwne - powiedział, otwierając parasol. - Jeżeli ksiądz pozwoli, to odprowadzę go do kościoła.

Da Costa potrząsnął głową.

- Daruje pan, ale wolałbym się przejść. Przyda mi się spacer.

Wybiorę się okrężną drogą. Pożyczyłbym sobie tylko, jeśli można, parasol.

- Oczywiście - O'Brien podał księdzu parasol i da Costa ruszył przez wiodący między marmurowymi nagrobkami w głąb cmentarza labirynt ścieżek.

Grabarzowi jeszcze nie przeszło zgorznienie.

- Żeby ksiądz mówił takie rzeczy - mrucał. O'Brien zapalił papierosa.

- Da Costa to nie jest taki sobie przeciętny księżulo. Rozmawiałem o nim z Joe Devlinem, zakrystianem od Świętej Anny. W czasie wojny da Costa był komandosem czy kimś takim. Walczył razem z partyzantami Tito w Jugosławii, potem studiował w Akademii Teologicznej w Rzymie. Czekala go olśniewająca kariera, on jednak wybrał pracę misyjną.

- I dokąd go posłali?

- Do Korei. Potem pięć lat spędził w chińskim więzieniu. Gdy wrócił do Rzymu, dali mu papierkową robotę w administracji, by trochę odpoczął. Nie spodobało mu się to. Zmusił ich, by znów go wysłali, tym razem do Mozambiku. Zdaje się, że miał dziadka Portugalczyka. W każdym razie zna język.

- I jak tam było?

- Deportowali go. Władze portugalskie oskarżyły go o okazywanie sympatii rebeliantom.

- To co on tu robi?

- Jest księdzem parafii Najświętszego Imienia Pańskiego.

- Tej rudery? - zdziwił się grabarz. - Ta kupa kamieni trzyma się tylko dzięki rusztowaniom.

Nie wiem, czy choć tuzin ludzi przychodzi tam na niedzielne nabożeństwo?

- Właśnie - mruknął O'Brien.

- No tak - grabarz skinął głową w nagłym przebłysku zrozumienia. - Jest w niełasce.

- To wspaniały człowiek - powiedział O'Brien. - Za dobry, by tak go marnować.

Nagle poczuł się zmęczony rozmową i z jakiegoś powodu mocno przygnębiony - Bierz się pan lepiej do zasypywania grobu!

- Co! Teraz w tym deszczu? - obruszył się grabarz. - Grób nie ucieknie!

- Zasypuj pan, i to już.

O'Brien odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył ku wyjściu. Klnąc pod nosem, grabarz odsunął brezent i wziął się do roboty.

Ksiądz da Costa lubił spacerować po deszczu. Dawało mu to dziwne poczucie bezpieczeństwa. Kwestia psychiki, może nawyk z lat dzieciństwa, tak przynajmniej zwykł sądzić. Dziś jednak nie czuł się bezpieczny, ani spokojny - nękał go nieokreślony, wewnętrzny niepokój; może z powodu rozmowy nad grobem dziecka.

Zatrzymał się na chwilę i łamiąc dane samemu sobie przyrzeczenie, zapalił papierosa. Nie przyszło mu to łatwo, jako że w prawej ręce trzymał mokry parasol. Od pewnego czasu ograniczył palenie do pięciu dziennie, a i te palił dopiero wieczorem po kolacji. Było to tym przyjemniejsze, że czekał na te chwile przez cały dzień. Ale w tych warunkach...

Znalazł się w najstarszej części cmentarza, którą, ku swej radości, odkrył kilka tygodni temu. Tu, między wysokimi cyprysami i smukłymi sosnami znajdowały się piękne neogotyckie i wiktoriańskie grobowce i nagrobki. Na wszystkich było pełno skrzydlatych aniołków z marmuru i brązu, lecz każda rzeźba była inna. Wszystko razem stanowiło wzruszający i nieco sentymentalny wyraz niezłomnej wiary człowieka w życie pozagrobowe.

Aż do zasłoniętego wielkim krzakiem rododendronu zakątko nie spotkał ani żywej duszy.

Biegająca pod nim ścieżka rozdawała się o jakieś dziesięć jardów dalej, tuż za dość szczególnym nagrobkiem przedstawiającym drzwi otwarte między dwiema marmurowymi kolumnami i tuż przed nimi posąg wstającej z krzesła kobiety.

Przed pomnikiem klęczał mężczyzna w ciemnym płaszczu. Głowę miał odsłoniętą. Wokół panowała głęboka cisza, zakłócana tylko monotonnym szumem spadającego na rozmokłą ziemię deszczu. Ksiądz zatrzymał się, nie chcąc zakłócać spokoju modlącego się człowieka. Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Zza uchylonych drzwi pomnika wyłoniła się postać młodego księdza. Na sutannę założony miał ciemny płaszcz, na głowie miękki czarny kapelusz. To, co miało miejsce w ciągu kilku następnych sekund, przypominało zły sen, wykraczając poza możliwości wyobraźni przeciętnego człowieka. Klęczący podniósł głowę; w tej samej chwili młody ksiądz wyjął z kieszeni płaszcza pistolet z długim, czarnym tłumikiem. Rozległ się głuchy stuk. Ciało klęczącego z impetem upadło na ścieżkę. Fragmenty kości i mózgu rozprysnęły się wokół, brudząc marmur nagrobka.

Ksiądz da Costa krzyknął ochryple, widząc, że jest już za późno na zaradzenie czemukolwiek.
- Nie! Na litość boską!

Młody ksiądz, który zrobił już krok w kierunku swojej ofiary, zatrzymał się i spojrzał na da Costę. Błyskawicznie skierował na niego broń. Ksiądz da Costa nie po raz pierwszy spoglądał śmierci prosto w oczy. Tym razem śmierć ta miała białą, diabelską twarz i ciemne, głęboko osadzone oczy.

I nagle, gdy usta da Costy modliły się bezgłośnie, ręka trzymająca broń opadła. Morderca nachylił się i podniósł coś z ziemi. Obrzucił niedoszłą ofiarę przenikliwym spojrzeniem, wsunął się między uchylone drzwi i zniknął. Ksiądz da Costa rzucił parasol na ziemię i kucnął przy leżącym nieruchomo mężczyźnie, który jeszcze przed chwilą zatopiony był w głębokiej modlitwie. Twarz spływała mu krwią, oczy miał ledwo przymknięte. O dziwo, jeszcze oddychał.

Ksiądz da Costa zaczął spokojnym i równym głosem odmawiać modlitwę za konających.

- Wybaw, Panie, duszę sługi swego od wszelkich niebezpieczeństw piekła, grożących jej mąk i od wszelkich ucisków...

Chrapliwy oddech konającego urwał się nagle.

Fallon szedł ciągnącą się wzdłuż północnego muru cmentarza ścieżką. Kroczył pewnie, lecz niezbyt szybko. Nie miało to ostatecznie większego znaczenia. Gęste krzewy rododendronów zasłaniały go doskonale, a poza tym trudno było sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek miał ochotę wybierać się na cmentarz w taką pogodę.

Ksiądz - to pechowy zbieg okoliczności! Niczego nie można do końca zaplanować. Zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

Wszedł do niewielkiego lasku, gdzie zaparkowana była czekająca na niego furgonetka.

Zajrzał do środka i zobaczył, że miejsce za kierownicą było puste.

- Gdzie jesteś, Varley? - zawołał niezbyt głośno.

Zza kępy drzew wypadł niewielki człowieczek w czapce i w płaszczu przeciwdeszczowym; ciężko łapał powietrze i przyciskał do piersi wielką lornetkę polową. Oparł się ciężko o bok wozu, starając się uspokoić oddech.

- Gdzieś ty był, u diabła? - potrząsnął nim Fallon.

- Przyglądałem się - dyszał Varley, wskazując na lornetkę. - Mr Meehan kazał. Ten ksiądz. On pana widział. Dlaczego pan go nie kropnął?

Fallon tylko otworzył drzwiczki wozu i pchnął Varley'a za kierownicę.

- Zamknij się i jedź!

Podszedł to tylnych drzwi, otworzył je i wsunął się do środka. Motor zapalił z warkotem i wóz wyjechał na wyboistą drogę. Fallon otworzył okienko odgradzające kierowcę od wnętrza furgonetki.

- Tylko spokojnie - warknął. - Bez pośpiechu. Im wolniej jedziesz, tym dalej zajedziesz.

Przyjaciel zrobił raz skok na bank i uciekał potem wozem lodziarza. Gratem, który wyciągał najwyżej dwadzieścia mil na godzinę. I nie złapali go, bo gliny zawsze się spodziewają, że po takiej robocie człowiek zwiewa przed siebie jak zając. Jedź wolno, a nikt nie spróbuje cię nawet zatrzymać.

Zdjął z siebie płaszcz i sutannę. Pod spodem miał szare spodnie i ciemny sweter. Nałożył granatowy trencz i zrzucił kalosze.

Varley pocił się ze strachu jak mysz. Wyjechali już na czteropasmową szosę.

- Mr Meehan urwie nam jaja za ten numer - jęczał.

- Niech cię o to głowa nie boli. Zostaw to mnie, dobra? - mruknął Fallon, upychając zdjętą odzież w dużej plastikowej torbie i zasuważając jej zamek.

- Pan go nie zna, Mr Fallon - jęczał dalej Varley. - Jak się rozzłości, to gorszy jest od diabła.

Był taki Gregson, zawodowy szuler, cwany jak lis. Naciął jedno kasyno Mister Meehana, i wiesz pan co on zrobił? Przybił mu dłonie do stołu. Gwoździami. Osobiście. Gwoździe były sześciocalowe, a młotek pięćofuntowy. I zostawił go tak na sześć godzin. Ot tak, żeby dobrze się zastanowił nad swoim postępkami.

- A co potem? - zainteresował się Fallon.

- Byłem, jak wyjmowali mu te gwoździe. Koszmar... Gregson był w okropnym stanie. A Mister Meehan nic. Klepał go tylko po policzkach jak niegrzeczne dziecko i mówił, żeby na przyszłość nie robił głupstw. A potem dał mu dziesiątkę i kazał iść do takiego pakistańskiego doktora, który dla niego pracuje.

Varley wzdygnął się na wspomnienie tej sceny.

- Mówię panu, że z Mister Meehanem lepiej nie zaczynać.

- Rzeczywiście trzeba przyznać, że ciekawe ma metody zdobywania przyjaciół - uśmiechnął się Fallon. - A ten ksiądz, tam na cmentarzu. Znasz go?

- To ojciec da Costa. Z tego podpartego stemplami kościoła, niedaleko centrum. Kościół Najświętszego Imienia Pańskiego. Prowadzi tam przytułek dla włóczęgów - to chyba jego jedyni klienci. Zresztą, dookoła wyburzono już prawie wszystkie domy.

- Brzmi ciekawie. Jedź tam.

Varley był tak zaskoczony, że omal nie zjechał na pobocze.

- Panie, nie wariuj pan. Kazano mi odwiedzić pana prosto na farmę.

- A ja każę ci zrobić co innego - powiedział Fallon spokojnie, siadając wygodniej i zapalając papierosa.

Kościół Najświętszego Imienia Pańskiego stał przy Roskingham Street, wciśnięty między nowiutkie biurowce z betonu i szkła z jednej i rozpadające się magazyny z drugiej strony. Nieco dalej znajdował się wielki plac, z którego niedawno usunięto kilka wiktoriańskich ruder. Gigantyczne buldożery oczyszczały już teren pod nowe punktowce.

Varley zatrzymał furgonetkę naprzeciw kościoła. Fallon wysiadł i przyjrzał się budowli.

Wybudowano ją w stylu wiktoriańsko-gotyckim, z jedną brzydką wieżą. Całość była obecnie obstawiona rusztowaniami, chociaż nie było widać, by ktokolwiek prowadził tu prace renowacyjne.

- Nie przypomina to ruchu pszczołek pod ułem - mruknął.

- Dali sobie spokój, gdy zabrakło im forsy, a z tego, co słyszałem, sypie się to wszystko, jak diabli. Pryskajmy stąd, panie Fallon, dobrze?

Varley ocierał pot z czoła.

- Chwileczkę.

Przeszedł przez jezdnię i stanął przed główną bramą kościoła. Wisiała tam tabliczka z nazwiskiem księdza da Costy i godzinami nabożeństw. Spowiedź można było odbyć codziennie o godzinie trzynastej, w weekendy od siedemnastej. Uśmiechnął się, odwrócił i cofnął się do furgonetki.

Wsunął głowę przez okienko i spytał:

- Słuchaj, gdzie jest ten pogrzebowy interes Meehana?

- Przy Pauls Square, niedaleko ratusza. Jakies dziesięć minut jazdy stąd.

- Mam tu coś do załatwienia - poinformował go Martin. - Jedź do Meehana i powiedz mu, że będę u niego o drugiej.

- Na litość boską - przestraszył się Varley. - Nie może pan tego zrobić.

Lecz Fallon był już w połowie drogi do kościoła.

- Co za skurwiel - jęknął Varley, zapalił motor i odjechał.

Nie od razu wszedł do kościoła. Najpierw ruszył boczną uliczką ciągnącą się wzdłuż wysokiego, szarego muru, który okalał stary cmentarz z grobami, pokrytymi przeważnie kamiennymi płytami. W głębi znajdował się jakiś dom, prawdopodobnie plebania. Była w tym samym mniej więcej stanie zaniedbania co kościół.

Było to ponure, w nieokreślony sposób smutne miejsce. Bezlistne gałęzie starych drzew pokrywała warstwa czarnej sadzy, której nawet deszcz nie potrafił zmyć. Tak wyglądają miejsca dochodzące kresu swych dni, pomyślał Fallon, i stąd bierze się melancholia. Kilka słów na spękanej płycie nagrobka - ot i koniec każdego z nas.

Za plecami usłyszał lekki trzask zamykającej się furtki. Obrócił się gwałtownie.

Od strony plebanii szła młoda dziewczyna w zużyтым, starym płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na ramiona. W jednej ręce trzymała hebanową laskę, a w drugiej niosła plik nut. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Czarne włosy spadały jej na ramiona, twarz miała poważną. Taką, na jakie, nie wiedzieć czemu, chce spojrzeć się po raz drugi, jeśli już raz się to zrobiło.

Już układał w myślach słowa, które miały wytłumaczyć jego w tym miejscu obecność, lecz dziewczyna minęła go, nie spojrzawszy nawet w jego stronę. Przyjrzał się jej dokładniej i zorientował się, że uderza ona leciutko laską w płyty mijanych nagrobków. Wiedział, co to znaczy.

Nagle dziewczyna zatrzymała się, odwróciła i niepewnie zmarszczyła brwi.

- Jest tu kto? - zapytała spokojnym, miłym głosem.

Fallon znieruchomiał, wstrzymując oddech. Dziewczyna odczekała chwilę, potem ruszyła dalej. Podeszła do bocznych drzwi kościoła, wyjęła z kieszeni klucz typu yale i otworzyła je.

Fallon powrócił do głównego wejścia. Wszedł do środka i od razu ogarnął go znajomy zapach. Uśmiechnął się.

- Kadzidło, świece i woda święcona - szepnął i odruchowo umoczył palce.

Kościół miał swoją atmosferę. Ktoś, kiedyś musiał wydać sporo pieniędzy na jego wystrój.

Witraże w stylu wiktoriańskim nie były najgorsze, podobnie jak pseudogotyckie drewniane rzeźby. Chimery, czaszki, anioły - ktoś pofolgował wyobraźni.

Główny ołtarz ukryty był za drewnianymi rusztowaniami. Wewnątrz panował mrok - paliła się tylko jedna czerwona lampka, a przed wizerunkiem Matki Boskiej płonęło kilka świec.

Dziewczyna siedziała na chórze przy organach. Grała cicho i przejmująco. Z początku kilka swobodnych akordów, lecz w momencie, gdy Fallon znalazł się w głównej nawie, kościół rozbrzmiewał wspaniałymi tonami preludium i fugi d-moll Bacha.

Grała świetnie. Stał przy schodach prowadzących na chór i słuchał z przyjemnością. Nagle dziewczyna oderwała ręce od klawiatury i obróciła się gwałtownie.

- Jest tam kto?

- Przepraszam, że pani przeszkadzam - powiedział Fallon cicho. - Ale słuchałem pani gry z wielką przyjemnością.

Twarc dziewczyny rozjaśniła się w przelotnym uśmiechu. Miał wrażenie, że czeka, by coś jeszcze powiedział.

- Czy mógłbym coś zasugerować?

- Pan gra na organach?

Kiedyś grałem. Niech pani nie używa trompette. Jest rozstrojona i psuje cały efekt, a można ją śmiało opuścić.

- Chyba ma pan rację - zastanowiła się. - Spróbuję.

Powróciła do gry, a on ruszył w głąb kościoła, gdzie znalazł sobie najciemniejsze miejsce i usiadł na ławce.

Dziewczyna zagrała całe preludium i fugę, a Fallon słuchał z zamkniętymi oczami. Nie pomylił się - była dobra i rzeczywiście warto było posłuchać jej gry.

Kiedy w jakieś pół godziny później skończyła, zebrała nuty i zeszła na dół. Zatrzymała się przy schodach. Może wiedziała, że Fallon siedzi w ciemnym kącie, lecz nie dała tego po sobie poznać i po chwili weszła do zakrystii.

Fallon siedział i czekał w mroku kościoła.

Rozdział III

MILLER

Ksiądz da Costa siedział w biurze dyrektora cmentarza i kończył właśnie drugą filiżankę herbaty, gdy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł młody konstabl.

- Przepraszam, że znowu przeszkadzam, ale Mr Miller chciałby zamienić z księdzem parę słów.

- Mr Miller? - zdziwił się da Costa i wstał.

- Nadinspektor Miller, proszę księdza. Szef CID, czyli Generalnego Biura Śledczego.

Na dworze wciąż padało. Dziedziniec zatłoczony był policyjnymi samochodami, a cmentarz aż roił się od policjantów krzątających się między krzakami rododendronów. Da Costa ruszył wąską ścieżką w głąb cmentarza.

Ciało leżało dokładnie w tym samym miejscu, gdzie upadło, tyle że teraz częściowo przykryte brezentową płachtą. Nad nim klęczał młody mężczyzna w ciemnym płaszczu, mówiący coś cicho, zapewne do podręcznego dyktafonu. Obok niego spoczywała czarna torba lekarska. I tutaj pełno było policjantów w mundurach i w cywilu. Kilku z nich mierzyło coś za pomocą zwijanych taśm, inni przeszukiwali rozmokły grunt.

Młody detektyw nazwiskiem Fitzgerald, który przyjmował zeznania księdza stał nieco z boku i rozmawiał z wysokim, szczupłym mężczyzną w płaszczu przeciwdeszczowym z szerokim paskiem. Na widok da Costy podszedł do niego.

- Dziękuję, że ksiądz się fatygował. To jest detektyw - nadinspektor Miller.

Mężczyzna o wyglądzie profesora podał księdzu rękę. Miał wąską twarz i cierpliwe, piwne oczy. Zdawał się być nieco zmęczony.

- Kiepska sprawa - powiedział.

- Bardzo kiepska.

- Jak ksiądz widzi, przeprowadzamy rutynowe badania w miejscu przestępstwa, a profesor Lawlor kończy pierwsze oględziny zwłok. Po południu zrobi sekcję. Niemniej, ksiądz jest koronnym świadkiem. Czy mógłbym zadać teraz kilka pytań?

- Oczywiście, ale wydaje mi się, że inspektor Fitzgerald wydobył już ze mnie wszystko, co miałem do powiedzenia. Był niesłychanie skrupulatny.

Fitzgerald opuścił skromnie oczy, a Miller uśmiechnął się.

- Proszę księdza, pracuję w tym fachu od dwudziestu pięciu lat i jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że niemal zawsze coś zostaje i to coś istotnego. Łatwo jest coś przeoczyć.

Profesor Lawlor podniósł się z ziemi.

- Skończyłem - powiedział. - Nick, możecie go zabrać. Zwrócił się do da Costy.

- O ile się nie mylę, to właśnie ksiądz powiedział Fitzgeraldowi, że denat klęczał na prawym kolanie, gdy padł strzał. Mniej więcej w tym samym miejscu, tak?

Odsunął się o kilka kroków i wskazał palcem skraj grobu.

- Tak jest.

- Zgadza się - powiedział Lawlor do Millera. - Musiał spojrzeć w górę, zwracając głowę w prawo. Rana wlotowa znajduje się w lewej skroni o jakieś dwa cale nad lewym okiem.

- Jeszcze coś ciekawego?

- Właściwie nic. Rana wlotowa ma około ćwierć cala średnicy. Mało krwi, żadnych śladów prochu. Żadnego odbarwienia. Rana wylotowa ma dwa cale - pocisk z miękkim płaszczem. Czaszka przebita, prawy potyliczny płat mózgu naruszony. Kula wyszła dwa cale za uchem.

- Dziękuję, kochany panie doktorze Kildare - uśmiechnął się Miller.

Profesor Lawlor zwrócił się z uśmiechem do da Costy.

- Widzi ojciec, medycyna też ma własny żargon, zupełnie jak Kościół. Chciałem po prostu powiedzieć, że nasz nieboszczyk został postrzelony w głowę z niedużej odległości, lecz bez przystawienia - zamknął torbę. - Kula, a raczej resztki kuli nie mogą być daleko.

- Dziękuję, że mi profesor o tym przypomniał - odparł Miller nie bez sarkazmu.

Podszedł potrząsając głową Fitzgerald.

- Nasi ludzie robią odciski butów, lecz to tylko strata czasu. Ten człowiek miał na nogach kalosze. I druga sprawa - przeczesaliśmy cały teren i nie znaleźliśmy nawet śladu łuski.

Miller zmarszczył brwi i zwrócił się do da Costy:

- Czy ksiądz jest pewien, że widział tłumik?

- Całkowicie.

- Jest ksiądz pewien swego...

- Jeszcze jako młody człowiek byłem porucznikiem Special Air Service. Walczyłem w Jugosławii, na wyspach Morza Egejskiego. Widzi pan, nieraz sam posługiwałem się pistoletem z tłumikiem.

Miller i Fitzgerald spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Da Costa doznał nagłego olśnienia.

- Ach, rzeczywiście - powiedział. - Przecież to jasne. Nie można nałożyć tłumika na zwykły rewolwer. To był pistolet automatyczny z wyrzutnikiem. Chwileczkę, pistolet trzymał w prawej ręce, a zatem łuska powinna być gdzieś tutaj.

Podszedł do uchylonych marmurowych drzwi nagrobka.

- Tak jest - zgodził się Miller. - Lecz nie możemy jej znaleźć.

- Ten człowiek przyklęknął i podniósł coś z ziemi - przypomniał sobie ksiądz. - I zaraz potem zniknął.

- A tego nie ma w pańskim raporcie - zwrócił się Miller do Fitzgeralda. Ten opuścił głowę.

- To moja wina, nadinspektorze - da Costa pospieszył z wyjaśnieniem. - Wyleciało mi to z głowy.

- Jak powiedziałem przed chwilą - zawsze coś zostaje - Miller wydobył z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem z podniszczonego, skórzanego woreczka. - Jednego jestem pewien. Ten człowiek nie jest pospolitym przestępcą. Musi być wytrawnym fachowcem, i to mnie cieszy.

- Nie rozumiem - zdziwił się da Costa.

- Takich speców nie ma wielu. To całkiem proste rozumowanie. Widzi ksiądz - jakieś sześć miesięcy temu zrabowano prawie ćwierć miliona z pewnego banku. Bandyci pracowali przez cały weekend, żeby dostać się do skarbcza. Piękna robota - za piękna. Od razu zorientowaliśmy się, że w całym kraju jest pięciu, może sześciu ludzi, którzy potrafiliby to wykonać. Przy czym trzech z nich i tak już siedzą. Reszta była tylko kwestią arytmetyki.

- Rozumiem.

- Przyjrzyjmy się naszemu pięknemu nieznanomemu. Wiemy o nim dość dużo. Jest człowiekiem wybitnie inteligentnym, jako że przebranie się za księdza świadczy o nie byle jakiej pomysłowości. Większość ludzi rozumuje w kategoriach stereotypów. Jeśli zapytać ich, czy kogoś widzieli, powiedzą, że nie. Gdy ich przycisnąć, przypomną sobie, chociaż nie zawsze, że widzieli listonosza, a w naszym przypadku - księdza. Jeśli ich zapytać, jak wyglądał, znajdą się w kłopotcie, bo wszystko, co zapamiętali, to tyle, że miał na sobie sutannę i wyglądał po prostu jak ksiądz.

- Widziałem jego twarz - powiedział da Costa. - I to wyraźnie.

- Mam nadzieję, że będzie ksiądz równie pewny swego, gdy pokażemy mu zdjęcie tego człowieka w cywilnym ubraniu. Ten facet dobrze wiedział, co robi. Nałożył kalosze, prawdopodobnie o dwa numery za duże, a poza tym jest wyborowym strzelcem. Przeciężny śmiertelnik nie trafiłby w drzwi stodoły z odległości dwudziestu metrów. A ten zabił jednym, jedynym strzałem - to nie lada sztuka.

- I ma niezłe nerwy - nie zapomniał o łusce pomimo mojej nieprzewidzianej obecności.

- Powinniśmy księdza zaangażować - uśmiechnął się Miller i, zwracając się do Fitzgeralda, dodał: - Skończcie tu. Zabieram księdza da Costę do miasta.

Da Costa spojrział na zegarek - była dwunasta piętnaście.

- Przykro mi, lecz muszę zostać. Od pierwszej siedzę w konfesjonale, a poza tym, od dwunastej czeka na mnie bratanica z obiadem. Z pewnością jest już zaniepokojona.
- Rozumiem - Miller nie dał po sobie poznać rozczarowania. - A kiedy ksiądz będzie wolny?
- Oficjalnie o pierwszej trzydzięci. Ale to oczywiście nie zależy tylko ode mnie.
- Od ilości chętnych do spowiedzi?
- Oczywiście.

Miller z uśmiechem skinął głową.

- No to zgoda. Przyjdę po księdza o drugiej. Może być?
- Myślę, że będę mógł z panem pojechać.
- Odprowadzę księdza do samochodu.

Kiedy szli ścieżką między krzewami rododendronów, padało już nieco mniej. Miller ziewnął kilka razy i przetarł oczy.

- Wygląda pan na zmęczonego - zauważył ksiądz.
- Mało spałem ubiegłej nocy. Jakiś sprzedawca samochodów z jednego z tych nowych osiedli poderżnął żonie gardło kuchennym nożem, a potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do nas. Niby nieskomplikowany przypadek, lecz musiałem tam jechać osobiście. Morderstwo zawsze jest morderstwem. Położyłem się o dziewiątej, żeby choć trochę się zdrzemnąć, no i zaraz zadzwonili.

- Dziwne prowadzi pan życie. Co na to pana żona?

- Nic. Umarła rok temu.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie nie. Miała raka odbytnicy. Przepraszam, ja wiem, że Kościół ma inny pogląd na tę sprawę.

Da Costa nie odpowiedział, gdyż zrozumiał nagle, że na miejscu tego człowieka odczuwałby prawdopodobnie to samo.

Podeszli do starej, szarej furgonetki księdza i Miller zacisnął zęby. - Muszę go znaleźć, bo tylko przez niego mam szansę dostać się do tego, na kim naprawdę mi zależy. Tego drania, który to zorganizował.

- Rozumiem; widzę, że orientuje się pan o kogo w tym wszystkim chodzi.

- Gotów jestem założyć się o całą moją pensję.

Ksiądz da Costa przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik ożył.

- Jedno mnie wciąż dręczy - powiedział na odjeźdźnym.

- Co takiego, proszę księdza?

- Ten człowiek, którego pan szuka. Jeśli rzeczywiście jest takim fachowcem, za jakiego go pan uważa, to dlaczego mnie nie zabił? Miał przecież dobrą okazję.

- No właśnie - mruknął Miller. - Mnie też to zastanawia. Do widzenia.

Samochód odjechał, a Miller patrzył za nim jeszcze przez dłuższą chwilę. Zza węgła wyłonił się Fitzgerald.

- Co za człowiek - mruknął ze szczerym podziwem. Miller skinął głową.

- Dowiedz się o nim wszystkiego, i to naprawdę wszystkiego. I bądź u mnie o pierwszej czterdzięci pięć, ale punktualnie.

Fitzgerald spojrział na szefa ze zdumieniem.

- Nie powinno sprawić ci to wiele kłopotu - uśmiechnął się Miller. - Jesteś przecież praktykującym katolikiem, no nie? Należysz do Knights of St. Columbia, czy czegoś takiego. A może to tylko przykrywką dla IRA, co?

- Nic podobnego - oburzył się Fitzgerald.

- No dobra. Na początek pogadasz z dyrektorem cmentarza, potem pójdziesz do katedry. Tam powinni coś niecoś wiedzieć, a z tobą pewnie zechcą rozmawiać.

- Ale dlaczego, na miłość boską - zdumiał się Fitzgerald.

- Bo inną rzeczą, której nauczyłem się po dwudziestu pięciu latach w zawodzie, jest zasada, by nigdy nie oceniać nikogo tylko na podstawie pierwszego wrażenia - odparł uprzejmie zapytany, zapalając spokojnie fajkę. - I niczego zresztą też.

Po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do wozu. Skinął głową kierowcy na znak, że może jechać i osunął się głębiej na siedzeniu. Zasnął zanim jeszcze dojechali do szosy.

Rozdział IV KONFESJONAŁ

W saloniku starej plebanii Anna da Costa grała na fortepianie. Gdy usłyszała, że stryj wraca, obróciła się na taborecie i wstała.

- Spóźniłeś się, stryju. Co się stało?

Pocałował ją w policzki i zaprowadził do fotela pod oknem.

- I tak się dowiesz, lepiej zatem, gdy ja ci teraz powiem. Dziś rano na naszym cmentarzu zamordowano człowieka.

Zwróciła na niego piękne, lecz puste i na nic nie przydające się oczy. Na jej twarzy malował się wyraz całkowitego braku zrozumienia.

- Zamordowano człowieka? Nie rozumiem. Da Costa przysiadł obok i ujął jej dłoń.

- Byłem przy tym, Anno. Jestem jedynym świadkiem - wstał, i zaczął przechadzać się po pokoju. - To było w starej części cmentarza. Pamiętasz? Zabrałem cię tam w ubiegłym miesiącu.

Opisał jej ze szczegółami wszystko, co zdarzyło się od rana. Robił to nie tyle dla niej, ile dla siebie samego, co z niezrozumiałych powodów wydało mu się nagle konieczne.

- I nie strzelił do mnie. To jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Nie mogę tego zrozumieć. Przecież to zupełnie odbiera temu wszystkiemu sens.

- Och, stryju, to cud, że żyjesz - wzdrygnęła się dziewczyna. Wyciągnęła ku niemu dłoń, które on ujął zdając sobie nagle sprawę z uczucia, jakie ona w nim wzbudza. Uświadomił sobie, nie po raz pierwszy, że jest jedyną na całym bożym świecie istotą, którą naprawdę kocha i że jest to grzech, albowiem sługa boży powinien kochać wszystkie istoty jednakowo. Lecz Anna była jedynym dzieckiem jego zmarłego brata, osieroconym w wieku piętnastu lat. Zegar wybił pierwszą i da Costa wstając pogładził Annę po włosach.

- Muszę iść. Już jestem spóźniony.

- Zrobiłam kanapki - powiedziała. - Są w kuchni.

- Zjem, jak wrócę. Nie będę miał wiele czasu. O drugiej ma tu po mnie przyjechać nadinspektor Miller. Chce, żebym przejrzał fotografie przestępców. Gdyby przyszedł, zanim wrócę, daj mu filiżankę herbaty lub czegoś mocniejszego, dobrze?

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Zrobiło się nagle bardzo cicho. Anna siedziała w fotelu i usiłowała dojść do ładu z tym, co przed chwilą usłyszała. Niezbyt dobrze знаła życie: dzieciństwo spędziła w specjalnych szkołach dla niewidomych. Po śmierci rodziców uczęszczała do szkoły muzycznej. A potem wrócił stryjek Michał i po raz pierwszy od lat miała kogoś, kim mogłaby się opiekować i kto również pragnął troszczyć się o nią.

Pociechy zwykle szukała w muzyce, zatem i teraz zasiadła do fortepianu i zaczęła szukać brailowskiej transkrypcji dzieł Chopina. Nie mogła jednak na nie trafić. Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie, że zaniósła je do kościoła, gdzie trafiła na obcego człowieka, który zamienił z nią kilka słów. Musiała pozostawić te akurat nuty na organach.

Poszła do hallu, odszukała laskę, nałożyła przeciwdeszczowy płaszcz i wyszła przez frontowe drzwi.

Nadal silnie padało, gdy ksiądz da Costa przebiegł szybkim krokiem przez podwórze, otworzył drzwi prowadzące wprost do zakrystii, nałożył albę, narzucił fioletową stulę na ramiona i udał się do konfesjonału.

Był spóźniony, co i tak nie miało większego znaczenia. Niewielu ludzi przychodziło o tej porze do kościoła. Tylko od czasu do czasu zaglądał jakiś przechodzień, któremu stary kościół przypadł do gustu. Były dni, że siedząc przez całe wyznaczone pół godziny nie przyjmował nikogo.

Wnętrze kościoła było zimne i pachniało wilgocią, co nie było specjalnie dziwne - od dłuższego już czasu nie było go stać na płacenie rachunków za ogrzewanie. Pod obrazem Matki Boskiej młoda kobieta zapalała drugą świeczkę. Mijając ją spostrzegł, że czekają na niego przynajmniej dwie osoby.

Wszedł do konfesjonału, zmówił krótki pacierz i rozsiadł się jak mógł najwygodniej. Modlitwa nie uspokoiła jego wzburzonego umysłu, wciąż przeżywał jeszcze scenę z cmentarza.

Po drugiej stronie zasłony rozległ się kobiecy szept. Sądząc po głosie, musiała to być kobieta w średnim wieku. Zmusił się do powrotu do rzeczywistości i zaczął uważnie słuchać. Niewiele miała do wyznania - drobne wykroczenia, jakieś małe oszustwo na rachunku od piekarza, jakieś nieważne kłamstewka.

Następna była młoda - zapewne ta, która zapalała świece przed ołtarzem, gdy przechodził. Zaczęła., z wahaniem, od drobiazgow: złość, kłamstwa i że nie była od trzech miesięcy na mszy.

- Czy to wszystko? - spytał, gdy cisza się przedłużała. Oczywiście, że nie wszystko. Reszta wyszła dopiero teraz - związek z pracodawcą - żonatym.

- Jak długo to trwa?

- Trzy miesiące, ojcze.

- Kochacie się fizycznie?

- Tak.

- Jak często?

- Dwa, trzy razy w tygodniu. W biurze, gdy inni już wyjdą - jej głos uspokoił się; oczywiście samo wyznanie tajemnicy też pomaga, lecz tu było coś jeszcze.

- Czy ma dzieci?

- Troje, ojcze - znów przerwa. - Co mogę zrobić?

- Odpowiedź jest oczywista - zmień pracę i opuść go. Zapomnij o nim.

- Nie mogę!

- Dlaczego? Bo ci to odpowiada?

- Tak.

- I wiesz, że nie zdobędziesz się na zerwanie?

- Nie mogę! - w końcu coś w niej pękło. - Nie potrafię!

- To po co tu przyszłaś?

- Trzy miesiące nie byłam na mszy!

Wówczas zrozumiał. To było takie proste, że aż oczywiste.

- Nie możesz też żyć bez Boga - upewnił się.

- To strata czasu, ojcze - zaczęła płakać. - Nie przysięgnę, że tego więcej nie zrobię, bo wiem, że nie wytrzymam, gdy tylko go spotkam. Bóg wie o tym i jeśli powiem co innego, to skłamię i jemu i tobie, a tego nie chcę.

Zaskoczyło go zaufanie i naturalność, z jaką to powiedziała. Ilu ludzi było z nim tak szczerych? Westchnął, by usunąć nagle wzruszenie i pewnym głosem oznajmił:

- Niechaj Pan Nasz Jezus Chrystus przebaczy ci, jak ja w Jego imieniu przebaczam, i daruje winy na tak długo, jak długo będzie to potrzebne. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego - przez chwilę za kratką panowała cisza.

- Ale - ja nie mogę przyrzec, że więcej się z nim nie spotkam - rozległ się głos.

- Nie proszę cię o to. Jeśli uważasz, że możesz, i że tak będzie dobrze, to zmień pracę, a resztę zostaw Bogu.

Tym razem przerwa była dłuższa. W końcu z ulgą usłyszał:

- Dobrze, ojcze. Przyrzekam.

- Doskonale. Wczoraj msza jest o szóstej i nigdy nie widziałem więcej, niż dwadzieścia osób - będziesz mile widziana.

Drzwiczki trzasnęły i przez chwilę siedział zmęczony i szczęśliwy. Miał nadzieję, że powiedział to, co chciał, tak właśnie, jak powiedzieć należało, lecz to dopiero czas pokaże.

Drzwiczki stuknęły ponownie i rozległ się szurgot przystawianego bliżej krzesła.

- Proszę, pobłogosław mnie, ojczu.

Nie znał tego głosu. Miękki, z irlandzkim akcentem, należący do człowieka wykształconego.

- Niechaj Pan nasz, Jezus Chrystus błogosławi cię i pomoże wyznać grzechy.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, a potem nieznamy odezwał się:

- Czy istnieje możliwość, by to, co mam zamiar powiedzieć, mogło dojść do wiadomości osób trzecich?

Da Costa wyprostował się.

- To zupełnie wykluczone. Tajemnica spowiedzi jest absolutna.

- Doskonale - usłyszał. - W takim razie powiem od razu. Zabiłem dzisiaj człowieka.

Ksiądz da Costa osłupiał.

- Zabiłeś człowieka? - powtórzył. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że zamordowałeś go?

- Dokładnie tak.

Straszne przecucie ogarnęło księdza. Bezwiednie schylił się. Za kratą rozbłysło światło zapalki i po raz drugi tego dnia spojrzął w twarz Martina Fallona.

Gdy Anna przeszła z zakrystii na chór, panowała cisza. Brajlowskie nuty z utworami Chopina leżały tam, gdzie je zostawiła. Bez trudu znalazła utwór, którego szukała; resztę nut odłożyła na miejsce i przysiadła na chwilę, przypominając sobie spotkanie z tajemniczym człowiekiem o miękkim, mającym coś wspólnego z Irlandią, głosie.

Miał rację co do trompette. Dotknęła jej leciutko - jakie to dziwne, że taki drobiazg potrafi zepsuć cały efekt. Sięgnęła po laskę i w tej samej chwili usłyszała na dole trzaśnięcie drzwi i wzbudzony głos stryja. Zatrzymała się i stanęła jak wryta za zasłaniającą organy zieloną kotarą.

Ksiądz da Costa wypadł z konfesjonału, pchnąwszy gwałtownie drzwi. Nigdy nie słyszała takiego gniewu w jego głosie.

- Wyjdź! Wyłaź, do cholery! - krzyczał. - Wyjdź natychmiast i spójrz mi w oczy, jeśli masz odwagę!

Anna usłyszała cichy trzask drugich drzwi konfesjonału, potem czyjeś lekkie kroki, wreszcie spokojny głos.

- Więc znów się spotykamy.

Fallon stał przed konfesjonalem, z rękami wbitymi w kieszenie granatowego płaszcza. Ksiądz przysunął się do niego i powiedział ochryplym szeptem:

- Czy jesteś katolikiem?

- Od kiedy pamiętam... - w głosie Fallona zabrzmiała lekka nuta ironii.

- W takim razie wiesz doskonale, że nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia. Zamordowałeś dzisiaj człowieka. Z zimną krwią. Widziałem cię na własne oczy i ty wiesz o tym doskonale. Czego chcesz ode mnie?

- Już niczego. Jak sam ksiądz powiedział, tajemnica spowiedzi jest absolutna. W takim razie informacje, które ojciec posiada są, że tak powiem, zastrzeżone.

- Posłużyłeś się mną! - krzyknął da Costa i serce Anny ścisnęło się, tyle w tym głosie było rozpacz. - Posłużyłeś się mną - powtórzył. - Mną i kościołem w najhulaniejszy możliwy sposób!

- Mogłem zamknąć księdzu usta kulą między oczy. Czy ksiądz sądzi, że to wyjście byłoby lepsze?

- Może i tak - ksiądz da Costa odzyskał już panowanie nad sobą. - Jak się nazywasz?

- Fallon. Martin Fallon.

- To twoje prawdziwe nazwisko?

- Nazwisko to rzecz nabyta. Jako Fallon nie jestem jeszcze na żadnej liście policyjnej, zatem póki co poprzestańmy na nim.

- Rozumiem. Ciekawy wybór. Znałem kiedyś księdza o tym samym nazwisku. Czy wiesz, co ono oznacza po irlandzku?

- Oczywiście. Człowieka nie należącego do żadnego klanu.

- I to ci odpowiada?
- Nie rozumiem.
- Chciałem zapytać, czy za kogoś takiego właśnie się uważasz. Za romantycznego bohatera, kogoś nie dopasowanego do otoczenia.

Fallon nie zareagował.

- Pójdę już - powiedział. - Więcej mnie ksiądz nie zobaczy. Odwrócił się, lecz da Costa schwycił go za ramię.

- Czy człowiek, który zapłacił ci za tę robotę wie o mnie, Fallon? Zapytany spojrzał przenikliwie i uśmiechnął się.

- Niech się ksiądz nie martwi. Sprawa jest zamknięta.

- Jak na zawodowca, zachowujesz się raczej bezsensownie. Główne drzwi uchyliły się. Weszła stara kobieta, umoczyła palce w wodzie święconej, przeżegnała się, przyklękała i ruszyła główną nawą ku ołtarzowi.

- Nie możemy tutaj dłużej rozmawiać - zdecydował ksiądz, biorąc Fallona pod ramię. - Niech pan idzie za mną.

Przy prawej ścianie kościoła znajdowała się prowizoryczna winda, przeznaczona dla robotników odnawiających wieżę. Da Costa pchnął Fallona do środka i nacisnął guzik. Klatka windy uniosła się, przejechała przez sklecony z desek tunel rusztowania i po chwili znaleźli się na dachu. Da Costa odsunął kratę i poprowadził Fallona wąską, zbitą z desek ścieżyną okalającą wieżę na kształt mostka kapitańskiego na statku.

- Co tu się dzieje? - zapytał Fallon.

- Zabrakło pieniędzy na dalszy remont.

Żaden z nich nie usłyszał cichego warkotu wprowadzonego w ruch motoru. Kiedy dźwig zjechał, Anna weszła do środka, wymacała guzik, zamknęła kratę i pojechała na górę.

Widok z wieży był wspaniały, a szara zasłona deszczu dodawała uroku rysującemu się w oddali krajobrazowi. Fallon rozglądał się z wyraźną przyjemnością. Zmienił się teraz w nieuchwytny, trudny do określenia sposób. Uśmiechał się łagodnie.

- To lubię. Nic piękniejszego nie ma na całej tej ziemi. Czy nie tak powiedział poeta?

- Boże święty! Ja tu pana wprowadzam, by poważnie porozmawiać, a pan mi cytuje Wordswortha! Czy nic pana nie może wyprowadzić z równowagi?

- Jakoś niczego nie mogę sobie przypomnieć - wyciągnął i zapalił papierosa. - Używa ksiądz tego?

Da Costa zawahał się, lecz sięgnął po papierosa.

- Zapalę. Niech to cholera!

- Używajmy póki czas - podał księdzu ogień. - Ostatecznie i tak wszyscy znajdziemy się w piekle.

- Pan w to naprawdę wierzy?

- To, co widziałem w życiu sprawia, że piekło wydaje się być możliwością miłej odmiany.

Zaciągnął się dymem. Oparty o balustradę patrzył w przestrzeń. Da Costa poczuł się dziwnie bezradny. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oto ma przed sobą człowieka niewątpliwie dobrze wychowanego, nie pozbawionego sporej inteligencji, siły charakteru, wykształcenia, do którego jednak nie może dotrzeć, nie potrafi przebić się przez twardą powłokę.

- Nie jesteś chyba praktykującym katolikiem - zapytał w końcu.

- Już dawno przestałem chodzić do kościoła.

- Czy można wiedzieć dlaczego? - Nie - odparł Fallon spokojnie.

- Spowiedź, Fallon, to Sakrament - spróbował ponownie ksiądz.

- Sakrament żalu i skruchy. - Nagle poczuł, że mówi jak na lekcji w Szkółce Niedzielnej przed pierwszą komunią. Poczuł niezręczność tych słów, próbował jednak dalej: - Gdy idziemy do spowiedzi, spotykamy Jezusa, który jednoczy się z nami i dlatego, oraz dlatego, że żałujemy, nasz Ojciec nam przebacza.

- Nie proszę o przebaczenie - burknął Fallon. - Nikogo.

- Żaden człowiek nie może potępiać się na wieki - nie ma prawa.

- Człowiek, którego zabiłem, nazywał się Krasko i jeżeli ksiądz o nim nie słyszał, to mogę powiedzieć, że był przedstawicielem stworzeń nie mających nic wspólnego z ludźmi. Alfons, oszust, handlarz narkotykami. Nie było takiego świństwa, w którym by nie maczał palców. I ja mam prosić o przebaczenie? Za co?

- Prawo wymierzyłoby mu sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość! Tacy ludzie jak Krasko są ponad wszelką sprawiedliwością. Od lat czułem bezpiecznie za murem pieniędzy i wpływów adwokatów. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, to usuwając go wyświadczyłem społeczeństwu przysługę.

- Za trzydzieści srebrników.

- O nie, za wiele więcej. Ale proszę być spokojnym, zostawię coś na tacy, zanim odejdę. Mogę sobie na to pozwolić - odrzucił papierosa daleko od siebie. - A teraz już pójdę.

Odwrócił się, lecz ksiądz da Costa chwycił go gwałtownie za rękaw.

- Popełniasz błąd, Fallon. Zobaczysz, Bóg nie przyzna ci racji.

- Niechże ksiądz nie mówi takich głupstw.

- Już wmieszał się w twoją sprawę - ciągnął da Costa niewzruszenie. - Czy wyobrażasz sobie, że znalazłem się na cmentarzu w tym akurat momencie przez przypadek? - Da Costa potrząsnął głową. - O nie! Zabrałeś jedno ludzkie życie, ale on uczynił cię odpowiedzialnym za drugie - moje.

Fallon zbladł. Zrobił krok do tyłu, odwrócił się i ruszył ku windzie. W momencie, gdy mijał gruby słup, wydało mu się, że coś się za nim porusza. Spojrzał więc w lewo i ujrzał Annę da Costa. Najłagodniej jak umiał, wyprowadził ją z ukrycia. Dziewczyna krzyknęła ze strachu.

- Proszę się nie bać - szepnął. - Nic pani nie grozi. Ksiądz zbliżył się pospiesznie i objął bratanicę ramieniem.

- Proszę ją zostawić.

Anna zaczęła cicho płakać. Fallon popatrzył na nią przenikliwie. Może usłyszała więcej, niż powinna.

Ksiądz da Costa odsunął Annę od siebie i zapytał:

- Słyszałaś?

- Byłam w kościele - szepnęła dziewczyna i skinęła głową. Wyciągnęła ręce ku Fallonowi, jakby chciała go dotknąć. - Jakim typem człowieka pan jest?

Jej dłoń dotknęła jego twarzy. Znieruchomiał jak zaklęty w kamień. Nagle cofnęła się, niby przed skorpionem, i schroniła się w ramionach da Costy.

- Niech pan odejdzie - szepnęła. - Przysięgam, że nic nikomu nie powiem. Ale niech pan idzie czym prędzej i jak najdalej. Błagam!

Ksiądz przytulił ją mocniej.

- Ona dotrzyma słowa? - spytał Fallon.

- Jeśli przyrzekła, to dotrzyma. Bierzemy twoją winę na nasze sumienia, Fallon. A teraz wynoś się stąd!

Fallon stał, nie zmieniając wyrazu twarzy, jeszcze przez chwilę, a potem ruszył ku windzie.

Kiedy ją otwierał, ksiądz da Costa krzyknął za nim:

- Dwa ludzkie życia, Fallon! Dwa, pamiętaj o tym! Jesteś za nie odpowiedzialny! Czy potrafisz udźwignąć ten ciężar?

Fallon stał przez dłuższą chwilę z ręką na klamce dźwigu. Wreszcie powiedział cicho:

- W porządku. Dałem księdzu słowo. Mogę zagwarantować je własnym życiem, jeśli ksiądz sobie życzy.

Drzwi windy trzasnęły, rozległ się warkot elektrycznego silnika i winda zniknęła w dole.

- Poszedł - szepnęła Anna.

- Tak. Już po wszystkim.

- Był już przedtem w kościele - powiedziała jakby do siebie. - Zwrócił mi uwagę na trompette i miał rację. Czy to nie dziwne?

- Na trompette - zdziwił się da Costa i przez chwilę starał się zorientować, o czym ona mówi. Wreszcie westchnął ze zrozumieniem, potrząsnął głową i zwrócił się łagodnie do Anny:

- Chodź, kochana. Zaprowadzę cię do domu. Przeiębisz się tu na amen.

Podeszli do windy i ksiądz nacisnął guzik. Stali, czekając, aż nadjedzie.

- Co teraz zrobimy, stryju? - zapytała wreszcie.

- Na razie nic - powiedział cicho. - To, co usłyszałaś w kościele, było częścią spowiedzi, chociaż odbywało się poza konfesjonalem. To przez moją porywczosć. Bardzo mi przykro, Anno.

Wiem, że żądam rzeczy niezmiernie trudnej, lecz muszę cię prosić, byś zechciała zachować to w ścisłej tajemnicy. Musisz mi to przyrzec.

- Przecież już przyrzekłam. Jemu.

Dziwne, jak zastanawiające były dla niego te słowa. Myślał o nich przez całą drogę w dół.

Kiedy ksiądz da Costa znalazł się sam w swoim gabinecie, nalał sobie szklanke whisky. Stał przy kominku i, wpatrując się w płomień, sączył powoli złocisty płyn.

- No i co teraz, Michale? - zapytał w końcu samego siebie. Nawyku konwersacji z samym sobą nabrał w czasie trzech długich lat siedzenia w pojedynkę chińskiego więzienia w Północnej Korei. Pomagało mu to rozwiązać wiele zawiłanych spraw, i to w sposób możliwie najobiektywniejszy.

Problem, o którym myślał w tej chwili, nie był problemem typowo osobistym - dotyczył bowiem Fallona. Zdawał sobie z tego sprawę z całą jasnością, podobnie jak i z tego, że jego własna sytuacja jest praktycznie beznadziejna - miał związane ręce. Nie mógł działać, ani nawet mówić - następny ruch należał do Fallona - inaczej być nie mogło.

Anna zastukała do drzwi i natychmiast weszła.

- Stryju, nadinspektor Miller do ciebie.

Zaraz też Miller wkroczył do pokoju. W garści ścisnął kapelusz.

- Witam pana - powiedział ksiądz. - Czy zna pan moją bratanicę? Przedstawił ich sobie uroczyście. Anna była wprost niezwykle opanowana i spokojna, co mocno da Costę zaskoczyło.

- Zostawiam panów - powiedziała, wysuwając się z pokoju. - Na jak długo wychodzisz, stryju?

- Na razie wcale nie wychodzę.

- Nie rozumiem - zdziwił się Miller. - Myślałem...

- Chwileczkę - przerwał mu ksiądz, spoglądając na zamykającą drzwi Annę. - Przepraszam, co pan mówi?

- Ustaliliśmy, że pojedzie pan ze mną i przejrzy pewne zdjęcia.

- Wiem, drogi panie, lecz teraz to niemożliwe.

- Czy wolno mi spytać, dlaczego?

Ksiądz da Costa przez dobrą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz nie był w stanie wymyślić niczego oryginalnego.

- Obawiam się, że w ogóle nie będę mógł panom pomóc. Miller był szczerze zaskoczony.

- Zaczniemy od początku. Może niejasno się wyraziłem. Proszę księdza tylko o pewien drobiazg. Chcę, żeby ksiądz pojechał ze mną do Centralnego Biura i przejrzał tam album ze zdjęciami. Mam nadzieję, że jest w nim portret naszego porannego przyjaciela.

- Doskonale rozumiem.

- I mimo to ksiądz odmawia?

- To zupełnie bezcelowe.

- Nie pojmuję.

- I tak nie mogę panu w niczym pomóc.

Przez chwilę Miller był przekonany, że ksiądz postradał zmysły. Co za niesłychana odmiana? Przecież to nie miało żadnego sensu. I nagle olśniła go straszliwa myśl.

- Czy Meehan zagroził księdzu śmiercią?

- Meehan? - zdziwił się da Costa tak autentycznie, że Miller natychmiast porzucił to podejrzenie.

- Ksiądz wie, że jako naocznego świadka zbrodni mogę go wezwać oficjalnie?

- Można zaprowadzić konia do wodopoju, nadinspektorze, lecz nie można zmusić go do picia.

- Czasem warto próbować - zdenerwował się Miller. Podszedł energicznie do drzwi. - Niech mnie ksiądz nie zmusza do stosowania oficjalnych środków. Bardzo tego nie chcę, ale jeżeli będę musiał, to nie cofnę się przed tym.

- Panie Miller - powiedział da Costa stanowczo, chociaż cicho. - Brutalniejszy od pana próbowali już zmusić mnie do mówienia w okolicznościach, które według mnie wcale nie sprzyjały gadatliwości. Nie udało im się to i panu też się to nie uda. Zapewniam. Nie ma na ziemi siły, która by mogła skłonić mnie do zeznawania w sprawie takiej jak ta, chyba że sam uznam to za stosowne.

- To się jeszcze okaże. Daję księdzu czas do namysłu. Teraz pójdę, lecz wrócę - Miller był już przy drzwiach wyjściowych, lecz nagle przystanął. - Proszę księdza, czy po naszym odejściu widział ksiądz może jeszcze tego człowieka? Czy on groził księdzu? Czy życie księdza jest w niebezpieczeństwie?

- Do widzenia, panie nadinspektorze.

Drzwi frontowe trzasnęły i ksiądz da Costa powrócił do sączenia whisky. Do pokoju weszła Anna. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Pewnie pójdzie na skargę do Monsignora O'Hallorana - szepnęła. - A może ty poszedłbyś do niego pierwszy?

- Chyba masz rację - wysączył whisky i odstawił szklankę na kominek. - A jakie są twoje plany?

- Zamierzam pograć jeszcze z godzinkę na organach. Niech stryjek będzie o mnie spokojny. Odprowdziła go do hallu, pewnym ruchem sięgnęła po jego płaszcz i podała mu go.

- Cóż bym zrobił bez ciebie - uśmiechnął się da Costa.

- Pojęcia nie mam - też się uśmiechnęła. - Wracaj szybko. Kiedy wyszedł, zamknęła za nim drzwi. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Powróciła do gabinetu stryja, usiadła przy kominku i ukryła twarz w dłoniach.

Nick Miller był policjantem od bez mała ćwierć wieku. Dwadzieścia pięć lat pracy w systemie trzyzmianowym; dwadzieścia pięć lat niechęci sąsiadów i podejrzliwości znajomych. Co siódmy weekend w domu z rodziną i w konsekwencji bardzo luźne stosunki z synem i córką. Wykształcenie miał niezbyt gruntowne, lecz był człowiekiem mądrym, dobrym znawcą ludzkiej psychiki. Te zalety plus tysiąc długich nocnych dyżurów zrobiły z niego pierwszorzędnego policjanta.

Nie miał żadnych idealistycznych ciągot do zbawiania ludzkości czy naprawiania świata. Jego celem było łapanie złodziei, a do społeczeństwa podchodził w sposób niezmiernie prosty. Uważał, że składa się ono z cywilów, którzy od czasu do czasu pozwalają wciągać się w wojnę, jaka niezmiernie toczy się między przestępcami a policją. Gdyby zaś kazano mu wybierać, wybrałby przestępców. Przynajmniej człowiek wie, z kim ma do czynienia.

Lecz Dandy Jack Meehan był przypadkiem szczególnym. Miller nienawidził go bardziej, niż obsesyjnie. Była to nienawiść granicząca z szaleństwem. Mówiąc dokładniej, dziesięć najlepszych lat swego życia Miller spędził tropiąc Dandy Jacka, i to nadaremnie. To Meehan stał za morderstwem Kraski - Miller nie wątpił w to ani przez chwilę. Ci dwaj rywalizowali ze sobą od dobrych dwóch lat i wiedział o tym każdy.

Dziś, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, nadarzyła się okazja obciążenia Meehana, a tu ten ksiądz...

Miller wsiadł do samochodu i w nagłym impulsie pochylił się do przodu, nakazując kierowcy zawieźć się do przedsiębiorstwa pogrzebowego Meehana. Był tak wściekły, że trzęsły mu się ręce i z trudem zapalił fajkę.

Rozdział V

DANDY JACK

Paul's Square tworzył jakby zielone płuca w sercu miasta. Trochę trawy, parę klombów i wierzb, fontanna na środku. Ze wszystkich stron otaczały go rzędy gregoriańskich domów z

tarasami i charakterystycznymi podłużnymi oknami. Mieściły teraz głównie biura adwokackie lub prywatne gabinety lekarskie i były starannie utrzymane.

Panowała tu atmosfera zamożności, spokoju i elegancji, toteż przedsiębiorstwo pogrzebowe Meehana pasowało do miejsca idealnie. Na jego potrzeby połączono trzy sąsiadujące ze sobą domy po północnej stronie placu. Było tam wszystko, czego takiemu przedsiębiorstwu trzeba - od kwaciarni po kaplicę. W głębi, za domami, znajdował się parking i rząd garaży, wszystko otoczone murem tak, aby pewne czynności można było wykonywać z dyskrecją i poza zasięgiem wzroku żałobników, co miało zresztą niejakię znaczenie i w innych zgoła, niż pogrzeby, okolicznościach.

Karawan Bentley'a zajeżdżał na parking o godzinie pierwszej. Przy kierownicy siedział Meehan w towarzystwie Billy'ego. Miał na sobie dwurzędowy czarny płaszcz, czarny filcowy homburg na głowie i czarny krawat, jako że właśnie wracał z pogrzebu, którego doglądał osobiście.

Kierowca wysiadł i otworzył szefowi drzwiczki.

- Dziękuję, Donner - Meehan wraz z Billym ruszyli w stronę zakładu. Miniaturowy, szary charcik, który popijał wodę z miseczki ustawionej przy tylnym wejściu, zauważył Billy'ego i wskoczył mu na ramiona, merdając radośnie ogonem i biorąc się do wylizywania mu twarzy.

- No już dobrze, Tommy - w głosie Billy'ego brzmiała autentyczna czułość.

- Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie brał go na ręce. Zniszczy ci płaszcz. Jego cholerna sierść płacze się i tak po wszystkich fotelach.

Varley czekał na nich w drzwiach. W ręku ścisnął czapkę. Na jego czole widniały krople potu, a mięsień na prawym policzku drgał regularnie. Ogólnie biorąc, wyglądał jak ktoś u progu załamania nerwowego.

- Jak ty wyglądasz, Charlie! - Meehan przyjrzał mu się uważnie. - Przeskrobałeś coś, czy jak?

- Nie ja, Mr Meehan. To ten skurwiel Fallon. On...

- Nie tu - przerwał mu Meehan. - Złych wiadomości wolę zawsze wysłuchiwać w czterech ścianach.

Skinął na Donnera, żeby ten otworzył drzwi wejściowe. Wszedł do pomieszczenia zwanego tu recepcją. Nie licząc stojącego na środku wózka z trumną, było całkowicie puste.

Włożył papierosa między wargi i nachylił się, żeby przeczytać tabliczkę z nazwiskiem nieboszczyka. - Na którą to?

Donner przysunął się do szefa z płonąca zapalniczką w ręku.

- Na trzecią trzydziści, Mr Meehan.

Donner mówił po angielsku z australijskim akcentem. Usta przecinała mu blizna - rezultat operacji zajęcej wargi - która nie dodawała mu ani wdzięku, ani urody i w pewien sposób kontrastowała ze starannie uszytym czarnym garniturem zawodowego żałobnika.

- Kremacja?

- Nie, sir.

- Zajmiecie się tym z Bonattim. Coś mi mówi, że mogę być dzisiaj bardzo zajęty.

Odwrócił się, trzymając rękę na wieku trumny. Billy podpierał ścianę i drapał charcika za uszami, a na środku pokoju Varley przestępował z nogi na nogę, miętosząc w rękach czapkę, z miną gościa, który już czuje powrót na szyi i wie, że to, na czym opiera stopy, to zapadnia.

- Dobrze, Charlie - zażądał Meehan. - Co się stało?

Varley opowiedział mu wszystko, jękając się i zacinając ze zdenerwowania, a kiedy skończył, zapanowała długa cisza. Meehan nie zmienił wyrazu twarzy.

- Przyjdzie tu o drugiej, tak? - odezwał się w końcu.

- Tak powiedział, sir.

- A co z furgonetką? Zaprowadziłeś ją na złomowisko, jak kazałem?

- Oczywiście. Przypilnowałem, żeby ją od razu sprasowali. Tak, jak pan mówił.

Varley, mokry od potu, czekał na wyrok. Lecz niespodziewanie Meehan uśmiechnął się i poklepał go po policzku.

- Wszystko w porządku, Charlie. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Nie twoja wina, że sprawy się skomplikowały. Zostaw to mnie. Zajmę się całą resztą.

Pochwalony zdawał się teraz dla odmiany promieniować ulgą.

- Dziękuję, Mr Meehan - wykrztusił. - Naprawdę zrobiłem co mogłem. Zna mnie pan.

- Idź i zjedz coś. A potem wracaj do myjni. Jak będziesz mi potrzebny, dam ci znać.

Drzwi zamknęły się za Varley'em. Billy zachichotał.

- A mówiłem ci, że z tym Fallonem będą kłopoty. Trzeba było zająć się tym samodzielnie, ale ty nie chciałeś mnie słuchać.

Meehan złapał chłopca za długie, jasne włosy. Billy krzyknął z bólu i upuścił psa na podłogę.

- Czy chcesz, żebym stał się niemiły? - spytał łagodnie. - Czy tego właśnie chcesz, Billy?

- Nie miałem nic złego na myśli - jęknął tenże.

- To bądź grzecznym chłopcem - Meehan odepchnął go - i powiedz Bonattiemu, że jest mi potrzebny, a potem weź wóz i przywieź tu Tłustego Alberta.

Billy wzdrygnął się.

- Alberta? - szepnął. - Przecież wiesz, że nie mogę na niego nawet patrzeć. Śmiertelnie się go boję.

- To dobrze. Zapamiętam to sobie na następny raz, gdy zapomnisz o dobrych manierach - Meehan roześmiał się. - Co ty na to, Billy?

Oczy Billy'ego nie wyrażały nic, prócz przerażenia.

- Nie, nie Jack. Tylko nie Albert.

- No to bądź greczny. A teraz już idź.

Poklepał brata po policzku i pchnął go lekko w stronę drzwi: Kiedy wyszedł, Meehan westchnął i zwrócił się do Donnera.

- Sam nie wiem, co robić z tym chłopakiem. Naprawdę nie wiem.

- Jest jeszcze młody, Mr Meehan.

- Jedyne, o czym myśli, to dupy. Każda dzidzia może go mieć na zawołanie. Byle tylko nosiła przykrótką spódniczkę i głęboki dekolt. Któregoś dnia przyłapałem go nawet ze sprzątaczką. I to w moim pokoju. Miała co najmniej pięćdziesiąt pięć lat.

Zatrzęsło nim autentyczne obrzydzenie. Donner milczał dyplomatycznie. Meehan otworzył drzwi prowadzące do kaplicy. Dzięki świetnej klimatyzacji było tam chłodno; pachniało żywicą i kwiatami. Z umieszczonego w ścianie głośnika płynęły subtelne dźwięki muzyki organowej.

Wzdłuż ścian kaplicy znajdowało się sześć przegród. Meehan zdjął kapelusz i wszedł do pierwszej z nich. Na wąskim wózku stała otoczona kwiatami dębowa trumna.

- Kto to jest?

- Młoda dziewczyna. Wie pan, ta studentka, która wyleciała przez przednią szybę samochodu.

- O tak, sam ją przygotowywałem.

Odsonił welon skrywający twarz leżącej. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Oczy były zamknięte, usta lekko rozchylone. Wyglądała, jakby śniła jej się coś miłego.

- Pięknie ją pan zrobił, panie Meehan - pochwalił Donner. Meehan skinął z zadowoleniem.

- Muszę się z tobą zgodzić, Frank. I wiesz, co ci powiem? Kiedy ją przywieźli, miała zupełnie rozwalony lewy policzek. Befszyk tatarski, jak Boga Kocham!

- Jest pan artystą, Mr Meehan - powiedział Donner z autentycznym podziwem w głosie. - Prawdziwym artystą. Nie ma na to innego słowa.

- Dziękuję ci za uznanie, Frank. Zawsze staram się jak mogę, lecz w tak szczególnym przypadku, jak ten... młoda dziewczyna, rozumiesz... trzeba mieć wzgląd na rodziców...

Meehan zgasił światło i wyprowadził Donnera z kaplicy.

- No pewnie - zgodził się jeszcze ten z przekonaniem.

Weszli do hallu. Oryginalne, pięknie zachowane gregoriańskie stiuki na ścianach komponowały się z niebiesko-białymi medalionami z wedgewodzkiej porcelany. Na prawo znajdowały się przeszklone drzwi prowadzące do pokoju przyjęć. Dochodziły stamtąd przytłumione głosy i cichy płacz.

Drzwi otworzyły się, wypuszczając staruszkę - szlochając, zasłaniając twarz chusteczką do nosa. Na głowie miała czarny szal, płaszcz był bury, wytarty na ramionach. W jednej ręce trzymała torbę na zakupy, w drugiej zniszczoną, skórzaną torebkę. Twarz miała opuchniętą od płaczu.

Recepcjonista, młody człowiek nazwiskiem Ainsley, wszedł za nią. Był bardzo wysoki i chudy; miał zapadnięte policzki i rozbiegane oczy. Jego dłonie były miękkie, prawie kobiece, miał na sobie starannie zaprasowane szare ubranie i jednobarwny krawat na szyi.

- Przykro mi, droga pani - mówił dość oschłym tonem - ale tak już jest. Mimo to, może pani na nas polegać, wszystko załatwimy.

- Co już tak jest? - zainteresował się Meehan, podchodząc do płaczącej. - Proszę nie płakać, kochana. O co chodzi?

- Pani jest zdenerwowana - tłumaczył Ainsley. - Straciła wczoraj męża.

Meehan nie zareagował na jego słowa i poprowadził kobietę do swego gabinetu. Posadził ją w fotelu przed biurkiem.

- No, a teraz, kochana, niech mi pani powie, o co chodzi.

Ujął jej rękę w swoje dłonie, a ona przytrzymała je jak ostatnią deskę ratunku.

- Miał dziewięćdziesiąt lat - zaszlochła. - Myślałam, że mnie przeżyje. No i w niedzielę, jak wróciłam z nieszpórów, znalazłam go na dole. Spadł ze schodów. A był taki silny, taki zdrowy... Nie mogę w to uwierzyć.

Wielkie jak groch łzy spływały jej po policzkach.

- Wiem, wiem, kochana, a teraz przyszła pani do nas, żebyśmy go pochowali.

- Nie mam zbyt dużo pieniędzy, ale nie chcę państwowego pogrzebu. Wszystko ma być, jak należy. Myślałam, że dam sobie radę, gdy dodam do polisy ubezpieczeniowej to, co mam w banku, ale ten młody człowiek powiedział mi, że musi to kosztować co najmniej siedemdziesiąt funtów...

- Panie Meehan, pozwoli pan, że wytłumaczę... - zaczął Ainsley. Meehan rzucił mu obojętne spojrzenie i ten zamilkł.

- Zapłaciła mu pani gotówką? - zapytał Meehan.

- No tak, tak. Poszłam od razu do ubezpieczalni i kazałam sobie wypłacić polisę. Dali mi pięćdziesiąt funtów. Myślałam, że to wystarczy.

- A pozostałe dwadzieścia?

- Miałam dwadzieścia pięć funtów na koncie.

- Rozumiem - powiedział Meehan i zwrócił się do Ainsley'a:

- Proszę mi przynieść akta.

Młody człowiek pobiegł do swojego biurka i przyniósł cienką teczkę z paroma kartkami papieru. Ręce drżały mu nieznacznie. Meehan przejrzał akta, uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu staruszki.

- Mam dla pani dobrą nowinę - zaszła pomyłka.

- Pomyłka?

Wyjął z kieszeni portfel i podał staruszce dwadzieścia pięć funtów.

- Mr Ainsley zapomniał o specjalnej uldze dla emerytów, jaką wprowadziliśmy tej jesieni.

Stara kobieta spojrzała na Meehana ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- Specjalna ulga? - spytała niepewnie. - Ale to nie znaczy, że mój mąż będzie miał państwowy pogrzeb?

- Nic podobnego - Meehan pomógł jej wstać. - Prywatny pogrzeb. I to najlepszy, zapewniam panią. A teraz pójdziemy i wybierzemy mu kwiaty.

- Bez dodatkowej opłaty - upewnił ją, i rzucił przez ramię Donnerowi: - Przytrzymaj go tu.

Zaraz wracam.

Z gabinetu Meehana można było przejść prosto do kwaciarni. Gdy znaleźli się tam, podbiegł do nich wysoki, szczupły młodzieniec o długich włosach i pięknie wykrojonych ustach.

- Dzień dobry panu, czym mogę służyć? - zapytał, sepleniąc z lekka. Meehan poklepał go po policzku.

- Dzień dobry, Rupercie. Obsłuż tę panią. Pomóż jej wybrać najpiękniejsze kwiaty, bukiet i wieniec. Na koszt firmy, oczywiście.
- Oczywiście, Mr Meehan - Rupert przyjął całą sprawę najnaturalniej na świecie.
- I jeszcze jedno, Rupercie. Załatw, żeby któryś z chłopców odwiózł panią do domu, dobrze? - zwrócił się do kobiety: - Dobrze będzie, kochana?

Staruszka wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Pan jest dobrym człowiekiem. Niech pana Bóg ma w swojej opiece.
- I tak jest - powiedział Meehan bez uśmiechu. - Opiekuje się mną dzień w dzień.

I wyszedł.

- Śmierć jest czymś, do czego trzeba podchodzić z szacunkiem - mówił Meehan. - Weźmy chociażby tę staruszkę. Zgodnie z ankietą, którą wypełniła, ma osiemdziesiąt trzy lata. Przecież to nadzwyczajne.

Siedział w obrotowym fotelu za biurkiem. Henry Ainsley stał przed nim niemal na baczność. Donner podpierał drzwi. Ainsley uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Ma pan zupełną rację, sir. Już zrozumiałem.

- Czyżby, Henry? Nie byłbym taki pewny.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł niski, starannie ubrany człowiek. Na ramiona miał narzucony przeciwdeszczowy płaszcz z paskiem. Wyglądał na Włocha z południa, lecz mówił z silnym akcentem mieszkańców Południowego Yorkshire.

- Pan mnie wzywał, M r Meehan?

- Tak jest, Sonati. Podejdz tu. Ponownie zwrócił się do Ainsley'a:

- Zastanawiasz mnie, Henry. Naprawdę. Widzisz, dla mnie sprawa wygląda tak: nieboszczyk był ubezpieczony. Był zwykłym robotnikiem. Ona dostała z polisy pięćdziesiąt funtów na koszty pogrzebu, a ty wyceniłeś go na siedemdziesiąt i zmusiłeś biedaczkę do wysupłania ostatnich oszczędności, jako że ona nie może znieść myśli, że jej Billy miałby zostać pochowany byle jak na koszt państwa. Dałeś jej jednak kwit na pięćdziesiąt, czego ona oczywiście nie zauważyła, bo jest za stara i zbyt zmęczona, i zaksięgowaleś 'też pięćdziesiąt. Ainsley zaczął dygotać na całym ciele.

- Błagam pana, Mr Meehan. Niech mnie pan wysłucha. Mam ostatnio straszne kłopoty. Meehan wstał.

- Czy przywieziono go już? Tego jej męża? Ainsley skinął głową.

- Tak. Wczesnym popołudniem. Leży w trójce. Jeszcze nie przygotowany.

- Poprowadź go - polecił Donnerowi, wychodząc z pokoju. Wszedł do kaplicy, a potem do boksu oznaczonego numerem trzecim. Pozostali szli za nim krok w krok. Nieboszczyk leżał w nakrytej prześcieradłem trumnie. Meehan odchylił je i przyjrzał się leżącemu przed nim nagiemu ciału starego człowieka. Miał wciąż ramiona i klatkę piersiową atlety.

Meehan spojrzał na ciało z podziwem.

- Musiał być silny jak tur. Prawdziwy kawał chłopca. Nic dziwnego, że go uwielbiała. To był prawdziwy mężczyzna.

Odwrócił się i błyskawicznie wpakował Ainsley'owi kolano w podbrzusze. Ten wydał z siebie zduszony krzyk, zgiął się w pół i runął na ziemię.

- Zabierz go do składu trumien. Zaraz tam przyjdę - polecił Donnerowi.

Gdy Henry Ainsley odzyskał przytomność, uświadomił sobie, że leży na plecach i ma wyciągnięte ramiona. Na jednej z jego rąk stał Donner, na drugiej Bonatti.

Drzwi otworzyły się, wszedł Meehan.

- Dobra. Podnieście go.

Pomieszczenie służyło do przechowywania zamawianych w innym przedsiębiorstwie trumien. Pod jedną ze ścian znajdowały się dwie ławy, nad nimi wisiały liczne narzędzia stolarskie.

- Błagam pana, Mr Meehan - jęknął Ainsley.

Meehan skinął na Donnera i Bonattiego, którzy podnieśli Ainsley'a, zaciągnęli pod ścianę i położyli na plecach na jednej z ław.

- Mam zamiar dać ci małą nauczkę, Henry - powiedział Meehan spokojnie. - Nie dlatego, że chciałeś nabrać mnie na dwadzieścia pięć funtów. To swoją drogą, lecz chodzi przede wszystkim o tę biedną starą. Ona na pewno niewiele miała z życia. A teraz straciła ostatniego człowieka, który ją kochał.

Oczy błysnęły mu złością, lecz głos był nadal miękki, niemal tkliwy.

- Przypomina mi moją mamę. Sam nie wiem, dlaczego. Lecz jednego jestem pewien - tej starej kobiecie należy się szacunek, a jej mąż z pewnością nie zasłużył sobie na marny, państwowy pogrzeb.

- Kiedy pan mnie źle zrozumiał - jękał się Ainsley.

- Nie Henry, to ty mnie źle rozumiesz.

Spośród wiszących na ścianie narzędzi wybrał dwa długie szydła, sprawdził kciukiem ich ostrość i przybił, najpierw jedną, a potem drugą dłoń Ainsley'a do ławy. Ten zemdłał.

- Zostawcie go tak na pięć minut - polecił. - Potem puście go i powiedzcie, że jeżeli nie zjawi się jutro punktualnie do pracy, to mu obetnę jaja.

- Jasne, Mr Meehan - powiedział Donner. - A co z Fallonem?

- Idę do gotowalni. Jak Fallon się zjawi, to przytrzymajcie go w biurze dopóki nie wrócę do siebie, a potem przywieźcie go na górę. I jak tylko zjawi się Albert, niech przyjdzie do mnie.

- Łagodne traktowanie?

- A jakże by inaczej, Frank? Jakże by inaczej?

Uśmiechnął się, poklepał nieprzytomnego Ainsley'a po policzku i wyszedł.

Gotowalnia znajdowała się po drugiej stronie kaplicy. Meehan zamknął drzwi. Lubił być sam, gdy balsamował. Mógł się wtedy lepiej skoncentrować na robocie.

Na środku pokoju, na wysokim stole, leżały przygotowane dla niego zwłoki nakryte białym prześcieradłem. Obok, na stoliku, znajdowały się narzędzia, rozmaite buteleczki i pudełeczka. Były tam skalpele, nożyczki, szczypce, igły i nici chirurgiczne, gumowe węże; duża, gumowa gruszka i spory słoik, zawierający płyn do balsamowania. Pod tym wszystkim, na półeczce, leżały ułożone w ściśle ustalonym porządku zestawy kosmetyków.

Ściągnął ze zwłok prześcieradło i starannie złożył płótno. Oczom jego ukazało się ciało przystojnej, ciemnowłosej kobiety lat około czterdziestu. Wiedział, że umarła na serce, i to podczas normalnej rozmowy z mężem na temat świątecznych prezentów.

Na jej twarzy malował się charakterystyczny dla wielu zmarłych nagłą śmiercią nieboszczyków, wyraz lekkiego zdumienia. Miała otwarte usta, opuszczoną dolną szczękę i wyglądała, jakby wciąż nie mogła nadziwić się, że coś takiego przytrafiło się właśnie jej. Za pomocą długiej igły i jeszcze dłuższej nitki złączył dolną szczękę z górną, nieco zapadnięte oczodoły wyścielił dwiema kulkami waty, podobnie potraktował policzki. Ciało ważyło około pięćdziesięciu kilo, co oznaczało, że trzeba będzie wpompować w nie z dwadzieścia litrów płynu do balsamowania, składającego się z formaliny, gliceryny, boraksu, odrobiny fenolu i cytrynianu sodu.

Pracował szybko i sprawnie, pogwizdując z cicha. Ostatni ścieg zrobił po blisko godzinie, orientując się jednocześnie, że za drzwiami pomieszczenia toczy się jakaś dość głośna kłótnia. Po sekundzie drzwi otworzyły się gwałtownie. Meehan spojrzał przez ramię za siebie. W drzwiach stał Miller. Usiłujący go zatrzymać Billy opuścił ręce.

- Nie dałem sobie z nim rady, Jack.

- Zrób nam herbaty - polecił mu Meehan. - Pić mi się chce. I zamknij drzwi. Temperaturę szlag trafi. Ile razy ci mówiłem?

Potem powrócił do przerwanej pracy. Wziął duży słoik podkładu pod puder i zaczął go delikatnie wklepywać w policzki zmarłej. Nie zwracał uwagi na Millera.

Ten zapalił papierosa. Dźwięk pocieranej zapalniczki zmącił ciszę.

- Nie tu - warknął Meehan. - Trochę szacunku, dobrze?

- Też coś - mruknął Miller, lecz rzucił papierosa i zgniótł go obcasem.

Podszedł do stołu. Meehan nakładał teraz róż na policzki. Pod jego palcami zmarła jakby ożywała. Miller przyglądał się tym zabiegom z fascynacją, nie pozbawioną jednak lęku.

- Naprawdę lubisz swoją pracę, Jack?
- Czego chcesz? - zapytał Meehan spokojnie.
- Ciebie.
- To nic nowego. Wystarczy, żeby ktoś w tym mieście złamał sobie nogę, a już wszystkie gliny zlatują się do mnie.
- Dobra, dobra. Oficjalnie zatem. Otóż niejaki Jan Krasko udał się dziś rano na grób swojej matki, żeby, jak zwykle w czwartek, położyć na nim kwiaty. Robi to od przeszło roku.
- A zatem ten bydlak ma jednak serce? A co to ma wspólnego ze mną?
- Dokładnie dziesięć po jedenastej ktoś wpakował mu kulkę w łeb. Precyzyjna, fachowa robota. W publicznym miejscu, żeby wiadomość doszła do każdego.
- Jaka znów wiadomość?
- Że kto nadepnie Meehanowi na odcisk, płaci bez zwłoki, i to życiem, czy też coś w tym guście.

Meehan spokojnie pudrował twarz nieboszczki.

- Dziś przed południem byłem zajęty. Chowaliśmy starego Marcusa. Tego tapicera. O godzinie jedenastej dziesięć siedziałem w kościele I Najświętszego Zbawiciela, biorąc udział w nabożeństwie. Może pan zapytać Billy'ego, byliśmy razem. Poza tym było tam jakieś dwieście innych osób, nie wyłączając naszego burmistrza. Stary Marcus miał wielu przyjaciół, lecz ostatecznie był to prawdziwy gentleman. Niewielu już takich zostało na świecie. Posmarował leciutko wazeliną brwi i rzęsy zmarłej i nałożył nieco szminki na usta. Efekt był rzeczywiście niezwykły. Nieboszczka nieodparcie przypominała śpiącą królową.
- Mnie nie obchodzi, gdzie byłeś. Wiem, że to twoja robota. Meehan odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał mu prosto w oczy.

- Udowodnij to - mruknął spokojnie.

Miller poczuł, że zalewa go nagła krew. Nagromadzona przez długie, pracowite lata frustracja urosła mu kulą w gardle. Rozpiął kołnierzyk, czując, że się dusi.

- Załatwię cię za to, Meehan. Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Tym razem posunąłeś się za daleko.

Oczy Meehana nabrały nagle dziwnego blasku. Wyprostował się, jakby urósł - z całej jego postaci emanowała teraz energia.

- Ty! - syknął. - Ty chcesz się ze mną zmierzyć? - obrócił się gwałtownie i wskazał na zwłoki kobiety. - Popatrz na nią, Miller. Przed chwilą była martwa, a ja dałem jej znów życie. I tobie zdaje się, że można mi coś zrobić?

Miller cofnął się odruchowo o krok, a Meehan wrzasnął:

- Wynoś mi się stąd do stu diabłów!

Miller sam nie wiedział, kiedy znalazł się w korytarzu. Miał wrażenie, jakby to sam diabeł go ścigał.

Zrobiło się nagle przeraźliwie cicho. Meehan stał przez chwilę w gotowni, oddychając ciężko jak po biegu, a potem sięgnął po słój z pachnącym kremem i pochylił się nad martwą kobietą.

- Dałem ci znów życie - szepnął i spokojnymi, wprawnymi ruchami zaczął wcierać krem w jej ciało.

Rozdział VI TWARZĄ W TWARZ

Kiedy Fallon znalazł się na Paul's Square, deszcz wciąż jeszcze lał strumieniami. Wspiął się po prowadzących do głównego wejścia stopniach i wszedł do przedsiębiorstwa Meehana. W biurze nie zastał nikogo. Rupert, który zauważył go przez przeszkłone drzwi kwaciarni, zjawił się w hallu.

- Czym mogę panu służyć?
- Nazywam się Fallon. Meehan mnie oczekuje.

- Tak jest, sir - powiedział Rupert z przesadną uprzejmością. - Jeżeli zechciałby pan rozgościć się w biurze, poszukam go. To nie potrwa długo.

Fallon usiadł, zapalił papierosa i czekał. Upłynęło dobre dziesięć minut, zanim Rupert wrócił.

- Pan pozwoli ze mną na górę - uśmiechnął się szeroko.

- Co to znaczy, na górę?

- Mr Meehan połączył strychy trzech sąsiadujących ze sobą domów i urządził sobie tam mieszkanie, proszę pana. Naprawdę przepiękne.

Podeszli do niewielkiej windy. Rupert rozsunął drzwiczki.

- To jedyna droga?

- Są jeszcze tylne schody.

- To pójdziemy tylnymi schodami. Uśmiech Ruperta nieco przygasł.

- Tylko bez kawałów. Mr Meehan bardzo tego nie lubi. Poza tym, jakby co, to wszystko skupi się na mnie, a na to wcale nie mam ochoty.

- Zdawało mi się, że uwielbiasz każdą chwilę spędzoną ze swym chłopcem? - zdziwił się Martin i poczęstował Ruperta ciężkim kopniakiem w łydkę.

Ten wrzasnął i osunął się na prawe kolano, a Fallon wyciągnął z kieszeni płaszcz ceskę. Zdjął wprawdzie tłumik, lecz broń nadal wyglądała dość paskudnie. Rupert zbladł jak świeżo pobielona ściana, lecz nie chciał jeszcze dać za wygraną.

- On cię za to ukrzyżuje. Nikt nie może zagrywać sobie bezkarnie z Jackiem Meehanem.

Fallon schował ceskę do kieszeni.

- Schody - przypomniał łagodnie.

- Dobra - Rupert nachylił się, by rozmasować nogę. - Idziesz na swój pogrzeb, cwaniaczku.

Schody były obok kapliczki - wspięli się na trzecie piętro. Rupert, zatrudniony w charakterze przewodnika, stanął przed obitymi zielonym sukmem drzwiami. Odprowadzany zatrzymał się o trzy stopnie niżej.

- Te drzwi prowadzą prosto do kuchni.

- No to zmykaj do sklepiku.

Ruperta nie trzeba było dwa razy prosić. Szybko ruszył w dół, a Martin pchnął drzwi.

Otworzyły się bezszelestnie. Po drugiej stronie rzeczywiście znajdowała się kuchnia. Przez dalsze, na przestrzał otwarte drzwi pokoi, słychać było męskie głosy.

Przeszedł na palcach przez kuchnię, by w końcu ujrzeć wielki, pięknie urządzonej salon z pochyłymi, jak to w mansardach, oknami w obydwu przeciwległych ścianach. Meehan siedział w skórzanym fotelu z książką w jednej, i szklanką whisky w drugiej ręce. Billy, znów z chartem w objęciach, stał oparty o kominek, w którym jasno płonął ogień. Donner i Bonatti czekali po obu stronach windy.

- Gdzie on jest, u licha? - denerwował się Billy.

Chart wyskoczył z jego ramion i pobiegł w kierunku otwartych kuchennych drzwi. Stał przed nimi, warcząc i szczekając, aż Martin wsunął się do salonu, nachylił i lewą ręką podrapał psa za uszami. Prawej nie wyjmował z kieszeni.

Meehan odłożył książkę na stół i trzepnął się otwartą dłonią w udo.

- Nie mówiłem ci, że to cwana sztuka! - rzucił do Billy'ego. Odezwał się dzwonek telefonu.

Podniósł słuchawkę, trwał z nią przyciśniętą do ucha przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

- W porządku, kochany. Wracaj do kwaciarni. Poradzę sobie - i odłożył słuchawkę. - To był Rupert. Niepokoił się o mnie.

- Miło z jego strony - powiedział Fallon.

Stał oparty o ścianę przy kuchennych drzwiach, z rękami w kieszeniach. Donner i Bonatti przysunęli się miękko i stanęli za oparciem dużej, skórzanej kanapy na wprost Martina.

Meehan pociągnął jeszcze łyk whisky i wskazał na książkę.

- To "Państwo Boże" Świętego Augustyna. Spodziewam się, że znasz to, Fallon.

- Czytałem to przed laty - przyznał, sięgając lewą ręką po papierosa.

- Dobra rzecz - uśmiechnął się Meehan. - Gość wiedział, o czym pisze. Bóg i diabeł. Dobro i zło. To wszystko istnieje naprawdę. Poza seksem, rzecz jasna.

Wychylił szklaneczkę do dna, cmoknął.

- Ustawił wszystko, jak należy. Kobiety tylko wysysają z człowieka siły. Do znudzenia powtarzam to mojemu braciszкови, ale on mnie nie słucha. Wszystko, co w kiece, to jego. Widziałem, jak to jest, gdy pies leci za suką z gotowym do akcji kutasem. Wypisz wymaluj - to nasz Billy, i to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Znów nalał sobie whisky. Fallon czekał spokojnie. Wszyscy czekali. Tylko Meehan gapił się w przestrzeń.

- Nie, dupy są diabła warte, chociaż chłopcy niewiele lepsi. Nie wiem, gdzie podziały się te gromady sympatycznych siedemnaste - czy osiemnastolatków, które kiedyś można było spotkać na ulicy. Dziś całe to bractwo wygląda jak banda dzikusów i kurewek.

Fallon nie odezwał się. Meehan znów sięgnął po butelkę.

- Albert! - zawołał. - Chodź no tu do nas!

Drzwi od sypialni otworzyły się i do salonu wszedł mężczyzna tak wielki, że musiał się schylić, by nie uderzyć głową we framugę drzwi. Musiał ważyć co najmniej dwieście kilo. Miał zupełnie łysą czaszkę i ramiona tak długie, że sięgały prawie do kolan.

Jego małe, świńskie oczka spoczęły na twarzy Fallona. Billy odsunął się nerwowym ruchem i Albert runął na fotel, który stał tuż obok fotela Meehana, tyle że po drugiej stronie kominka.

- No i co, Fallon - odezwał się Meehan. - Zawaliłeś sprawę.

- Miałem sprzątnąć Kraszkę. Leży teraz w miejskiej kostnicy w lodówce.

- A ksiądz? Ten, który cię widział? Da Costa.

- Żaden problem.

- W każdej chwili może cię zidentyfikować. Varley mówił, że widział cię z tak bliska, że mógłby ci policzyć zmarszczki.

- To prawda, tyle że bez znaczenia. Zamknąłem mu usta.

- Rąbnąłeś go? - zainteresował się Billy.

- Po co? - Fallon zwrócił się do gospodarza. - Jesteś katolikiem? Meehan skinął głową. - Lecz co to ma do rzeczy?

- A kiedy po raz ostatni byłeś u spowiedzi?

- Skąd u diabła mam to pamiętać? Wieki temu.

- A ja byłem dzisiaj. Właśnie dlatego się spóźniłem. Musiałem czekać do pierwszej, żeby dostać się do księdza da Costy. Powiedziałem mu, że zabiłem Kraszkę.

- Wariat? - zdumiał się Billy. - Przecież sam pana widział, nie?

- Ale nie wiedział, że to ja. Dopiero, gdy spojrział na mnie przez kratkę, udało mu się mnie rozpoznać, lecz było już po spowiedzi.

- No i co z tego, na litość boską? - Billy dalej nic nie rozumiał, ale brat uspokoił go gestem ręki.

- Jasne - mruknął do siebie. - Spowiedź jest tajemnicą. Kościół to gwarantuje, no nie?

- Dokładnie tak.

- Bujda na resorach! - zdenerwował się Billy. - Ten ksiądz żyje i wie co i jak. Skąd możemy mieć pewność, że nie zdecyduje się gadać?

- Powiedzmy, że jest to mało prawdopodobne - poinformował go Fallon z niejaką ironią. - A zresztą! To i tak bez znaczenia. Mam przecież odjechać z Hull w niedzielę wieczorem. Chyba się nie mylę i chyba o tym nie zapomnieliście?

- Sam nie wiem - zamyślił się Meehan. - Może coś jest w tym, co mówi Billy.

- Billy sam nawet do klozetu nie trafi - zauważył Fallon spokojnie.

Zapanowało milczenie. Meehan wpatrywał się beznamiętnie w Fallona, Albert tymczasem złapał sprzed kominka stalowy pogrzebacz i jednym ruchem wygiął go w podkowę. Nie spuszczał przy tym oka z Fallona.

- To kapitalne! Tak, naprawdę, to mi się podoba! - Meehan parsknął śmiechem. Wstał, podszedł do stojącego w rogu biurka i wyciągnął z niego dużą kopertę. Wrócił na fotel i rzucił pakunek na stolik.

- Tu jest tysiąc pięćset funtów. Resztę, czyli dwa tysiące, otrzymasz w niedzielę wieczorem na pokładzie statku. Razem z paszportem. I będziemy kwita.

- To miło z twojej strony - pogratulował mu Irlandczyk.

- Jedna drobnostka - Meehan spojrzał na niego przenikliwie. - Ksiądz.

Fallon potrząsnął głową. Odpada.

- Co z tobą? - zdziwił się Meehan. - Tchórz cię obleciał, czy co? Boisz się, że cię Bozia pokarze? Mówiono mi, Fallon, że wielki z ciebie chojrak. Postrach Belfastu. Że zabiłeś Bóg wie ilu żołnierzy i parę dzieciaków przy okazji. Ale ksiądz to widać zupełnie co innego dla ciebie, co?

- Księdzu włos z głowy nie spadnie - był to ledwie słyszalny szept. - Tak chcę by było, i tak będzie.

- Ty chcesz? - w głosie Meehana pojawił się gniew. Albert rzucił pogrzebacz do ognia, wstał i wyprostował się.

- Którą grabę przetrącić mu na początek? Prawą czy lewą, M r Meehan?

Fallon wyjął z kieszeni ceskę i strzelił. Kula strzaskała prawe kolano olbrzyma, który runął na plecy jak kłoda. Leżąc, klął i jęczał na przemian, a krew rozlewała się po podłodze, mimo wysiłków zmierzających do jej zatamowania.

Przez chwilę nikt się nie ruszał, potem Meehan głośno się roześmiał.

- A mówiłem ci, że to nie byle kto - zwrócił się do Billy'ego. Fallon wziął kopertę i wsunął do kieszeni płaszcz. Bez słowa wycofał się do kuchni, kopniakiem zamknął drzwi i pobiegł schodami w dół.

Meehan schwycił kapelusz, nacisnął go na głowę i zawołał: - Billy, idziemy!

Kiedy otwierał drzwi, Donner zapytał go jeszcze:

- A co z Albertem?

- Wezwij pakistańskiego lekarza. Wiesz, tego, któremu zabronili praktykować. On się nim zajmie.

Gdy wsiadali do windy, Billy zapytał:

- I co teraz?

- Idziesz ze mną i robisz to, co ci każe.

Przeszli korytarz, hali i wybiegli na ulicę. Fallon był już po drugiej stronie i właśnie wchodził na przecinającą zielony trawnik skweru ścieżkę.

Nie zważając na samochody, Meehan przebiegł na drugą stronę ulicy i krzyknął na Martina. Irlandczyk spojrzał za siebie, lecz nawet nie zwolnił kroku. Dogonili go dopiero przy fontannie.

Fallon obrócił się, nie wyjmując ręki z kieszeni. Meehan uniósł uspokajającym gestem dłoni.

- Chcę tylko pogadać.

Był trochę zadyszany, usiadł więc na ławce, wyjął chusteczkę do nosa i wytarł nią spocone czoło. W kilka chwil później dogonił ich Billy. Dotychczasowa mżawka znowu stawała się z wolna ulewą.

- To wariactwo! - wrzasnął Billy. - Przez ciebie diabli wezmą mój nowy garnitur.

Meehan nie zwracał uwagi na brata. Patrzył teraz na Fallona, w jego oczach pojawiło się coś na kształt drwiącego podziwu.

- Niezły jesteś, naprawdę niezły - uśmiechnął się. - W całym mieście nie ma chyba drugiego takiego, co to nie zląkłyby się Tłustego Alberta. A ty załatwiłeś go na co najmniej sześć miesięcy.

- Po co pchał się, gdzie nie trzeba. To nie była jego sprawa.

- Pewnie. Ale do diabła z Tłustym! Doszedłem do wniosku, że masz rację co do tego księdza.

Fallon stał z nieruchomą twarzą. Meehan znów się roześmiał.

- Skautowskie słowo honoru. Włos mu z głowy nie spadnie.

- Doskonale. Widzę, że zmieniłeś zdanie.

- Owszem, lecz pozostaje jeden problem. Co zrobić z tobą do niedzieli wieczór? Może powinieneś pozostać na farmie?

- Mowy nie ma.

- Coś mi podpowiadało, że taka właśnie będzie twoja reakcja. - Meehan wciąż się uśmiechał. - Ale gdzieś musimy cię zamelinować. Może u Jenny? Jenny Fox? - zwrócił się do Billy'ego. - Jak myślisz, czy ona będzie mogła go przechować?

- Chyba tak - Billy był opryskliwy.

- Sympatyczna dziewczyna - dodał Meehan. - Kiedyś dla mnie pracowała. Poszedłem jej na rękę, gdy urodziła dzieciaka i jest mi winna przysługę.

- To dziwka - mruknął Billy.

- Nie szkodzi - przerwał mu Meehan. - Ma całkiem porządne mieszkanie. I bezpieczne, i niedaleko stąd. Zawieziesz go tam, Billy.

Uśmiechnął się przyjaźnie, nie tylko ustami, a całą twarzą, lecz Fallon nie dał się zwieść ani na sekundę. Niemniej, rzeczywiście gdzieś musiał się schronić.

- Dobra.

Meehan objął go ramieniem.

- Dobrze robisz, bracie. Jenny jest pierwszorzędną kucharką i ma poza tym jeszcze parę innych zalet.

Wrócili przed zakład i skierowali się w stronę parkingu. We frontowych drzwiach stał trzęsący się z zimna charcik, lecz na widok Billy'ego, psiak poleciał za nim jak strzała. Kiedy Billy wyjechał swym szkarłatnym scimitarem, charcik leżał już na tylnym siedzeniu. Fallon usiadł obok kierowcy, a Meehan zatrzaskał drzwiczki.

- Na twoim miejscu nie wysadzałbym nosa z domu - powiedział. - Teraz to już naprawdę nie warto ryzykować.

Fallon nie odpowiedział. Billy nacisnął na gaz i odjechali. W bramie ukazał się Donner.

- Zadzwoń mi po konowalę - oświadczył. - Co z Fallonem?

- Billy odwozi go do Jenny Fox. Idź i sprowadź mi Varley'a. Niech pójdzie pod dom Jenny. Ma tam być za pół godziny i stać jak wmurowany. Gdyby Fallon gdzieś poszedł, niech za nim idzie i dzwoni do mnie, gdy tylko nadarzy się okazja.

- Nic nie rozumiem, Mr Meehan.

- To tylko tak, na razie, zanim sprawy się nie ułożą - uśmiechnął się Meehan. - Później pozbędziemy się i jego, i księdza, ale wszystko w swoim czasie.

- Zaczyna mi się to podobać.

- Wiedziałem, że mnie pochwalisz - Meehan znów się uśmiechnął.

Jenny Fox była niewysoką, zazwyczaj wesołą dziewiętnastolatką o sporym biuście, wystających kościach policzkowych i migdałowych oczach. Miała długie, proste, kruczoczarne włosy, które jak kurtyna opadały jej na policzki. Gdyby nie wulgarny makijaż, byłaby rzeczywiście ładna.

Gdy zeszła na dół, miała na sobie czarną, plisowaną minispódniczkę i białą bluzkę. Lakierki na wysokich obcasach sprawiały, że poruszała się w sposób, który wielu mężczyzn określiłoby bez wahania jako atrakcyjny.

Billy czekał na nią przy schodach i gdy tylko zeszła, swobodnym gestem sięgnął jej pod spódniczkę.

- Znowu nosisz rajstopy, Jenny - powiedział z rozdrażnieniem.

- Przecież kazałem ci kupić pończochy.

- Nie gniewaj się, Billy - spojrzała na niego ze strachem. - Nie wiedziałam, że dzisiaj przyjedziesz.

- Uważaj, bo jak nie, to otrzymasz ode mnie coś specjalnego. Co z Fallonem. Mówił coś?

- Pytał, czy mogę mu pożyczyć brzytwę. Co to za jeden?

- Nie twój interes. Ma się stąd nie ruszać, a jakby wychodził to dzwoni natychmiast do Jacka. I staraj się przedtem dowiedzieć, gdzie się wybiera.

- Dobrze, Billy.

Jenny otworzyła mu frontowe drzwi.

Szedł tuż za nią, przyciskając się do jej pleców i obejmując ją oburącz w talii. Poczula, że wzbiera w niej coraz trudniejsza do opanowania nienawiść.

- I jeszcze jedno - szepnął jej do ucha. - Wciągnij go do łóżka.

- Chcę wiedzieć, dlaczego jest taki dobry.

- A jeśli nie zechce?

- Nałóż pończochy i podwiązki i podłóż mu się. Faceci w jego wieku lubią takie rzeczy.

Poradzisz sobie.

Klepnął ją w pośladki i wyszedł. Jenny zamknęła drzwi i przez chwilę stała oparta o nie, ciężko oddychając, co było charakterystyczne dla każdego spotkania z Billy'm, który sprawiał, że nachodziły ją ataki duszności. Łapała powietrze prawie jak ktoś tonący.

Po chwili poszła na górę i zastukała lekko do drzwi pokoju zajmowanego przez Fallona.

Zastała go w kącie przy umywalce. Wycierał ręce.

- Zaraz poszukam panu brzytwy. Odwiesił starannie ręcznik i potrząsnął głową.

- Później. Teraz muszę wyjść. Ogarnęło ją uczucie bezradnej paniki.

- Czy to rozsądne? - spytała szybko. - Dokąd się pan wybiera? Nałożył kapelusz i uśmiechnął się. Poglaskał ją po twarzy gestem tak dziwnie czułym, że coś ścisnęło ją w gardle.

- Rób, co do ciebie należy, dziewczyno. Dzwon do Meehana i powiedz mu, że poszedłem na spacer. Ale niech mnie cholera, jeśli powiem mu dokąd.

- Wróci pan na kolację?

- Na twoją kolację nie spóźnię się nawet za całą herbatę Indii - roześmiał się i wyszedł.

Jenny przypomniała sobie nagle, że jej babka używała przed laty tego samego powiedzenia.

Dziwne, lecz znowu zebrało się jej na płacz.

Miller wszedł do budynku Wydziału Medycyny Sądowej, gdzie zastał już Fitzgeralda w towarzystwie Johnsona, eksperta w dziedzinie balistyki. Siedzieli w niewielkim laboratorium w samym sercu gmachu. Fitzgerald wyglądał na podekscytowanego, Johnson zaś na znudzonego.

- Podobno macie coś dla mnie - przywitał ich.

Johnson, powolny, a nawet flegmatyczny Szkot, pokazał mocno odkształcony kawałek metalu, ściskany teraz między uchwytami szczypiec.

- Tak jakby, panie inspektorze - powiedział. - Mamy to, czego szukaliśmy. Nasi ludzie znaleźli kulę w żwirze. Około trzech jardów od ciała.

- W pół godziny po pana odejściu - dodał Fitzgerald.

- Udało się zidentyfikować rodzaj broni?

- Bez specjalnych problemów - na stole przed Johnsonem leżał egzemplarz "Smali Arms of the World". Przekartkował go szybko, znalazł właściwą stronę i przesunął książkę w stronę Millera. - Oto ona.

W prawym górnym rogu stronicy widniało zdjęcie ceski.

- Jak żyję, nie słyszałem o czymś takim. Jesteście pewni?

- Raczej tak. Muszę jeszcze przeprowadzić parę prób, lecz większych wątpliwości nie mam.

Widzi pan, każdy rodzaj broni ma cztery cechy charakterystyczne: bruzdy na kuli, ich liczbę i grubość; ich kierunek, czyli to, czy są prawo - czy lewoskrętne i kąt tego skrętu. Z chwilą, gdy mam już te dane, zaglądam do drobiazgu pod tytułem „Atlas Broni” i dzięki dwóm pracowitym Niemcom, którzy go sporządzili, mogę broń zidentyfikować. Żaden większy problem. Miller zwrócił się do Fitzgeralda:

- Niech pan natychmiast przekaże te dane do Scotland Yardu. Ceska to bardzo rzadko używana broń. Może komputer wyrzuci nam nazwisko jakiegoś faceta, który ostatnio się tym posługiwał. Warto spróbować. Zobaczymy się w biurze.

Fitzgerald wyszedł pospiesznie, a Miller polecił jeszcze Johnsonowi:

- Jakby pojawiło się coś nowego, proszę natychmiast mnie zawiadomić.

Poszedł do swojego pokoju. Na biurku znalazł teczkę, zawierającą życiorys księdza da Costy. Zważywszy, jak niewiele czasu miał Fitzgerald na zebranie danych, był to naprawdę dobrze opracowany dokument.

Miller zabrał się do czytania. W chwili, gdy zamykał teczkę, rozległo się pukanie i wszedł Fitzgerald.

- Mówiłem panu, że ten ksiądz to nie byle kto - uśmiechnął się.

- Nie wie pan jeszcze wszystkiego - odparł Miller i przekazał mu ostatnie nowiny z kościoła.

- Ale to zupełnie nie ma sensu!

- A może go przestraszyli?

- Meehan!? - roześmiał się Fitzgerald. - Ksiądz da Costa nie jest typem, który dałby się komukolwiek przestraszyć. To ktoś, kto zawsze zachowuje się uczciwie, nawet jeśli może to być ze szkodą dla niego samego. Jest naprawdę wykształcony: zrobił dwa doktoraty - językoznawstwo i filozofia, i gdzie go to zaprowadziło? Do parafii, w której za kilka lat nie będzie psa z kulawą nogą, do rozpadającego się kościoła w wymierającej dzielnicy niezbyt przyjemnego przemysłowego miasta.

- Dobra, i ja jestem przekonany, że ten ksiądz zawsze mówi to, co myśli, nawet wtedy, gdy inni mają tyle rozsądku, by trzymać gębę zamkniętą na kłódkę - otworzył teczkę. - No i na pewno nie jest tchórzem. W czasie wojny trzy razy zrzucano go do Jugosławii, dwa razy w Albanii. W 1944 odznaczony Distinguished Service Order. Dwa razy ranny - wzruszył ramionami. - I nic z tego nie rozumiem. Przecież musi być jakieś wytłumaczenie. Dlaczego odmówił współpracy?

- Faktycznie odmówił?

Miller zmarszczył brwi, starając się przypomnieć dokładnie, jakich właściwie ksiądz użył słów.

- No tak. Mówiąc dokładnie, to nie odmówił. Powiedział tylko, że to nie miałoby sensu; że nawet, gdyby tu przyszedł, to i tak nie mógłby w niczym pomóc.

- Dziwne sformułowanie.

- Mnie pan to mówi! I powiedział coś jeszcze ciekawszego. Gdy zagroziłem, że wezmę go oficjalnie jako świadka, oświadczył, że nie ma takiej siły na ziemi, która by go zmusiła do wypowiedzenia się w tej materii, chyba że on uzna to za stosowne.

Fitzgerald zbladł. Wstał i przechylił się przez biurko.

- Czy jest pan zupełnie pewny, że tak właśnie powiedział?

- Oczywiście. To coś znaczy?

- Tak powiedzieć mógł tylko w jednej sytuacji.

- Czyli?

- Gdyby informacja, którą posiada, doszła do niego drogą spowiedzi.

Miller spojrział na niego ze zdumieniem.

- Bzdura! Przecież da Costa widział tego faceta na cmentarzu. Zupełny nonsens!

- A jeśli było tak, że ten gość przyszedł później do niego i wyspowiadał się? Da Costa nie mógłby rozpoznać go w konfesjonale w trakcie spowiedzi.

- Chce mi pan jednym słowem powiedzieć, że ten drań, wyznając księdzu swoje grzechy, zamknął mu równocześnie gębę?

- Naturalnie.

- To absurd!

- Nie dla wierzącego katolika. Na tym właśnie polega cała siła spowiedzi. Słowa, jakie padają w konfesjonale między spowiadającym a spowiednikiem, pozostają między nimi niezależnie od tego, jaka jest treść tych słów - Fitzgerald wzruszył ramionami. - Równie skuteczne jak kula, a niech pan sobie przypomni, nadinspektorze, że w rozmowie na cmentarzu ksiądz wspominał, że musi się pospieszyć, gdyż zbliża się pora spowiedzi. Pierwsza godzina.

Miller zerwał się z miejsca i nałożył płaszcz.

- Niech pan jedzie ze mną - krzyknął. - Może pana on usłucha.

- A co z sekcją zwłok? - przypomniał sobie Fitzgerald - Chciał pan być przy tym obecny...

- Jest jeszcze godzina, a to mnóstwo czasu. Jedziemy. Wszystkie windy były w ruchu, zatem skorzystał ze schodów, zbiegając po dwa stopnie na raz. Serce waliło mu w piersi. Fitzgerald musi mieć rację, to przecież jedyne wytłumaczenie, które ma w sobie chociaż cień logiki. Ale jak z tego wybrnąć - emocjonował się. Tak, to była już inna sprawa.

Fallon skręcił w wąską uliczkę biegnącą tuż obok kościoła Najświętszego Imienia Pańskiego. Varley nie był więcej niż trzydzieści jardów za nim. Co do niego, to Fallon zorientował się tuż po tym, jak opuścił dom Jenny, że ktoś za nim idzie. Nie przejął się jednak. Teraz wszedł do kościoła, a Varley dopadł budki telefonicznej na rogu ulicy i połączył się z Meehanem.

- Mister Meehan? To ja. Wszedł do kościoła Najświętszego Imienia Pańskiego na Rockingham Street.

- Będę tam za pięć minut - oświadczył Meehan i cisnął słuchawkę.

Kiedy zajechał, z Billy'm za kierownicą czerwonego scimitara, zastał Varley'a moknącego na rogu.

- Jest w kościele, Mr Meehan. Nie wchodziłem tam.

- Dobry chłopiec - pochwalił go Meehan i krytycznym okiem spojrzął na budynek. - Ta buda zawali się lada dzień. Nie rozumiem, dlaczego ludzie jeszcze tu przychodzą.

- Oni dają całkiem niezłą zupę. Włączę ciemno - pijaczkom - odparł Varley. - Pozwalają im siedzieć przez cały dzień w krypcie. Ksiądz da Costa i jego bratanica zajmują się tym wszystkim bez niczyjej pomocy. Ta jego bratanica, Anna, to całkiem ładna dziewczyna. Ale nie widzi. Gra na organach.

- Dobra, dobra. Zaczekasz w bramie, a jakby wyszedł, pójdziesz za nim. Billy, jazda za mną! Ostrożnie weszli do kościoła, zamykając za sobą drzwi.

Anna grała na organach, w szparze zasłony widział tył jej głowy. Zatopiony w modlitwie ksiądz klęczał przed ołtarzem, a Fallon siedział w jednej z ław mniej więcej w połowie głównej nawy.

Na prawo znajdowała się mała kaplica świętego Marcina de Porres, lecz przed jego pograżonym w półmroku wizerunkiem nie paliła się ani jedna świeca. Meehan pociągnął Billy'ego w ciemny kąt i przysiadł w ławce.

- Co my tu u licha robimy? - szepnął Billy.

- Zamknij się i słuchaj.

Po chwili ksiądz wstał i przeżegnał się. Odwrócił się i zauważył Fallona.

- Nie ma pan tu czego szukać - rzucił surowym tonem.

Anna przestała grać. Słyszając kroki Fallona przerzuciła nogi przez ławkę. Billy gwizdnął z zachwyty.

- Jezus Maria, widziałeś te nogi?

- Stul pysk.

- Powiedziałem, że dopilnuję pewnych spraw, i chciałem was o tym upewnić - oznajmił Fallon, zbliżając się do ołtarza.

- I co mam zrobić? Podziękować? - warknął da Costa. Główne drzwi otworzyły się z impetem i, ku zaskoczeniu Meehana, wpadł przez nie Miller w towarzystwie Fitzgeralda. Ruszyli prosto do ołtarza.

- Proszę księdza! - zawołał Miller. - Chciałbym z księdzem zamienić kilka słów.

- Na litość boską - zdenerwował się Billy Meehan. - Zwiewajmy stąd!

- I co jeszcze? - syknął Meehan, zaciskając rękę na kolanie brata, aż ten jęknął z bólu. - Zamknij się wreszcie i słuchaj uważnie. To może być całkiem ciekawe.

Rozdział VII PRELUDIUM I FUGA

Fallon od razu zorientował się, kim jest Miller i znieruchomiał w napięciu z rękami w kieszeniach płaszcza, przygotowany na wszystko. Była w nim jakaś dziwna, pierwotna siła i ksiądz da Costa czuł, że udziela mu się napięcie tego człowieka, choć myśl o tym, co może się

tu zdarzyć za chwilę, przejmowała go zgrozą. Niezwyczajnie szybkim krokiem wszedł pomiędzy Fallona a dwóch zbliżających się policjantów. Po drugiej stronie odgradzającej ołtarz balustrady Anna zatrzymała się w pół kroku.

Miller przystanął z kapeluszem w rękę. Fitzgerald zatrzymał się o parę kroków za szefem.

- Myślę, panie nadinspektorze, że poznał pan już moją bratanicę. A to jest nadinspektor Fitzgerald, kochanie.

- Witam panią - powiedział Miller uprzejmie i zwrócił się do Fallona stając z nim twarzą w twarz.

- A to jest Mister Fallon - przedstawił ksiądz.

- Panie nadinspektorze - ukłonił się przedstawiony.

Na ustach Fallona zabłąkał się nikły, lecz swobodny uśmiech patrząc na niego Miller nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zna skądś tę bladą, szczupłą twarz o przenikliwym spojrzeniu.

Ogarnął go chłód, jakby ujrzał właśnie swój własny nagrobek. I nagle uderzyła go dziwna myśl i to z taką mocą, że cofnął się o dwa kroki. W kościele trwała pełna napięcia cisza.

Wszyscy czekali. Słyszeć było tylko arytmiczne stukanie kropel deszczu bijącego w szyby kościoła.

Anna przerwała to oczekiwanie, dając na oślep krok ku ołtarzowi i potykając się o balustradę. Fallon pobiegł jej na pomoc.

- Nic pani sobie nie zrobiła? - zapytał jak ktoś mający powody dbać o jej bezpieczeństwo.

- Nic, nic dziękuję panu, Mister Fallon, to moja wina - Anna roześmiała się i zwróciła niewidzące oczy na Millera. - Mam straszny kłopot z organami. Podobnie jak kościół, i one zaczęły się rozpadać. Mr Fallon zgodził się służyć nam pomocą i swym doświadczeniem.

- Czyżby? - zdziwił się Miller. Anna zwróciła się do da Costy.

- Czy możemy pójść teraz na górę, stryju? Wiem, że Mr Fallon nie ma wiele czasu.

- Jeżeli panowie chcą porozmawiać, to proszę do zakrystii - da Costa zwrócił się do Millera. - Albo do mnie do domu. Jak pan woli?

- Prawdę mówiąc, wolałbym jeszcze przez chwilę pozostać w kościele - odparł Miller. - Gram trochę na fortepianie, ale muzykę organową lubię nawet bardziej. Oczywiście, o ile Mr Fallon nie ma nic przeciwko temu.

Zapytany uśmiechnął się uprzejmie.

- Proszę bardzo. Dobra publiczność wyzwala w artyście wszystko co najlepsze.

Ujął Annę pod ramię i poprowadził na chór.

Ukryty w cieniu kapliczki Meehan przysłuchiwał się temu wszystkiemu zafascynowany.

- Mówiłem ci, że to wariat - szepnął Billy. - Ciekawe, jak wybrnie z sytuacji.

- Dzięki własnym dziesięciu paluszkom, Billy. Mogę się założyć. I wiesz, co ci powiem? Podoba mi się to wszystko jak cholera. Lubię patrzeć na dobrych fachowców w akcji. To prawdziwa satysfakcja. Niewielu nas już zostało - westchnął z autentycznym żalem.

Fallon zdjął płaszcz i przewiesił go przez balustradę, a następnie usiadł na taborecie przed klawiaturą i obniżył go tak, by móc łatwo operować pedałami. Anna stała po jego prawej ręce.

- Czy próbowała pani nie wciskać trompete, tak jak radziłem?

- Owszem. I od razu jest lepiej.

Świetnie. Teraz ja zagram coś dłuższego, żebyśmy mogli się zorientować, co jeszcze dolega tym organom. Może preludium i fugę d - moll Bacha?

- Ale moje nuty są w Brajll'e'u.

- To nieistotne. Będę grał z pamięci.

Odwrócił się i spojrzał na księdza da Costę w towarzystwie policjantów.

- Jeżeli to panów interesuje, był to podobno ulubiony utwór doktora Alberta Schweitzera.

Nikt nie powiedział ani słowa. Stali, czekali i milczeli. Fallon zwrócił się znowu do instrumentu. Kiedy to grał po raz ostatni? Bóg wie, ile to było lat temu. I nagle, nie wiadomo dlaczego, zdało mu się, że to było wczoraj.

Anna nie mogła oczywiście widzieć błakającego się po jego wargach lekko ironicznego uśmiechu, lecz coś z niego pojawiło się i w jej głosie, gdy, kładąc rękę na ramieniu, powiedziała:

- Niech pan zaczyna.

- Dlaczego się pani w to wmieszała? - szepnął ku jej przerażeniu.

- To chyba jasne - odparła, również szeptem. - By oszczędzić tych dwóch policjantów. A teraz proszę grać.

- Bóg pani wybaczy, ale to grzech tak kłamać - mruknął i zaczął grać.

Zabrzmiały pełne akordy; grał utrzymując wolne tempo, dokładnie zaznaczając każdą nutę. Grał z taką siłą i żarliwością, że Miller zapomniał na chwilę, po co tu przyszedł i pozwolił ponieść się tej wspaniałej muzyce.

Ksiądz da Costa stał pod ołtarzem jak wmurowany. Piękno gry oczarowało go bez reszty. Wykonanie było wręcz mistrzowskie.

Po dłuższej chwili Miller dotknął delikatnie ramienia księdza i szepnął mu do ucha:

- Piękny koncert, ale nie mam dziś, niestety, czasu. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Ksiądz da Costa westchnął i ruszył w stronę zakrystii. Fitzgerald wszedł ostatni i drzwi zatrzasnęły się za nim od nagłego podmuchu wiatru. Organy zamilkły.

- Poszli już?

Anna da Costa pochyliła głowę i wyciągnęła dłoń, by dotknąć policzka Fallona.

- Kim pan jest? - szepnęła. - Co pan...?

- Oto pytanie - westchnął Fallon i powrócił do gry.

Do zakrystii dochodziły przytłumione dźwięki muzyki, stare mury wibrowały pod naporem dźwięków. Ksiądz da Costa przysiadł na brzegu stołu.

- Papierosa? - Fitzgerald wyciągnął z kieszeni starą, srebrną papierośnicę. Ksiądz da Costa poczęstował się i zaciągnął głęboko. Miller obserwował go uważnie. Patrzył na jego ogorzałą, steraną twarz, na zmierzwioną, siwą brodę, uświadamiając sobie, że polubił tego człowieka. I chyba właśnie dlatego postanowił postępować na tyle zgodnie z regulaminem, na ile było to tylko możliwe.

- Słucham, nadinspektorze.

- Czy był ksiądz uprzejmy zmienić zdanie?

- W żadnej mierze.

Miller z trudem powstrzymał przekleństwo, a Fitzgerald skorzystał z okazji i wtrącił się do rozmowy.

- Czy od dzisiejszego ranka ktoś księdzu groził lub wymógł coś na nim w jakikolwiek sposób?

- Ani jedno, ani drugie - zapewnił ten z całkowitą szczerością.

- Czy nazwisko Meehan coś księdzu mówi?

- A powinno?

Miller skinął na Fitzgeralda, który otworzył teczkę i wyjął z niej dwie fotografie.

- To jest Jack Meehan - wyjaśnił. - Nazywają go też Dandy. Pierwsze zdjęcie pokazuje go w Londynie, na stopniach komisariatu w West End w chwili, gdy jest wypuszczany z braku dowodów winy. A był zamieszany w morderstwo, tego jesteśmy pewni.

Na zdjęciu widać było uśmiechniętego od ucha do ucha Meehana; jak zwykle w dwurzędowym płaszczu, powiewającego trzymanym w prawej ręce kapeluszem, lewą obejmującego znaną londyńską modelkę.

- Ta dziewczyna to trick reklamowy - dodał Fitzgerald. - W tych sprawach jego zainteresowania skupiają się gdzie indziej. Niech ksiądz odwróci fotkę, na drugiej stronie zapisane jest wszystko, co o nim wiemy. Oficjalnie, rzecz jasna.

Ksiądz przeczytał notatkę z zainteresowaniem. Jack Meehan miał lat czterdzieści osiem, w roku 1943 wstąpił do Royal Navy, miał wtedy lat osiemnaście. Do 1945 służył na poławiaczu min, potem został zwolniony ze służby z naganą i skazany jednocześnie na rok za złamanie jakiemuś oficerowi szczęki w czasie bójki. W 1948 został znów skazany na sześć miesięcy za drobny szmugiel, w 1954 oskarżono go o próbę napadu na pocztę, lecz wyszedł z braku

dowodów. Od tej pory policja przesłuchiwała go ponad czterdzieści razy w związku z szeregiem przestępstw.

- Nie ma pan jakoś do niego szczęścia - uśmiechnął się da Costa.

- Jeśli o to chodzi, to wcale to nie jest zabawne - wtrącił Miller.

- Od dwudziestu pięciu lat pracuję w policji i nigdy nie natknąłem się na paskudniejszego typu. Czy pamięta ksiądz może braci Kray i gang Richardsona? To ci, którzy tak wymyślnie torturowali ludzi. Meehan jest gorszy niż oni wszyscy razem wzięci. Prowadzi tu w City eleganckie przedsiębiorstwo pogrzebowe, lecz za tą fasadą kryje się organizacja przestępcza, która kontroluje handel narkotykami, prostytutkę, tajne kasyna gry, szantażuje właścicieli sklepików i drobnych przedsiębiorców we wszystkich większych miastach północnej Anglii.

- I nie potraficie tego zlikwidować? Nie mogę tego pojąć.

- Ich bronią jest strach, proszę księdza. Kray'ów też przez długie lata nie mogliśmy przyłapać na niczym. Lecz przy Meehanie to były plotki. On kazał nawet postrzelić wielu ze swych ludzi, którzy mu podpadli, przeważnie w kolana, z dubeltówki, co okalecza na zawsze. Lubi mieć ich teraz w pobliżu, jako swoistą reklamę, rzecz jasna.

- Pan wie to na pewno?

- Tak, lecz nie mogę tego nijak dowieść, podobnie jak nie mam w ręku ostatecznych dowodów na to, że stworzył największą organizację przestępczą, z jaką dotąd się zetknęliśmy. Wiemy też, że pewnego człowieka ukarał przybijając mu dłonie do stołu sześciocalowymi gwoździemi, innego zaś zmusił do zjedzenia własnych odchodów..

Na krótką chwilę da Costa wrócił do obozu w Północnej Korei - tego pierwszego, w którym przechodził proces "zmiękczenia" fizycznego - gdy na wpół martwy leżał w latrynie, a but Chińczyka wgniał go w gówna. Jego też próbowano zmusić do jedzenia odchodów, lecz nie ugiął się - głównie dlatego, iż sądził, że i tak niewiele życia mu zostało.

Z wysiłkiem przywołał się do rzeczywistości.

- I pańskim zdaniem to on zorganizował dzisiejsze morderstwo?

- Jestem tego pewien. Krasko był, mówiąc oględnie, jego rywalem.

L., Meehan chciał go sobie podporządkować, Krasko jednak stawiał opór. Meehan ocenił to po prostu jako brak rozsądku.

- Wynajął więc mordercę i sprawa została zakończona?

- I to tak, by odstraszyć jego ewentualnych naśladowców. Sposób, w jaki go zabito, zdaje się świadczyć, że Meehan jest naprawdę ciężko chory umysłowo. Wie przecież doskonale, że ja wiem, iż to on się za tym kryje. Meehan chce, abym ja to wiedział, chce, by wszyscy wiedzieli... czuje się bezkarny, a wydarzenia utwierdzają go w tym przekonaniu.

Ksiądz da Costa zmarszczył brwi i raz jeszcze spojrzął na fotografię.

- Tym razem moglibyśmy przyskrznić go na dobre. Gdyby tylko ksiądz chciał nam pomóc... - odezwał się cicho Fitzgerald.

Da Costa potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro, inspektorze, proszę mi wierzyć.

- Proszę księdza - odezwał się Miller zachrypniętym głosem. - Z dziwnego zachowania się księdza mogę wywnioskować to jedynie, że zna ksiądz mordercę i osłania go. Inspektor Fitzgerald, który jest katolikiem, zasugerował mi logiczne wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Twierdzi, że milczenie księdza jest w jakiś sposób związane z tajemnicą konfesjonału, jeśli można się wyrazić w ten sposób. Czy to prawda?

- Niech mi pan wierzy, nad inspektorze, że gdybym był w stanie pomóc, zrobiłbym to z całego serca.

- Zatem ksiądz nadal odmawia?

- Niestety...

Miller spojrzął na zegarek.

- Trudno. Jestem umówiony i to za dwadzieścia minut i chciałbym, żeby ksiądz mi towarzyszył. Nie grożę, nie zmuszam księdza do niczego. Proszę po prostu, by ksiądz ze mną pojechał.

- Rozumiem. A czy mogę zapytać, dokąd?
- Do kostnicy miejskiej, gdzie ma się odbyć sekcja zwłok Kraski.
- Aha - mruknął da Costa. - Niech mi pan powie, czy to ma być wyzwanie?
- To już nie ode mnie zależy.

Ksiądz da Costa wstał. Poczł się nagle bardzo zmęczony - stracił całą ochotę do utarczki z tym człowiekiem. Miał dość całej tej sprawy. W uszach brzmiała mu wciąż muzyka organowa mistrza Jana Sebastiana, przytłumiona teraz i daleka.

- Muszę odprawić wieczorną mszę, potem rozdzielać zupę moim podopiecznym. Nie mam wiele czasu.

- To nie zajmie księdzu więcej niż pół godziny. Później sami odwieziemy księdza, teraz już jednak musimy iść.

Ksiądz da Costa otworzył drzwi prowadzące z zakrystii do kościoła. Ruszył naprzód i zatrzymał się przed ołtarzem.

- Anno! - zawołał.

Fallon przestał grać, a dziewczyna zwróciła twarz w kierunku, skąd dobiegał głos.

- Wychodzę na chwilę, kochanie. Idę z nad inspektorem Millerem.

- A co z mszą? - spytała.

- To nie potrwa długo. A co do organów, to czy Mr Fallon mógłby wrócić tu jeszcze po mszy? Porozmawialibyśmy o instrumencie.

- Z przyjemnością, proszę księdza - zawołał Fallon.

Da Costa, Miller i Fitzgerald minęli kaplicę świętego Marcina z Porres, pod którą przycupnęli w cieniu Jack Meehan i Billy, i wyszli głównymi drzwiami. Zdaje mi się, że uratowała mi pani, mówiąc skromnie, życie. Nasz zacny nad inspektor Miller coś chyba podejrzewał - odezwał się Fallon do Anny.

- Ale teraz z pewnością zmienił zdanie. Ktoś, kto gra tak jak pan... Przecież pan jest wirtuozem.

- Kiedyś rzeczywiście grałem nie najgorzej. Ale dziś? Nie mam już tych rąk, co dawniej.

- Jest pan wirtuozem. To jedyne słowo, jakim można określić pana talent.

Anna była szczerze wzruszona i przez chwilę niemal zapomniała o wszystkim innym. Sięgnęła po dłonie Fallona i uśmiechnęła się.

Ma pan wspaniałe ręce powiedziała. - Ale zaraz, co stało się z pańskimi palcami?

Wysunął ręce z jej dłoni i spojrzał na okaleczone koniuszki palców.

- Pewni znajomi usunęli mi paznokcie. Skutek drobnego nieporozumienia towarzyskiego.

Wstał i nałożył płaszcz. Anna siedziała bez ruchu, a na jej twarzy malowało się przerażenie.

Chciała go dotknąć. Znów wyciągnęła ręce. Pomógł jej wstać i otulił płaszczem.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- I niech się pani modli, by nigdy tego nie zrozumieć - szepnął. - Chodźmy, odprowadzę panią do domu.

Drzwi zakrystii zamknęły się za nimi. Przez chwilę w kościele panowała absolutna cisza.

Wreszcie zabrzmiał w niej głos Billy'ego Meehana.

No to, chwala Bogu, mamy to już za sobą. Może teraz spłynęlibyśmy stąd w diabły?

- Ty zostajesz - oświadczył Meehan. - Przy kleisz się do Fallona, rozumiesz? Nie masz prawa stracić go z oczu.

- Myślałem, że to robota Varley'a.

- Od tej chwili już nie. Powiedz Varley'owi, żeby został pod kościołem.

- A ty?

- A ja zaczekam tu na księdza. Muszę zamienić z nim kilka słów. Meehan westchnął, przeciągając się. - Podoba mi się tu. Cicho, ciemno, świeczki migocą... Można spokojnie sobie pomyśleć o tym i owym.

Billy chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Meehan warknął.

- No już, jazda! Spływaj i zajmij się swoją robotą. Później się spotkamy.

Odchylił głowę, zamknął oczy, a Billy posłusznie wyszedł głównymi drzwiami.

Kiedy wyszli na cmentarną ścieżkę, wciąż lało jak z cebra, Fallon ujął dziewczynę pod ramię.
- Mam wrażenie, jakby nigdy nie miało przestać padać - westchnęła. Leje tak już od paru dni.
Dotarli do drzwi plebani. Anna otworzyła je kluczem i zatrzymała się na ganku. Fallon stał obok, przyglądając się jej.

- Niczego nie rozumiem - powiedziała cicho. - Ani pana, ani tego co stało się dzisiaj rano.
Niczego, szczególnie od chwili, gdy usłyszałam, jak pan gra. To nie ma sensu, przecież tu jedno do drugiego nie pasuje...

Uśmiechnął się łagodnie.

- Proszę wejść do domu, jak na grzeczną panienkę przystało.

Niech pani nie wystaje na tym zimnie - łatwo o chorobę. I proszę o wszystkim zapomnieć.

- Kiedy to niemożliwe. Mimo woli stałam się pańską współpracowniczką. Nie rozumie pan tego?
Przecież ja mogłam powiedzieć im wszystko. Nie zrobiłam tego.

Była to najstraszniejsza rzecz, jaką mógł od niej usłyszeć.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? - spytał ochryple.

- Bo dałam stryjowi słowo, zapomniał pan? A jego bym nie skrzywdziła za żadne skarby świata.

Cofnął się, najciszej jak umiał.

- Panie Fallon, jest pan tu jeszcze?

Nie odpowiedział. Anna stała przez chwilę, najwyraźniej wahając się, co powinna zrobić, wreszcie weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Odwrócił się i odszedł w stronę kościoła.
Billy obserwował ich ukryty za dużym, wiktoriańskim grobowcem. Przypatrywał się głównie Annie. Była inna niż dziewczyny, z którymi miał zwykle do czynienia. Taka spokojna, elegancka w ruchach i doskonale przy tym zbudowana. Przekonany był jednak, że spokój i zrównoważenie są tylko fasadą, a fakt, że jest ślepa, szczególnie go podniecał.

Fallon zatrzymał się, żeby znaleźć papierosa i Billy cofnął się instynktownie o kilka kroków.

W porządku, Billy - odezwał się Martin. Chciałbym udać się do domu, a skoro już tu jesteś, to może mógłbyś mnie podwieźć do Jenny.

Po chwili wahania Billy wyłonił się zza grobowca.

- Pewnie myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy - warknął.

- Ciebie nietrudno przechytrzyć, synku. I jeszcze jedno. Jeżeli kiedyś jeszcze przyłapię cię w tej okolicy, to będę bardzo, ale to bardzo niezadowolony - Wypchaj się!

Billy obrócił się wściekle na pięcie i ruszył ku furtce. Idący za nim Fallon uśmiechnął się szeroko.

Miejska kostnica zbudowana była jak forteca. Przed oczami ciekawskich osłaniał ją dwudziesto stopowy, czerwony, ceglany mur. Gdy L.1 wóz Millera zajechał przed bramę, kierowca wysiadł i powiedział kilka słów do mikrofonu w murze. Dopiero wtedy wielkie wrota otworzyły się automatycznie, a kierowca wrócił na swoje miejsce i wprowadził wóz do środka.

- Jesteśmy, proszę księdza - odezwał się Miller. - Jest to podobno najnowocześniejsza kostnica w Europie.

Wszyscy trzej wysiedli. Budynek kostnicy, cały z betonu i szkła, był funkcjonalny i nawet piękny w swej prostocie. Łagodnie nachyloną rampą podeszli do wejścia. Pod drzwiami powitał ich młody laborant w białym kitlu.

- Dzień dobry, nad inspektorze. Profesor Lawlor czeka na panów w przebieralni. Śpieszy mu się i chciałby już zacząć sekcję.

Szli labiryntem korytarzy, w których panował jednostajny szum urządzeń klimatyzacyjnych. Miller spojrzął przez ramię na księdza i tonem normalnej rozmowy powiedział:

- Twierdzą, że mają tu najczystsze powietrze w całym mieście. Rzecz jasna dla tych, którzy mogą jeszcze z niego korzystać.

Była to uwaga nie wymagająca odpowiedzi, toteż da Costa milczał. Laborant otworzył drzwi, przepuścił ich, zamknął je za nimi i zniknął.

W pokoju, do którego weszli, znajdował się rząd umywalk uzupełniony prysznicem w rogu. Na ścianach wisały tuziny białych spodni i kitli szpitalnych, a pod nimi, na podłodze, stały

rzędy białych, gumowych butów o najrozmaitszych rozmiarach. Miller i Fitzgerald zdjęli płaszcze, a inspektor ściągnął z wieszaka biały kitel i podał go księdzu.

- Proszę to założyć. Buty ksiądz może sobie darować.

Da Costa zrobił, co mu polecono. Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł profesor Lawlor.

- Chodź już, Nick - mruknął niecierpliwie. - Wystarczająco długo kazałeś mi czekać.

W tej samej chwili ujrzał księdza i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. - Dobry wieczór - powitał go po chwili.

- Przywiozłem księdza da Costę, bo chciałbym, żeby był obecny przy sekcji. Oczywiście, o ile nie ma pan nic przeciwko temu, profesorze - wyjaśnił Miller.

Profesor Lawlor miał na sobie biały kombinezon i także białe gumki, a na rękach długie, seledynowe rękawice, które pocierał nerwowym ruchem.

- Zgoda, ale proszę nie przeszkadzać. No, już naprawdę czas zaczynać. O piątej mam wykład.

Ruszył pierwszy, prowadząc ich długim korytarzem do wahadłowych kauczukowych drzwi, które wiodły prosto do sali sekcyjnej. Z sufitu spływało fluorescencyjne światło, które niemal oślepiło księdza, zanim nie przyzwyczaił się do niego. Na środku sali stało pół tuzina stołów operacyjnych z nierdzewnej stali.

Jan Krasko leżał na stole tuż przy drzwiach. Leżał na wznak, z głową uniesioną na drewnianym wsporniku. Był zupełnie nagi. Na stoliku obok znajdowały się rzędy lśniących instrumentów chirurgicznych, a po obu stronach profesora ustawili się już jego asystenci.

Księdza najbardziej zaskoczył widok kamer telewizyjnych zainstalowanych nad stołem na nieruchomych stelażach, jak i kilku monitorów rozstawionych w paru punktach sali.

- Jak ksiądz widzi - uśmiechnął się Miller - nauka kroczy naprzód. Czasy mamy takie, że nawet w takim jak ten przybytku wszystko nagrywane jest na taśmę, i to w kolorze.

- Czy to naprawdę potrzebne?

- Oczywiście. Na przykład wtedy, gdy natrafi się na adwokata, który nie ma argumentów na obronę klienta i nalega na ponowne powołanie zespołu biegłych. Innymi słowy, sprowadza sobie jakiegoś wybitnego i znanego patologa, który ma własną teorię na temat tego, co się stało.

Jeden z pomocników przytwierdził mikrofon do fartucha profesora.

- Lekarze uwielbiają mieć odmienne zdania, niejednokrotnie przekonałem się o tym na własnej skórze - ciągnął Miller.

Lawlor uśmiechnął się blade.

- Robisz się sarkastyczny na stare lata, Nick. Czy ksiądz był kiedyś przy sekcji zwłok?

- Przy takiej, jaką pan ma na myśli, to nie.

- Gdyby się księdzu zrobiło słabo, to drogę do przebieralni już ksiądz zna - odwrócił się do kamerzystów i techników. - Uwaga panowie, zaczynamy.

Powinno to przypominać koszmar, lecz w tej atmosferze patrzyli na to jak na coś pouczającego i obojętnego emocjonalnie.

W rzeczy samej profesor Lawlor był niezwykle zręczny i bardziej niż kompetentny. Można śmiało było go nazwać artystą noża. Cały czas prowadził ponadto monolog informacyjny.

Mówił tonem suchym, rzeczowym.

- Każde słowo jest zapisywane na taśmie - szepnął Miller. - Tak, jak każdy jego ruch.

Ksiądz da Costa ujrzał, jak profesor przeciąga skalpelem po podstawie czaszki. Zatoczył ostrzem półkole, po czym chwycił nieboszczyka za włosy i jednym zamachem ściągnął całą skórę twarzy razem z gałkami ocznymi i wszystkim innym. Zupełnie jakby zdejmował kauczukową maskę.

Skinął na asystenta, który uruchomił małą elektryczną piłę i wręczył ją profesorowi. Lawlor zaczął bardzo precyzyjnie odcinać górną część czerepu.

- Ten instrument nazywa się de Soutter i działa na zasadzie generatora wibracji. Zwykła piłka elektryczna ma za szybkie obroty.

Było zadziwiająco mało zapachów - tuż nad stołem znajdowały się pochłaniacze. Po chwili Lawlor wyłączył piłę i zwrócił ją asystentowi. Podniósł pokrywę czaszki i położył ją na stole. Potem bardzo ostrożnie wyjął mózg i włożył go do zwykłej miski z czarnego plastiku.

Asystent zabrał miskę i ustawił ją na pobliskim stole, gdzie profesor starannie zważył mózg.
- Dokładne badanie mózgu zostawiam na później - zwrócił się do Millera. - Najpierw ogólnie oględziny, dobrze?

- Doskonale.

Wrócił do zwłok, wziął duży skalpel i jednym ruchem otworzył je od szyi do krocza. Krwi prawie nie było, widać było natomiast spory pas żółtego tłuszczu, a pod nim czerwone mięso. Profesor rozchylił okrywy brzucha jak stary płaszcz, pracując szybko i sprawnie i nie zatrzymując rąk ani na moment.

- Po co to wszystko - zapytał da Costa. - Przecież ranny został w głowę i nikt tego nie kwestionuje.

- Koroner domagał się szczegółowych oględzin. Jest to zresztą zgodne z prawem. Nie ma żadnego związku z okrucieństwem. Opowiem panu zresztą, jaki przypadek mieliśmy w zeszłym roku. Znalaziono zwłoki starego mężczyzny, w jego własnym mieszkaniu. Wszystko wskazywało na atak serca. Kiedy Lawlor go otworzył, okazało się, że serce rzeczywiście wysiadło i gdyby na tym tylko poprzestał, nigdy nie dowiedzielibyśmy się reszty...

- Mianowicie?

- Znalazł złamany krąg szyjny. Nie pamiętam już wszystkich szczegółów, lecz w każdym razie okazało się, że stary został przed śmiercią silnie pobity i dzięki temu, że sekcja to ostatecznie wykazała, udało nam się zamknąć faceta, który od lat żerował na bezbronnych starych ludziach, jednego z tych, co to dzwonią do drzwi, twierdzą, że są z wydziału sanitarnego i przyszli sprawdzić instalację, a potem pakują się do mieszkania i żądają pieniędzy.

- I co było dalej?

- Złapaliśmy ptaszka, ale wie ksiądz, co zrobił sąd? Uznał, że było to nieumyślne zabójstwo i dał mu tylko pięć lat. Lada dzień powinien wyjść na wolność. Świat stoi na głowie, mówię to księdzu.

- A pan co by z nim zrobił?

- Ja bym go najzwyczajniej powiesił. Widzi ksiądz, moim zdaniem jesteśmy w stanie permanentnej wojny ze światem przestępczym. To walka na śmierć i życie. Cenię sobie wszystkie idee liberalizmu, lecz bez warunków, w których mogłyby się rozwijać, pozostają tylko ideami.

Trudno było polemizować z takimi argumentami. Ksiądz odsunął się na bok i patrzył, jak asystenci odnoszą po kolei organa nieboszczyka na stół obok i umieszczają je w plastikowych pojemnikach. Każdy organ był następnie ważony i ponownie przekazywany Lawlorowi, który kładł go na desce i długim, ostrym nożem krajał na równe paski. Serce, płuca, nerki, jelita - wszystko traktowane było jednakowo. Kamery pracowały przez cały czas.

W końcu profesor odłożył narzędzia.

- No i już - zwrócił się do Millera. - Niczego ciekawego nie znalazłem. Zabiorę się jeszcze do mózgu, muszę tylko przedtem zapalić.

Uśmiechnął się do da Costy.

- Jak ojciec to odebrał?

- Niesamowite przeżycie - powiedział da Costa. - I dość niepokojące.

- Ponieważ okazało się, że człowiek to tylko kupa surowego mięsa?

- Pan tak uważa, profesorze?

- Proszę spojrzeć.

Lawlor przysunął się do stołu operacyjnego. Ksiądz poszedł za jego przykładem. Zwłoki leżały teraz rozplatanie, puste, pozbawione wszelkich organów. Wybebeszone od góry do dołu.

- Czy pamięta pan poemat Elliota "Wydrażeni ludzie"? Chyba to właśnie miał na myśli, przynajmniej takie zawsze było moje skojarzenie.

- I jest pan pewien, że poza tym właśnie, nie ma już nic?

- A ksiądz?

Jeden z asystentów podszedł do zwłok, nałożył pokrywę czaszki, przycisnął ją skalpelem i naciągnął twarz. Z zadziwiającą łatwością wykreował znowu człowieka.

- Wspomniały przykład sztuki konserwatorskiej - ludzkie ciało - mruknął da Costa. - I jakie funkcjonalne. Wydaje mi się, że w mechanizmie człowieka nie ma ani jednego błędu technicznego. Jak to jest, profesorze?

- Wygląda na to, że ma pan rację.

- Są dni, że tajemnica stworzenia nie daje mi spokoju. Czy to możliwe, by z takiego Einsteina czy Picassa zostało tylko tyle, ile widzimy na stole? Wypatroszone zwłoki, kilka ochłapów mięsa na dnie plastikowego wiadra?

- No nie, proszę dać już temu spokój - Lawlor uśmiechnął się sarkastycznie. - Wypraszam sobie takie metafizyczne rozważania. Czy ksiądz wie, ile razy już to słyszałem? Przykro mi, ale jestem dziś bardzo zajęty.

- Czy to wystarczy - zwrócił się po chwili do Millera. - Napatrzyliście się?

- Sądzę, że tak.

- No i dobrze. Zabierajcie się teraz razem z waszym adwokatem do diabła i dajcie mi wreszcie święty spokój. Raport dostaniesz dopiero jutro rano, Nick.

Lawlor uśmiechnął się nieco złośliwie do księdza da Costy.

- Niestety, nie mogę uścisnąć księdzu dłoni. Lecz gdyby ksiądz miał jeszcze kiedyś ochotę popatrzeć, to zapraszamy. Tu zawsze ktoś jest.

Profesor roześmiał się z własnego dowcipu. Wracając do ubieralni jeszcze długo słyszeli jego śmiech. Towarzyszył im jeden z asystentów - miał się upewnić, że odzież ochronna na pewno trafi do odpowiedniego pojemnika. Tu też nie było okazji do rozmowy.

Miller był zmęczony i przygnębiony. Rozumiał już, że przegrał. Najgorsze było to, że zupełnie nie wiedział co robić dalej. Trzeba by teraz było posłać księdzu urzędowe wezwanie, a tego miał jeszcze nadzieję uniknąć.

Znaleźli się na dziedzińcu kostnicy i okazało się, że deszcz wciąż pada. Fitzgerald otworzył drzwiczki samochodu i da Costa wsunął się do środka. Miller usiadł przy nim, Fitzgerald za kierownicą.

Dojeżdżali już do centrum, gdy Miller odezwał się po raz pierwszy.

- Chciałem, żeby ksiądz to zobaczył, lecz rozumiem, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Powiem panu coś - odparł da Costa. - Kiedy miałem dwadzieścia lat, zrzucano mnie przebranego za wieśniaka na Kretę. Było bardzo romantycznie - noc, księżyc, góry i tak dalej. Ale kiedy dotarłem do pierwszej wioski, zostałem aresztowany przez Greka - niemieckiego agenta.

- Innymi słowy, został ksiądz zdradzony?

- Coś jakby. To nie był nawet zły człowiek. Powiedział mi, że bardzo mu przykro, ale musi mnie popilnować, zanim nie przyjedzie Gestapo. Popijaliśmy razem i miałem to szczęście, że udało mi się go rąbnąć butelką wina. W głowę.

Da Costa zamyślił się i zamilkł.

- I co dalej się stało?

- Przestrzelił mi lewe płuco, ale ja udusiłem go gołymi rękami. Do dzisiaj modłę się za jego duszę. Codziennie.

Skręcili w boczną uliczkę przy kościele i Miller powiedział zmęczonym głosem:

- No dobrze, rozumiem. Chciałbym jednak, żeby ksiądz też zrozumiał, że odmawiając pomocy staje tym samym po stronie przestępcy.

- Doskonale to rozumiem.

- Dobrze zatem. Powiem księdzu, co jeszcze spróbuję zrobić. Zwrócę się do zwierzchników księdza. A jeśli i z tego nic nie wyjdzie, wówczas będę musiał postąpić tak, jak nakazuje literatura prawa.

- Powinien się pan zwrócić z tym do księdza kanonika O'Hallorana. Sam chciałem się z nim dzisiaj zobaczyć, ale wyjechał. Wraca jutro rano. Uprzedzam jednak, że to i tak nic nie da.
- W takim razie zwrócę się do prokuratora z żądaniem osadzenia księdza w areszcie.
- Drogi panie - da Costa był zupełnie spokojny. - Rozumiem pana doskonale. Pan musi wykonywać swoje obowiązki. Będę modlił się za pana - dodał i wszedł do kościoła.
- Modlić się będzie - warknął Miller. - Słyszałeś, Fitzgerald?
- Mówiłem, że to nie byle kto.

Gdy ksiądz otworzył drzwi kościoła, buchnęło w niego chłodem i wilgocią. Za chwilę miał odprawić mszę, a czuł się zmęczony, strasznie zmęczony. Co za potworny dzień - nie pamiętał podobnego od czasów obozu w Chone Sum. Gdyby tylko ten Miller i Fallon zechcieli po prostu rozpuścić się w powietrzu i przestać istnieć...

Zmoczył palce w święconej wodzie i w tej samej chwili w kapliczce świętego Marcina z Porres ktoś potarł zapałkę. Zapłonęła świeca i z ciemności wyłoniła się znajoma twarz.

Była to twarz diabła we własnej osobie. Ksiądz da Costa wyprostował się, wypiął pierś i wyszedł mu na spotkanie.

Rozdział VIII

DIABEŁ I JEGO SPRAWKI

- Czego pan tu szuka, panie Meehan - spytał.
- Ksiądz wie, kim jestem?
- Tak. Od dzieciństwa uczono mnie rozpoznawać diabła. Meehan wpatrywał się przez chwilę w niego szczerze zdumiony, a potem, odrzuciwszy głowę, roześmiał się szorstko, a jego śmiech odbił się echem od sklepienia kościoła.
- Dobrze! To mi się podoba!

Ksiądz da Costa milczał. Meehan wzruszył ramionami, odwrócił się i popatrzył w stronę ołtarza.

- Przychodziłem tu, gdy byłem mały. Byłem ministrantem - odwrócił się. W jego głosie zabrzmiało wyzwanie. - Ksiądz mi nie wierzy?

- Dlaczego miałbym nie wierzyć? Meehan skinął głową w kierunku ołtarza.

- Stałem tam wiele razy, gdy przychodziła moja kolej, by służyć do mszy. Szkarłatna sutanna, biała komża. Matka prała ją co tydzień. Dumna była, że jej syn jest ministrantem. Wtedy był tu księdzem ojciec O'Malley.

- Słyszałem o nim.

- Był uparty, jak nie wiem co - Meehan ożywił się, ten temat wyraźnie mu leżał. - Pamiętam, jak raz w sobotę wieczorem weszło do kościoła paru pijanych Irlandczyków. Tuż przed mszą. Zaczęli wywracać wszystko do góry nogami. Uspokoił ich jak należy. Wygarnął im.

Powiedział, że bezczeszczą Dom Boży i inne takie - potrząsnął głową. - Stary drań! Raz przyłapał mnie z paczką ukradzionych w sklepie za rogiem papierosów. Nie wezwał policji, tylko sam spuścił mi w zakrystii lanie - Meehan zaśmiał się cicho. - To mnie, proszę księdza, nauczyło uczciwości na jakie dwa tygodnie.

Ksiądz spokojnie powtórzył pytanie:

- Czego pan tu szuka, panie Meehan?

Ten zatoczył ręką koło, obejmując gestem cały kościół.

- Mówię księdzu, to już nie to, co dawniej. Ten kościół był naprawdę piękny i wart oglądania.

A teraz... - wzruszył ramionami. - W każdej chwili może się zawalić. Jak księdzu idzie zbierać pieniądze na remont? Bo słyszałem, że chyba nie najlepiej.

- A pan chciałby nam pomóc. O to chodzi?

- Tak, tak, proszę księdza. Dokładnie o to.

Za nimi otworzyły się drzwi. Do kościoła weszła staruszka z siatką. Gdy uklękła, ksiądz powiedział cicho:

- To nie miejsce na rozmowy. Proszę za mną.

Wjechali windą na szczyt wieży. Gdy szli pomostem, deszcz padał nie gorzej niż przedtem, mgła jednak podniosła się już, ukazując panoramę miasta. W oddali widać było stykającą się z szarym niebem linię wydm. Cztery czy pięć mil stąd.

Meehan był zachwycony.

- Ech, byłem tu raz jako mały chłopiec. Wlazłem na dzwonnice. Inaczej to wtedy wyglądało - przechylił się przez poręcz i wskazał miejsce, gdzie obecnie pracowały koparki. - Tam mieszkaliśmy. Khyber Street trzymaście.

Odwrócił się do milczącego księdza i rzekł cicho:

- Co z tą umową między księdzem a Fallonem? Czy ksiądz jej dotrzyma?

- O jakiej umowie pan mówi?

- Niech ksiądz nie udaje - burknął Meehan niecierpliwie. - Ta historia ze spowiedzią. Wiem wszystko od niego.

- A zatem jako katolik zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę o tym mówić. Tajemnica spowiedzi jest nienaruszalna.

Meehan uśmiechnął się.

- Wiem. Spryciarz z tego Fallona. Zamknął księdzu usta na dobre, co? Ksiądz poczuł, że zaczyna tlić się w nim iskierka gniewu i odetchnął głęboko, chcąc ją ugasić.

- Jeśli pan tak uważa...

- Mniejsza o to, proszę księdza. Ja zawsze płacę swoje długi. Ile? - objął gestem kościół, rusztowania. - Ile trzeba, żeby to wszystko naprawić?

- Piętnaście tysięcy funtów - odpowiedział da Costa. - Na początek. Potem będzie trzeba więcej.

- Nic trudnego - ucieszył się Meehan. - Z moją pomocą mógłby ksiądz zebrać taką sumę w ciągu dwóch, trzech miesięcy.

- Czy mogę wiedzieć, jak? Meehan zapalił papierosa.

- Przede wszystkim kluby. Dziesiątki klubów na samej północy. Jeśli dam hasło, wszystkie rozpoczną zbiórkę pieniędzy.

- I naprawdę wyobraża pan sobie, że ja to przyjmę? Meehan spojrzał ze szczerym zdumieniem.

- Przecież to tylko pieniądze. Kawałki papieru. Środek wymiany, tak się to określa. Czy nie tego właśnie księdzu potrzeba?

- Chciałbym przypomnieć, panie Meehan, że Chrystus wypędził przekupniów ze świątyni. Nie prosił ich o datki dla swojej sprawy.

Meehan zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Spróbuję to wyjaśnić inaczej. Moja religia uczy, że pojednanie z Bogiem zawsze jest możliwe. Że żaden człowiek, nawet najbardziej nawet nikczemny i zły, nie jest poza zasięgiem miłosierdzia bożego. Zawsze w to wierzyłem - do tej chwili.

Meehan zbladł z wściekłości. Chwycił da Costę za ramię i pchnął go w stronę poręczy.

- Khyber Street trzymaście. Jedna ciasna klitka na dole, dwie na górze. Jedna śmierdząca łazienka na każde cztery domy. Ojciec wyniósł się, gdy byłem dzieckiem i wiedział, co robi. Matka zarabiała na życie sprząaniem. Jak robota się nie trafiała, zawsze mogła na szybko załapać dziesięć szylingów w sobotę wieczór pod barem. Była zwykłą dziwką, niczym więcej.

- A kto znajdował co tydzień czas na to, by uprać i wyprasować pańską sutannę i komżę - spytał ksiądz. - Kto pana karmił, kąpał i posyłał do tego kościoła?

- Do diabła z tym! - zawołał Meehan z wściekłością. - Przez całe życie była jedynie poniżana.

Tak jak wszyscy mieszkańcy Khyber Street. Lecz nie ja. Nie Jack Meehan. Zaszedłem wysoko i teraz nikt nie może mnie tknąć.

Ksiądz da Costa nie czuł litości. Czuł obrzydzenie. Spokojnie jednak powiedział:

- Uważam pana za najnikczemniejszego, najbardziej zepsutego człowieka, jakiego miałem nieszczęście spotkać. Gdybym mógł, chętnie przekazałbym pana w ręce odpowiednich władz. Poinformowałbym je o wszystkim - tyle, że z dobrze znanych powodów nie jest to możliwe.

Meehan odzyskał panowanie nad sobą. Powiedział z ironią:

- To dobrze. Do mnie ksiądz czuje odrazę, ale z Fallonem to zupełnie co innego? Bo on przecież tylko morduje kobiety i dzieci?

Przez chwilę ksiądz bezskutecznie próbował wyrównać oddech. Wreszcie wykrztusił:

- O czym pan mówi?

- Nie powiedział księdzu? - szydził Meehan. - Nie mówił nic o Belfaście, o Londonderry, ani o autobusie z dziećmi? Wysadził go w powietrze - pochylił się do przodu z dziwnym, zawziętym wyrazem twarzy. - Co, nie podoba się to księdzu? Dał się ksiądz nabrać na ten jego irlandzki wdzięk, co? Słyszałem, że niektórzy księża...

Na gardle Meehana zacisnęła się żelazna dłoń. Walczył o życie, przyciśnięty do drzwi windy. Oczy księdza ciskały pioruny. Meehan próbował wyrzucić do góry kolano, lecz da Costa zablokował je fachowo swoim udem. Potrząsnął Meehanem jak szturem, potem otworzył drzwi i wepchnął go do windy.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Meehan stanął na nogi.

- Popamiętasz mnie za to - wycedził. - Zabiję cię!

- Mój Bóg, panie Meehan - powiedział łagodnie ksiądz przez kraty windy - jest Bogiem Miłości. Lecz może też czasem stawać się Bogiem Gniewu. Zostawiam pana w Jego rękach. Nacisnął guzik i winda pojechała w dół.

Gdy wyszedł z kruchty, nagły powiew wiatru rzucił mu w twarz ciężkie krople deszczu.

Postawił kołnierz i zatrzymał się, by zapalić papierosa. Zaczynało się ściemniać. Schodząc po schodach zauważył czekającą na coś pod bocznymi drzwiami grupę mężczyzn. W większości byli to nędzarze w połatanych płaszczach i dziurawych butach.

Przeszedł przez jezdnię. Ze starego sklepika na rogu wyszedł Varley.

- Zostałem tu, Mr Meehan, tak jak kazał Billy.

- Co z Fallonem?

- Odjechał samochodem razem z Billy'm.

Meehan zmarszczył brwi, lecz uznał, że można to odłożyć na potem i znów spojrzał na oczekującą kolejkę.

- Na co oni wszyscy czekają? Na zupę czy na co?

- Tak. Dostaną ją w krypcie.

Liczył ich przez chwilę, nagle uśmiechnął się. Otworzył portfel i wyjął plik jednofuntowych banknotów.

- W tej kolejce stoi dwudziestu dwóch mężczyzn. Daj każdemu z nich funta i powiedz, że właśnie otworzyli bar na rogu.

Varley, zaintrygowany, przeszedł przez jezdnię, by rozdać pieniądze. Kolejka rozproszyła się w ciągu paru sekund. Przechodząc koło Meehana, mężczyźni uchylali czapki, a on kiwał im łaskawie głową. Gdy Varley wrócił, przed drzwiami nie było już nikogo.

- Zostanie mu dzisiaj sporo tej cholernej zupy - mruknął Meehan z szyderczym uśmiechem.

- Nie jestem tego pewny, Mr Meehan. Wróć, jak tylko skończą im się pieniądze.

- Ale będą wtedy mieli trochę w czubie i może narobią mu kłopotów. Zresztą, dopilnuję tego. Sprowadź tu wykidajkę z Kit Kat Club. Wiesz, tego Irlandczyka, O'Harę.

- Wielkiego Micka, Mr Meehan? - Varley poruszył się niespokojnie. - Bo ja wiem, czy to ma sens? On jest straszny, kiedy się rozkręci.

Meehan strącił Varley'owi czapkę i schwycił go za włosy.

- Powiedz mu, że ma być przed tymi drzwiami z jakimś kumplem, gdy będą otwierać. Przez pierwszą godzinę niech nie wpuszcza nikogo. Ale to nikogo. Niech poczeka, aż zbierze się przynajmniej dziesięciu pijanych. I wtedy wejdzie i rozwali cały ten interes. Jeśli zrobi to, jak należy, to dostanie dwadzieścia pięć funtów. A jak zdarzy się nieszczęśliwy wypadek i ksiądz złamie rękę, to pięćdziesiąt.

Varley schylił się po leżącą na chodniku czapkę.

- Czy to wszystko, Mr Meehan?

- Starczy na początek - odchodząc Meehan śmiał się cicho "sam do siebie.

Ksiądz da Costa miał tylko trzech ministrantów do wieczornej mszy. Parafia zamierała i to właśnie było najgorsze. Domy wyburzano, ludzie przeprowadzali się gdzie indziej, zostawały tylko biurowce. To było beznadziejne, niewykonalne zadanie. Wiedział o tym, gdy wysłano go do parafii Najświętszego Imienia Pańskiego. Wiedzieli też o tym jego przełożeni. Beznadziejne zadanie mające nauczyć go pokory, czyż nie tak powiedział biskup? Nauczyć pokory człowieka, który był wystarczająco zarozumiały, by sądzić, że potrafi zmienić świat. Przekształcić Kościół na swoje podobieństwo.

Dwaj chłopcy pochodzili z Indii Zachodnich, rodzice trzeciego byli Węgrami. Wszyscy mieszkali w ruderach, które zostały na paru jeszcze nie tkniętych wyburzaniem uliczkach. Czekali na niego w kącie, szepcząc między sobą i chichocząc; świeżo umyjni, uczesani, ubrani już w jaskrawoczerwone sutanny i śnieżnobiałe komże. Czy tak właśnie wyglądał kiedyś Jack Meehan?

Jak cierń tkwiła w jego sercu świadomość własnej gwałtowności. Zabójczy gniew. Przemoc jawiła mu się przez całe życie jak zmora. Ludzie, których zabił w czasie wojny. I to również, a potem...

Chińczyk, strzelający z karabinu maszynowego do gromady uciekinierów w Korei. Pamięta, jak podniósł karabin i z odległości dwustu metrów strzelił mu w głowę. Fachowo, sprawnie, jak przystało na starego żołnierza. Czy było to niesłuszne? Czy naprawdę mogło być złym postępkim ratowanie życia tym ludziom? A ten portugalski kapitan w Mozambiku, który wieszał partyzantów za nogi. Pobił go prawie na śmierć, za co został zresztą karnie odesłany do kraju.

- Minęły już dni, kiedy to biskupi konno, z buławą w garści, brali udział w bitwach, przyjacielu - brzmiał mu w uszach cichy głos biskupa. - Twoim zadaniem jest ratowanie dusz. Przemoc za przemoc - to była dewiza Meehana. Ksiądz da Costa, przybity i rozgoryczony, zdjął fioletową stułę, którą nosił wysłuchując spowiedzi, i założył zieloną, krzyżując ją pod pasem na pamiątkę męki i śmierci Chrystusa. Gdy przywdział różową kapę, drzwi się otworzyły i weszła Anna - w nieprzemakalnym płaszczu, z laską pod ręką.

Podszedł, by zdjąć z niej płaszcz.

- Wszystko w porządku?

Od razu zwróciła się ku niemu z niepokojem.

- Jesteś zdenerwowany. Coś się stało?

- Miałem nieprzyjemną rozmowę z tym Meehanem - odparł cicho. - Powiedział mi to i owo o Fallonie. To, co powiedział, pozwala niejedno zrozumieć. Później ci opowiem.

Ściągnęła lekko brwi. Da Costa wprowadził ją bocznym wejściem. Poczekał chwilę, by zdążyła dojść do organów, po czym skinął na chłopców. Ci uformowali króciutką procesję, jeden z nich otworzył drzwi i, gdy zabrzmiały organy, weszli do kościoła.

Wnętrze było zimne i wilgotne, pełne cieni. Pełzające płomyki świec nie były w stanie rozproszyć mroku. Wiernych było najwyżej piętnastu. Nigdy dotąd, od czasu powrotu z Korei, nie czuł się tak przybity. Spojrzał na figurę Matki Boskiej. Unosiła się jakby w powietrzu - spokojna, pogodna - i wydało mu się, że leciutki uśmiech jej rozchylonych warg przeznaczony jest tylko dla niego.

- Asperfes me - zaintonował, idąc między ławkami do ołtarza. Jeden z chłopców z Indii Zachodnich niósł naczynie z wodą święconą, a ksiądz skrapiał nią po kolei głowy siedzących, w geście symbolicznego obmycia ich z grzechów.

- A kto mnie oczyści? - pytał z rozpaczą sam siebie.

Stanął w wyblakłej różowej kapie przed ołtarzem i, złożwszy dłonie, rozpoczął mszę.

- Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu i wam bracia i siostry, że zgrzeszyłem myślą, mową, i uczynkiem...

Tu uderzył się w piersi, jak nakazywał rytuał.

Zgodnym chórem zabrzmiały głosy wiernych, a po jego twarzy, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, popłynęły łzy. Znów uderzył się w piersi.

- Boże, zmiłuj się nade mną - szepnął. - Pomóż mi. Wskaż, co mam czynić.

Rozdział IX

WYKONAWCA

W całym mieście wiatr wył jak dzikie zwierzę, pędząc przed sobą deszcz, oczyszczając ulice z ludzi, grzechocząc starymi okiennicami, stukając w szyby, oznajmiając wszem i wobec swą niewidzialną obecność.

Gdy Billy Meehan wszedł do sypialni Jenny Fox, ona czesała właśnie przed lustrem włosy. Miała na sobie czarną minispódniczkę, ciemne pończochy, lakierki na wysokich obcasach i białą bluzkę. Wyglądała niezwykle atrakcyjnie.

Odwróciła się, gdy zamknął drzwi i powiedział cicho:

- Ładnie, bardzo ładnie. On jest w swoim pokoju?
- Tak, ale mówił, że znowu wychodzi.
- Będziemy musieli się postarać, aby zmienić zdanie, co, mała? Usiadł na łóżku.
- Chodź tu.

Zmagając się z obrzydzeniem i walcząc z nagłą paniką, Jenny podeszła do niego, cierpnąc cała.

Wsunął jej ręce pod spódniczkę, pieszcząc ciepłe ciało ponad pończochami.

- Grzeczna dziewczynka. Spodoba mu się. Wszyscy to lubią. Podniósł na nią wzrok. W jego oczach pojawiło się dziwne rozmarzenie.
- Jeśli spieprzysz sprawę, będziesz miała kłopoty. Znaczy to, jak sama rozumiesz, że będę cię musiał ukarać. To ci się chyba nie uśmiecha?

- Billy, proszę cię, Billy!

- A więc zrób to jak należy. Chcę zobaczyć, co najbardziej mu smakuje.

Odepchnął ją, wstał i podszedł do wiszącego na ścianie obrazka. Zdjął go ostrożnie. Ukazał się maleńki otwór - wywiercony kiedyś specjalnie dla niego. Przytknął do niego oko.

Po chwili odwrócił się i skinął głową.

- Właśnie zdjął koszulę. Wejdz tam teraz i pamiętaj - ja wszystko widzę.

Ślina ciekła mu z ust, ręce drżały lekko. Tłumiąc odrąę, Jenny otworzyła drzwi i wyszła z pokoju.

Rozebrany do pasa Fallon stał przy umywalce. Twarz miał pokrytą mydlaną pianą. Odwrócił się do niej. W rękę trzymał brzytwę z kościaną rączką.

Oparła się o drzwi.

- Przepraszam za tę brzytwę, ale tylko tyle udało mi się znaleźć.
- Nie szkodzi - uśmiechnął się. - Mój ojciec też miał taką. Aż do śmierci nie chciał się golić niczym innym.

Przez jego brzuch, aż do lewego uda, ciągnął się szereg brzydkich, pomarszczonych blizn. Otworzyła szeroko oczy.

- Co się panu stało? Spojrzał na siebie.
- A, to. Seria z karabinu maszynowego. Jedna z takich sytuacji, gdy zawodzi refleks.
- Był pan w wojsku?
- W pewnym sensie.

Odwrócił się do lustra, powracając do golenia. Jenny przeszła przez pokój i stanęła obok. Uśmiechnął się połową ust, napinając pod brzytwą mięśnie twarzy.

- Ładnie wyglądasz. Wybierasz się dokądś?

Znów czuła to ciepło, to klucie pod powiekami i nagle, ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, jak bardzo polubiła tego spokojnego, szczupłego mężczyznę; w tej samej chwili przypomniała sobie, że Billy, przyklejony do tej przekłętej ściany, obserwuje każdy jej ruch.

Uśmiechnęła się figlarnie i przejechała palcem po jego nagim ramieniu.

- Przyszło mi na myśl, że mogłabym spędzić ten wieczór tutaj. Co pan na to?

W oczach Fallona pojawiło się coś na kształt rozbawienia.

- Dziewczyno kochana, nie wiesz, w co możesz się wpakować. Jestem od ciebie dwa razy starszy.

- Mam butelkę irlandzkiej whisky.

- niech Bóg ma nas w swojej opiece. To rzeczywiście mogłoby skusić samego diabła.

Golił się dalej. Jenny przeszła przez pokój.

- Czy mogę zapalić?

Na stole przy łóżku leżała paczka papierosów i pudełko zapalek. Wyjęła zapalną, potarła ją, podłożyła sobie poduszkę pod głowę.

- Czy naprawdę musi pan wyjść?

Uniosła jedno kolano i spódniczka zadarła się prowokująco, odsłaniając nagie ciało nad ciemnymi pończochami i czarne figi z przezroczystego nylonu.

Fallon westchnął ciężko i odłożył brzytwę. Stał ręcznikiem pianę z twarzy, podszedł do łóżka i stanął nad nią.

- Zażębisz się - uśmiechnął się łagodnie i obciągnął jej spódniczkę - jeśli nie będziesz na siebie uważać. Wychodzę, ale przed wyjściem wypiję z tobą szklaneczkę whisky. Przynies butelkę. Podniósł ją z łóżka i przeprowadził stanowczo przez pokój. W drzwiach odwróciła się ze strachem w oczach.

- Proszę - powtarzała rozpaczliwie. - Proszę.

Zmarszczył lekko brwi, a w chwilę później na jego wargach pojawił się smutny uśmiech.

Pocałował ją delikatnie w usta i potrząsnął głową.

- Nie ja, dziewczyno kochana. Akurat nie ja ze wszystkich ludzi. Tobie potrzebny jest mężczyzna, a ja jestem już tylko chodzącym trupem...

To stwierdzenie zabrzmiało dla niej tak strasznie przez to, co sugerowało, że przez chwilę zapomniała o wszystkim innym. Utkwiła w nim szeroko otwarte oczy. Otworzył drzwi i wypchnął ją na korytarz.

Teraz opanował ją strach. Strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Nie czuła się zdolna sprostać temu, co czekało ją w sypialni. Gdyby tylko udało się jej zejść na dół; lecz było już za późno. W chwili, gdy próbowała przemknąć się na palcach, drzwi otworzyły się i Billy wciągnął ją brutalnie do wnętrza. Zatoczyła się, potknęła, but spadł jej z nogi i runęła na łóżko.

Odwróciła się ze strachem i spostrzegła, że Billy odpina już pasek.

- Spierdoliłaś sprawę, co? - powiedział łagodnie. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

- Proszę cię, Billy, proszę, zlituj się - błagała. - Zrobię wszystko, co chcesz!

- Już mnie nie nabierzesz. Nauczę cię teraz rozumu i następnym razem będziesz robiła to, co ci każe - wymierzył jej policzek. - Odwróć się!

Chwytał ją za włosy i przekręcił tak, że leżała twarzą w dół na krawędzi łóżka. Poczowała, jak rozrywa jej majtki, a potem zatrzęsł ją silny ból, gdy wpakował się jej między pośladki.

Wrzasnęła na całe gardło, odchylając głowę do tyłu.

Drzwi otworzyły się, uderzając gwałtownie o ścianę i do sypialni wpadł Fallon z namydloną połową twarzy - w prawej ręce ścisnął brzytwę.

Billy oderwał się od dziewczyny; mamrotał coś bez sensu, przytrzymując spodnie. Gdy wstał, Fallon zrobił dwa szybkie kroki i kopnął go między nogi. Billy runął na podłogę jak kłoda i zwinął się, drżąc, w pozycję embrionalną, z kolanami przyciśniętymi do piersi.

Dziewczyna wstała, próbując doprowadzić ubranie do porządku. Nie czuła wstydu. Łzy ciekły jej po twarzy. Fallon odruchowo stał z policzka wierzchem dłoni mydło. Jego oczy stały się nagle bordowo ciemne.

Łkanie niemal nie pozwalało jej mówić.

- Kazał mi iść do pana pokoju. Podglądał.

Wskazała ścianę. Podszedł do otworu i odwrócił się powoli.

- Często zdarza się coś takiego?

- On lubi podglądać.

- A ty? Co ty na to?

- Jestem dziwką - powiedziała i nagle wylało się z niej wszystko: całe obrzydzenie, nienawiść dla siebie samej, narosła przez lata poniżania. - Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co to znaczy? Jego brat wcześniej kazał mi zacząć.

- Jack Meehan?

- A któż by inny? Miałam trzynaście lat. W sam raz dla pewnego rodzaju klientów. Potem było już tylko coraz gorzej.

- Nie mogłaś wyjechać?

- Dokąd? - odzyskała już trochę pewności siebie. - Na to potrzebne są pieniądze. Mam na utrzymaniu trzyletnią córkę.

- Tutaj, w tym domu?

Potrząsnęła głową.

- Znajoma się nią opiekuje. To miła kobieta i mieszka w przyzwoitej dzielnicy, lecz Billy zna jej adres.

W tej właśnie chwili Billy poruszył się i podniósł głowę. Oparł się na łokciu. W oczach miał łzy, a na ustach pianę.

- Koniec z tobą - wyjąkał. - Gdy tylko mój brat się o tym dowie, będziesz mógł pożegnać się z życiem.

Zabrał się do zapinania spodni. Fallon przykucnął obok niego.

- Mój dziadek - powiedział tonem swobodnej rozmowy - miał w Irlandii farmę. Głównie owce. Co roku trzebił parę baranów - żeby polepszyć smak mięsa czy jakość wełny - coś w tym rodzaju. Czy wiesz, mój mały, co to znaczy trzebić barana?

- Nie mam pojęcia. Jesteś stuknięty - warknął Billy ze złością.

- Stuknięty, jak wszyscy Irlandczycy.

- To znaczy, że bierze się nożyce do strzyżenia wełny i obcina się baranom jaja.

Na twarzy chłopca odbiło się przerażenie. Fallon ciągnął zaś łagodnie:

- Spróbuj raz jeszcze w jakikolwiek sposób tknąć tę dziewczynę - podniósł do góry brzytwę - a potraktuję cię jak barana. Zrobię to osobiście, dając ci słowo.

Chłopiec odczołgał się kawałek i przycisnął plecami do ściany. Spodnie nadal ścisnął w rękach.

- Wariat - wyszeptał. - Zupełny wariat.

- Tak, Billy. I to zdolny do wszystkiego. Nie zapominaj o tym. Młody Meehan pozbił się i wybiegł przez otwarte drzwi. Słyszał było, jak pędzi po schodach, potem trzasnęły drzwi.

Fallon odwrócił się, dotykając dłonią policzka.

- Jak sądzisz, czy uda mi się skończyć golenie? Chwyciła go kurczowo za ramię.

- Proszę, niech mnie pan nie zostawia. Niech pan nie odchodzi.

- Muszę - odrzekł. - Zresztą, jak długo tu mieszkam, to on tu już nie wróci.

- A potem?

- Coś wymyślimy.

Odwróciła się. Fallon złapał ją szybko za rękę.

- To potrwa z godzinę, może trochę dłużej. Lecz przyrzekam ci, że jak wrócę, to napijemy się whisky, dobrze?

Spojrzała na niego niepewnie. Łzy rozmazały jej makijaż. Wyglądała dużo młodziej.

- Mówi pan poważnie?

- Słowo irlandzkiego dżentelmena.

Z zachwytem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Będę dla pana bardzo miła. Naprawdę. Położył jej palec na ustach.

- Nie trzeba - poklepał ją po policzku. - Wróć. Obiecuję. Zrób dla mnie tylko jedno.

- Co?

- Zmyj sobie, na miłość boską, to świństwo z twarzy. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi, a Jenny podeszła do umywalki i spojrzała w lustro. Miał rację. Wyglądała okropnie, lecz po raz pierwszy w życiu, oczy śmiały się jej w ten sposób. Śmiały się w rozmazanej masce twarzy dziwki. Wzięła gąbkę i mydło i zabrała się do szorowania.

Ksiądz da Costa nie mógł tego zrozumieć - schronisko było już przeszło godzinę otwarte, a nie pojawił się jeszcze żaden klient. Wydawał w tej starej krypcie obiady od wielu miesięcy, lecz coś takiego nie zdarzyło się nigdy dotąd.

Krypta nie wyglądała okazale, niemniej kamienne ściany były wymyte do czysta, w piecu płonął koks, a na podłodze rozstawiono ławy i stoły na kozłach. Siedząca przy jednym z nich Anna robiła sweter na drutach. Przed nią, w termosie, stała zupa, obok leżał stos talerzy. Zgodnie z umową, miejscowa piekarnia przysyłała im za darmo kilka bochenków chleba z wypieków z poprzedniego dnia:

Ksiądz dorzucił koks do pieca i rozgarnął go niecierpliwie pogrzebaczem. Anna przestała migać drutami.

- Jak myślisz, co mogło się stać?

- Bóg raczy wiedzieć - odpowiedział. - Ja w każdym razie nie wiem.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na ganek. Ulica wyglądała na pustą. Deszcz zmieniał się w lekką mżawkę. Wrócił do krypty.

Irlandczyk O'Hara, ten którego Varley nazwał Wielkim Mickiem, wyłonił się z niewielkiego podwórza parę domów dalej i stanął pod latarnią. Był to wysoki, barczysty mężczyzna - miał prawie dwa metry wzrostu, czarne, kręcone włosy, wieczny uśmiech na twarzy. Na spotkanie wyszedł mu z cienia ktoś nieco niższy, ze złamanym nosem.

W tej właśnie chwili na końcu ulicy pojawił się Fallon. Zbliżał się cicho, przystając w mroku, by zorientować się w sytuacji. Dostrzegł O'Harę i jego kumpla. Gdy tylko Irlandczyk zaczął mówić, Fallon skrył się w bramie i nastawił uszy.

- No tak, Danielu. Myślę, że ojciec wielebny jest już gotów. Ilu mamy ludzi?

Daniel strzelił palcami i z ciemności wynurzyło się kilka postaci. Przeliczył je szybko.

- Tu widzę ośmiu - powiedział. - Razem z nami dziesięciu.

- Dziewięciu - poprawił go O'Hara. - Ty zostaniesz na dworze i będziesz pilnował drzwi. Ot tak, na wszelki wypadek. Czy wszyscy wiedzą, co mają robić?

- Nauczyłem ich. Za funta na głowę wyremontują ten bajzel. O'Hara zwrócił się do tłoczącej się w szeregu gromadki:

- Pamiętajcie o jednym. Da Costa należy do mnie.

- Nie masz zahamowań, Mick? - zapytał Daniel. - Jesteś Irlandczykiem, a to jest jednak ksiądz.

- Muszę ci wyznać coś strasznego, przyjacielu - O'Hara położył mu rękę na ramieniu. -

Niektórzy Irlandczycy są protestantami i ja właśnie do nich należę - odwrócił się do pozostałych. - Chodźmy, chłopcy - powiedział i przeszedł przez jezdnię.

Weszli do środka. Daniel czekał przy ogrodzeniu, nadstawiając ucha na pierwsze odgłosy awantury. Usłyszał też ciche, grzeczne chrząknięcie. Odwrócił się. O dwa jardy przed nim stał Fallon z rękoma w kieszeniach.

- Skąd pan się tu, u diabła, wziął? - spytał Daniel.

- Nieważne. Co tam się dzieje?

Daniel, zazwyczaj ostrożny, tym razem jednak mylnie ocenił sytuację.

- Wynos się stąd, frajerze - rzucił z pogardą.

Rzucił się do przodu, lecz zręczny ruch nogi Fallona sprawił, że stopy straciły kontakt z ziemią i wyciągnięte groźnie ręce trafiły w próżnię.

Z głuchym odgłosem wylądował na płytach chodnika. Z trudem podniósł się na nogi, klnąc przy tym pod nosem. Fallon obiema rękami chwycił jego prawy nadgarstek, wykręcając go w górę i do tyłu. Daniel krzyknął z bólu, gdy ścięgna zaczęły pękać. Nie puszczając go, Fallon pchnął rozwrzeszczane indywiduum na ogrodzenie.

Gdy po chwili Daniel podniósł się z kolan, twarz miał całą we krwi. Wyciągnął błagalnie dłoni.

- Już dosyć. Na miłość boską!

- No dobrze. Powiedz mi zatem, co tu się dzieje.

- Mają zdemolować tę garkuchnię.

- Na czyje polecenie? - Daniel zawahał się, zatem Fallon ponownie zbił go z nóg. Kopniakiem.
- Dla kogo?
- Dla Jacka Meehana - wybełkotał poszkodowany. Fallon postawił go na nogi i cofnął się o krok.

- Następnym razem załatwię ci kolano. Tyle mogę ci obiecać. Zabieraj się stąd!

Daniel odwrócił się i pokuśtykał w ciemność.

Słyszac łoskot, ksiądz da Costa wiedział, że sytuacja robi się groźna. Gdy wszedł, przewracano już jedną ławkę i zabierano się za drugą. Czepiali się go rękami, ktoś pociągnął go za sutannę. Usłyszał przerażony krzyk Anny. Odwrócił się i zobaczył, jak O'Hara, który zaszedł ją od tyłu, obejmuje dziewczynę w pól.

- No i co, ślicznotko, dasz mi buzi? - spytał.

Wyrwała mu się w panice, wyciągając ręce przed siebie. Wpadła na stół, wywróciła go. Zabrzęczały talerze, zupa rozlała się po podłodze. Ksiądz próbował się ku niej przedrzeć. O'Hara zaśmiał się głośno.

- Popatrz tylko, co narobiłaś!

Od strony drzwi przebił się przez hałas jakiś głos. Był donośny, choć spokojny:

- Czy mnie oczy nie mylą? Mickeen O'Hara!

W krypcie zapadła cisza. Wszyscy czekali. O'Hara odwrócił się z wyrazem niedowierzania na twarzy - wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Słowa te, gdyby padły, byłyby stwierdzeniem, że to, co się dzieje, jest niemożliwe. Potwierdził to strach, groza wręcz, która odmalowała się na jego obliczu.

- Wielki Boże - wyszeptał. - Czy to ty, Martin?

Fallon zbliżył się do niego, nie wyjmując rąk z kieszeni. Nikt nawet nie drgnął. Fallon odezwał się łagodnie:

- Mick, bądź tak uprzejmy i każ im zrobić porządek, a potem poczekaj na mnie na ulicy.

O'Hara bez wahania wykonał polecenie i wyszedł. Pozostali mężczyźni zaczęli ustawiać z powrotem stoły i ławy, a jeden z nich wziął wiadro i ścierkę i zabrał się do mycia podłogi. Ksiądz da Costa chciał przede wszystkim uspokoić Annę. Fallon podszedł do nich.

- Bardzo mi przykro, proszę księdza. To już się więcej nie powtórzy.

- Meehan? Fallon skinął głową.

. - Spodziewał się ksiądz czegoś w tym rodzaju?

- Odwiedził mnie dziś wieczorem. Nie mogliśmy jakoś dojść do porozumienia - zawahał się. - Ten wysoki Irlandczyk, on pana zna...

- Mam wielu przyjaciół - uśmiechnął się Fallon. - Dobranoc księdzu - rzucił i skierował się do drzwi.

- Musimy porozmawiać, Fallon. Tyle mi się od pana należy.

- Dobrze. Kiedy?

- Rano będę zajęty, lecz jutro w porze obiadu nie spowiadam. Czy pierwsza panu odpowiada? Na plebanii.

- Przyjdę.

Fallon zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez jezdnię do czekającego nań pod latarnią O'Hary. Ten odwrócił się, słysząc kroki.

- Przysięgam, Martin, gdybym wiedział, że masz z tym coś wspólnego, to trzymałbym się z daleka. Tak w ogóle, to myślałem, że nie żyjesz. Wszyscy tak myśleliśmy...

- No dobrze. Ile Meehan miał ci zapłacić?

- Dwadzieścia pięć funtów. I pięćdziesiąt za złamanie księdzu ręki.

- A ile dał ci z góry?

- Ani pensa.

Fallon otworzył portfel i wyjął dwa dziesięciofuntowe banknoty. Wręczył je O'Harze.

- To pieniądze na podróż; przez pamięć dla dawnych czasów. Nie sądzę, by tutejszy klimat był dla ciebie zdrowy. Szczególnie teraz, gdy Meehan dowie się, że nawaliłeś.

- Niech cię Bóg błogosławi, Martin. Wyjadę jeszcze tej nocy - już

chciał odejść, lecz zawahał się. - Czy tamta sprawa nadal nie daje ci spokoju?

- Tak. Dręczy mnie w każdej minucie, każdej godzinie i dniu mojego życia - odparł Fallon z przekonaniem, odwrócił się i skręcił w boczną uliczkę.

Ksiądz da Costa widział z ganku, jak O'Hara przechodzi przez jezdnię, kierując się do pubu za rogiem. Podążył za nim.

O'Hara był zadowolony, że w barze panowała cisza. Spokój był mu potrzebny. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Zamówił dużą whisky i wypił ją jednym haustem. Gdy prosił o następną, drzwi otwarły się i wszedł ksiądz da Costa.

O'Hara próbował nadrabiać miną.

- A, witam. Napije się ksiądz ze mną?

- Wolałbym pić z diabłem - ksiądz zaciągnął go do najbliższego stolika i usiadł naprzeciw niego.

- Skąd znasz Fallona?

O'Hara spojrział na niego ze zdziwieniem, ręka ze szklanką zamarła w pół drogi do ust.

- Fallon? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Martin Fallon, głupcze - zniecierpliwiał się da Costa. - Przecież dopiero co rozmawialiście ze sobą przed kościołem.

- A, chodzi księdzu o Martina - rzekł O'Hara. - Fallon? Tego nazwiska teraz używa?

- Co może mi pan o nim powiedzieć?

- Dlaczego miałbym księdzu mówić cokolwiek?

- Bo inaczej zawiadomię policję o rozboju i oskarżę pana o napad. Nadinspektor Miller jest moim starym znajomym. Pewien jestem, że z przyjemnością wyświadczy mi tę drobną przysługę.

- No dobrze. Niech mnie ksiądz przestanie straszyć. - O'Hara, któremu dwie duże whisky poprawiły już nieco humor, poszedł do bufetu i przyniósł sobie trzecią. - Do czego jest to księdzu potrzebne?

- Czy to ważne?

- Dla mnie ważne. Martin Fallon, jak go ksiądz nazywa, jest prawdopodobnie najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu poznałem. To bohater.

- Dla kogo?

- Dla Irlandczyków.

- Rozumiem. Zapewniam pana, że nie chcę mu w żaden sposób zaszkodzić.

- Da mi ksiądz na to słowo?

- Oczywiście.

- Dobrze. Nie podam księdzu jego prawdziwego nazwiska. To i tak nieważne. Był porucznikiem Provisional IRA. W Londonderry nazywali go Wykonawcą. Gdy brał broń do ręki, to można się było po nim spodziewać wszystkiego. Zastrzeliliby i papieża, gdyby był pewien, że to może pomóc sprawie. A głowa! To gość z dyplomem wyższej uczelni - przyszło to księdzu do głowy? Ukończył ni mniej ni więcej, tylko Trinity College. Były dnie, gdy wszystko to wyłaziło z niego - poezja, książki. Na pianinie gra jak anioł - O'Hara zastanowił się, miętosząc papierosa w rękę i spoglądając w przeszłość. - Ale były też i inne dni.

- To znaczy?

- Całkiem się zmieniał. Zamykał się w sobie - żadnych uczuć, brak jakiejkolwiek reakcji. Nic. Zimny lód - wzdrygnął się i włożył papierosa w kącik ust. - Gdy wpadł w taki nastrój, wszyscy drżeli. Łącznie ze mną.

- Długo byliście razem?

- Dość krótko. Oni nigdy naprawdę mi nie ufali. Ksiądz rozumie, jestem protestantem. Więc odszedłem.

- A Fallon?

- Urządził zasadzkę na samochód pancerny. Gdzieś w Arnagh. Podminowali szosę, lecz ktoś źle obliczył czas. Zamiast Saracena, nadjechał szkolny autobus. Same dzieciaki. Pięcioro

zginęło, reszta została kalekami. To zniszczyło Martina. Myślę, że już wcześniej przestało mu się to wszystko podobać - zabójstwa, napady... Historia z autobusem dopełniła miary.

- Rozumiem, taki wypadek mógł się zdarzyć - w głosie da Costy nie było cienia ironii.

- Myślałem, że nie żyje. Słyszałem ostatnio, że IRA wydała na niego wyrok. Sądziłem, że go wykonali. Ja się nie liczę i mną nikt się nie przejmuje, ale z takim Martinem to całkiem inna sprawa. On za dużo wie i dla takiego człowieka jest tylko jeden sposób, by odejść z ruchu.

Wstał od stolika. Twarz miał zaczerwienioną.

- No, muszę już księdza pożegnać. To miasto i ja rozstajemy się. Ruszył do drzwi, ksiądz za nim. Na dworze padał deszcz. O'Hara zapiął płaszcz i rzekł pogodnie:

- Czy zastanawiał się ksiądz kiedyś, po co to wszystko? Mówię o życiu.

- Ciągle to robię.

- No to przynajmniej ksiądz jest szczery. Do zobaczenia w piekle. Odszedł chodnikiem, pogwizdując, a ksiądz skierował się z powrotem do kościoła. Gdy znalazł się znów w krypcie, zastał wszystko w najlepszym porządku. Mężczyźni już poszli. Anna czekała cierpliwie, siedząc na jednej z ław.

- Przykro mi, że musiałem cię zostawić samą - powiedział. - Chciałem pomówić z tym człowiekiem, który znał Fallona. To ten, który zaczął awanturę. Poszedłem za nim do baru na rogu.

- I czego się dowiedziałeś?

Po chwili namysłu opowiedział jej wszystko. Gdy skończył, na jej twarzy malowało się cierpienie. Z zastanowieniem powiedziała:

- A więc nie jest tym, za kogo uważaliśmy go na początku.

- Zabił Kraszkę - przypomniał jej. - Zamordował go z zimną krwią. Nie ma w tym nic romantycznego.

- Masz rację. Oczywiście - poszukała rękami płaszcz i podniosła go z ławy. - Co chcesz teraz zrobić?

- A czego ode mnie oczekujesz? - spytał z furią w głosie. - Żeby zbawił jego duszę?

- To jest myśl - powiedziała, biorąc go pod ramię. Wyszli razem na dwór.

Na tyłach domu Meehana na Paul's Square stał stary magazyn. Po schodach przeciwpożarowych można było z łatwością dostać się na jego płaski dach.

Fallon przykucnął za niskim murkiem, nakręcił tłumik na lufę ceski i wyjrzał. Dwa okna mansardy Meehana były odległe o najwyżej dwadzieścia jardów, a zasłony nie były zaciągnięte. Co pewien czas w jednym lub w drugim oknie pojawiał się Meehan, który chodził tam i z powrotem po pokoju ze szklanką w ręku. W pewnym momencie podszedł do niego Rupert, objął za szyję, lecz Meehan odepchnął go, wyglądało na to, że ze złością.

Strzał z broni krótkiej był na taką odległość raczej trudny, lecz nie beznadziejnie niemożliwy. Znów przykucnął, obiema rękami ścisnął odbezpieczoną już ceskę, celując w lewe okno.

Meehan pojawił się w nim niebawem, podnosząc szklankę do ust. Fallon nacisnął spust.

W mansardzie rozbiło się wiszące na ścianie lustro. Meehan rzucił się na podłogę, a Rupert, który położył się właśnie na kanapie, by spokojnie oglądać telewizję, odwrócił się raptownie.

Otworzył oczy ze zdumienia.

- Wielki Boże, popatrz w okno. Ktoś strzelał do ciebie. Meehan spojrzał na otwór po pocisku - sieć pęknięć pokryła całą szybę - a potem na wiszące na przeciwległej ścianie lustro. Podniósł się powoli. Rupert podszedł do niego.

- Wiesz co, skarbie, znajomość z tobą staje się niebezpieczna. Meehan odtrącił go brutalnie.

- Psiakrew z tym. Nalej mi coś do picia. Muszę pomyśleć.

W parę minut później zadzwonił telefon. Gdy Meehan podniósł słuchawkę, usłyszał dźwięk wrzucanej monety - ktoś dzwonił z automatu.

- Czy to ty, Meehan? - zapytał Fallon. - Wiesz, kto mówi?

- Ty mówisz, skurwielu. Co ty wyprawiasz?

- Tym razem umyślnie nie trafiłem. Zapamiętaj to sobie i powiedz swoim fagasom, że mają się trzymać z daleka od kościoła Najświętszego Imienia Pańskiego. Ciebie to też dotyczy - i odłożył słuchawkę.

To sarno zrobił Meehan. Odwrócił się z twarzą pobladłą z wściekłości. Rupert podał mu drinka.

- Nie wyglądasz najlepiej, skarbie. Złe wiadomości?

- Fallon - wycodził Meehan przez zęby. - To był ten bydlak Fallon. Umyślnie spudłował.

- Nie martw się, skarbie - powiedział Rupert. - Masz przecież zawsze jeszcze mnie.

- To prawda. Rzeczywiście. Byłbym zapomniiał - i uderzył go pięścią w żołądek.

Fallon wrócił późno, dużo później, niż zamierzał. Jenny poszła już na górę. Zdjął buty i cicho wszedł po schodach do swojego pokoju.

Rozebrał się, położył do łóżka i zapalił papierosa. Był zmęczony. Okropny dzień. Rozległo się ciche, lękliwe pukanie. Zaraz też w drzwiach pojawiła się Jenny.

Miała na sobie ciemnoniebieską nylonową koszulę nocną; włosy przewiązała wstążką. Jej twarz była wymyta do czysta.

- Jakies pół godziny temu dzwonił Jack Meehan. Mówił, że chce się jutro z panem zobaczyć.

- Powiedział, gdzie?

- Nie, kazał mi tylko powtórzyć, że będzie to w jak najbardziej publicznym miejscu, tak że nie ma powodów do obaw, i że przyśle po pana samochód o wpół do ósmej.

Fallon zmarszczył brwi.

- Dość wcześnie, jak na niego.

- Może - zawahała się. - Czekałam. Obiecał pan wrócić za godzinę, a jest już...

- Przepraszam. Nie ma w tym mojej winy, możesz mi wierzyć.

- Wierzę. Jest pan pierwszym od wielu lat mężczyzną, który nie traktuje mnie jak szmatę - rozplakała się.

Bez słowa odchylił koc i wyciągnął ku niej rękę. Przeszła przez pokój i położyła się przy nim.

Zgasił lampę. Jenny leżała wtulona twarzą w jego pierś. Obejmował ją ramieniem. Drugą ręką pogłaskał ją po włosach. Po chwili już spała.

Rozdział X

EKSHUMACJA

Samochodem, który nazajutrz przyjechał po Fallona, była czarna limuzyna zakładu pogrzebowego. Za kierownicą, ubrany w czarny elegancki garnitur, siedział Varley. Jego strój uzupełniała urzędowa czapka z daszkiem. Poza nim w wozie nie było nikogo.

Martin wsiadł tylnymi drzwiami i zatrzaskał je za sobą. Przechylił się do przodu i odsunął szybką oddzielającą go od szoferki.

- W porządku - odezwał się, gdy Varley wrzucił bieg i wóz ruszył. - Dokąd jedziemy?

- Na cmentarz katolicki.

Fallon, który właśnie zapalał pierwszego tego dnia papierosa, drgnął niespokojnie.

- Nie ma się co denerwować, panie Fallon - dorzucił Varley uspokajająco. - Słowo daję, Mister Meehan przeprowadza po prostu ekshumację.

- Ekshumację?

- Tak. Zdarza się to dość rzadko i Mister Meehan woli chyba doglądać tego osobiście. Jest bardzo sumienny, jeśli chodzi o jego obowiązki zawodowe.

- W to nie wątpię. To jakiś niezwykły przypadek, ta dzisiejsza ekshumacja?

- Bo ja wiem. Mister Meehan uznał zapewne, że może to pana zainteresować. Ten, którego wykopują, to Niemiec. Zmarł jakieś półtora roku temu. Jego żona nie miała wtedy pieniędzy, by przewieźć go do kraju, a teraz trafiła się jej jakaś większa forsa i chce pochować męża w Hamburgu - skreślił w główną ulicę i dodał pogodnym głosem. - Przedsiębiorstwo pogrzebowe to fajna zabawa. Ciągłe dzieje się coś nowego.

- O to mogę się założyć.

Po dziesięciu minutach jazdy dotarli do cmentarza. Varley skręcił w bramę i wóz potoczył się wąską dróżką, mijając kaplicę i biuro dyrekcji cmentarza.

Grób, którego szukali, znajdował się na szczycie wzgórza. Był osłonięty brezentem, wokół którego zgromadziło się przynajmniej dziesięciu ludzi. W pobliżu czekała ciężarówka i kilka samochodów osobowych. Meehan stał właśnie przy jednym z nich i rozmawiał z siwym mężczyzną w kaloszach i przeciwdeszczowym płaszczu. Sam, jak zwykle, miał na sobie ciemny płaszcz z grubej wełny i filcowy kapelusz. Obok stał Donner i trzymał szefowi nad głową parasol.

Fallon wysiadł i poczłapał przez deszcz w stronę mokrej gromadki. Meehan obejrzał się i uśmiechnął.

- A, jesteś. To jest mister Adams, inspektor sanitarny. Pan Fallon jest moim współpracownikiem.

Adams podał mu rękę i odwrócił się z powrotem do Meehana.

- Zobaczę, jak im idzie. Gdy odszedł, Fallon zapytał:

- Co to za komedia?

- Żadna komedia - powiedział Meehan. - To interes. Potem mam pogrzeb, tak że całe przedpołudnie jest zajęte, a porozmawiać przecież trzeba. Możemy zrobić to w samochodzie, będzie na to chwila po drodze. Na razie zostań przy mnie i udawaj pracownika przedsiębiorstwa. Obecność przy ekshumacji to przywilej. Dyrektor cmentarza nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że jest tu ktoś postronny.

Ruszył w kierunku grobu, za nim parasol z Donnerem. Fallon nie został w tyle. Smród był okropny - takiego fetoru nie czuł jeszcze nigdy w życiu. Zajrzawszy do otwartego grobu stwierdził, że jego wnętrze spryskano wapnem.

- Tam są dwie stopy wody, panie Meehan - zawołał inspektor. - I nie ma odpływu - za dużo gliny. A to oznacza, że trumna będzie w bardzo złym stanie. Najpewniej się rozpadła.

- Trudno. Przygotujcie drugą.

Skinął głową i dwóch spośród stojących przy dole grabarzy wyniosło z ciężarówki dużą, dębową trumnę, obitą wewnątrz cynkową blachą.

- Pakuje się starą trumnę do środka i zalutowuje wieko - poinformował go Meehan. - Żadna filozofia. Trzeba było to zrobić w obecności inspektora sanitarnego. Takie są przepisy przy wysyłaniu zwłok za granicę.

W tym momencie nastąpiło nagłe poruszenie. Odwrócili się, by ujrzeć, jak sześciu stojących wokół grobu mężczyzn dźwiga do góry trumnę. Przeciągnięte pod nią rzemienie trzymały ją jako tako razem, lecz jedna ze ścianek po chwili i tak odpadła, ukazując parę nadgniłych stóp pozbawionych palców.

Smród zapierał dech. Sześciu nieszczęśników stąpało powoli w kierunku nowej trumny, kurczowo trzymając rozpadającą się ruinę. Meehan był w swoim żywiole. Szczekliwym głosem wydawał polecenia:

- Teraz uwaga! Ostrożnie! Bardziej w lewo! Gotowe!

Stara trumna wpadła do nowej, zamknięto zaraz wieko i Meehan spojrzał triumfująco na Fallona.

- A co, nie mówiłem ci, że to żadna filozofia? A teraz musimy się pospieszyć. O wpół do dziesiątej mam kremację.

Grabarze wydawali się być nieco wstrząśnięci. Jeden z nich zapalił drżącymi rękami papierosa i zapytał Fallona, mówiąc z dublińskim akcentem:

- Czy to prawda, że dziś po południu wysyłają go samolotem do Niemiec?

- Tak mi mówiono - odparł Fallon. Stary grabarz skrzywił się.

- Żeby tylko pilot pamiętał o otworzeniu okna.

To sprawiło, że idąc do samochodu, Fallon śmiał się ironicznie sam do siebie.

Prowadził Donner. Meehan i Fallon siedzieli z tyłu. Meehan otworzył szafkę w dolnej połowie ścianki między szoferką a resztą wozu i wyjął z niej termos i butelkę koniaku. Nalał do kubka kawy, dopełnił całość koniakiem i rozparł się wygodnie na siedzeniu.

- Ten wczorajszy pomysł był naprawdę bardzo głupi. Trudno go nazwać przyjaznym gestem. Jak mogłeś zrobić coś takiego? Co cię ugryzło?

- Przrzekłeś, że zostawisz księdza w spokoju. Potem jednak nasłałeś na niego O'Hare, który miał zdemolować kryptę. Całe szczęście, że akurat tam byłem. O'Hara to mój stary przyjaciel. Nawiasem mówiąc, wyjechał. Nie zobaczysz go już więcej.

- Nie tracisz czasu - Meehan wlał sobie jeszcze trochę koniaku do kawy. - Przyznaję, że wściekłem się trochę na da Costę. Lecz i on nie był dla mnie zbyt miły wczoraj wieczorem podczas rozmowy, a przecież zaproponowałem mu tylko, że pomogę mu zebrać trochę pieniędzy, które utrzymują jego kościół w jednym kawałku.

- I myślałeś, że on to przyjmie? Żartujesz chyba! Meehan wzruszył ramionami.

- Nadal uważam ten strzał za gest nie świadczący o przyjaźni.

- Podobnie jak świństwem jest zabawa Billy'ego w małego podglądacza. Właśnie, skoro już przy tym jesteśmy - kiedy zrobisz z nim porządek? Nie powinieneś wypuszczać go z domu bez nadzoru.

- To mój brat - twarz Meehana poczerwieniała. - Jak ja, czy my wszyscy, on też ma swoje wady, lecz ten, kto jemu wyrządza krzywdę, krzywdzi i mnie.

Fallon zapalił papierosa. Na twarzy Meehana pojawił się szeroki uśmiech.

- Ty mnie przecież wcale nie znasz, Fallon. Nie znasz, na przykład, drugiej strony mego życia - nie wiesz, jaki dobry jestem w pracy przy pogrzebach.

- Podchodzisz do tego bardzo poważnie.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie, toteż Meehan pokiwał głową.

- Trzeba mieć trochę szacunku dla śmierci. To poważna sprawa i odpowiedzialny zawód. Zbyt wielu chce dzisiaj załatwiać to po partacku. A ja lubię, żeby wszystko odbywało się jak należy.

- Rozumiem.

Meehan znów się uśmiechnął.

- Dlatego właśnie wpadło mi do głowy, że moglibyśmy razem spędzić to przedpołudnie. Może cię to zacieka, kto wie... Może uznasz nawet, że ten zawód ma przed sobą przyszłość...

Położył Fallonowi rękę na kolanie. Ten odsunął się, lecz Meehan nie poczuł się tym ani trochę speszony.

- W każdym razie, na początek pokażę ci jeszcze kremację. Ciekaw jestem, jak ci się spodoba. Nalał sobie jeszcze kawy, dodał znów koniaku i rozsiadł się w fotelu z całkiem zadowoloną miną.

lii Krematorium nazywało się Pine Trees. Gdy przejeżdżali przez bramę, Fallon ze zdumieniem dostrzegł wypisane złotymi literami na tablicy nazwisko Meehana. Było tam też pięć innych nazwisk dyrektorów.

- Mam pięćdziesiąt jeden procent akcji tego przedsiębiorstwa - wyjął Meehan. - To najnowocześniejsze krematorium w północnej Anglii. Musisz zobaczyć kiedyś ten ogród na wiosnę lub w lecie. Pochłania masę forsy, lecz się opłaca - ludzie przyjeżdżają tu z całego kraju.

Budynek dyrekcji stał zaraz za bramą, lecz nie zatrzymali się przed nim, lecz dalej, przed wspaniałą budowlą z kolumnadą. Meehan spuścił szybę.

- To się nazywa kolumbarium - wyjaśnił. - Niektórzy ludzie wolą składać popioły w urnie, by ustawić je później w widocznym miejscu. Tutaj we wszystkich ścianach są nisze i większość z nich jest już zajęta. Teraz staramy się to ludziom odradzać.

- A co im zalecacie? - spytał Fallon z ironią w głosie.

- Rozsiewanie popiołów. Wysypujemy je na trawę, wgniatamy w ziemię. Z ziemi wyszliśmy i do ziemi wracamy. Jak zechcesz, to pokażę ci to po ceremonii.

Fallon zapomniał języka w gębie. Ten człowiek, Meehan, traktował samego siebie i to, co robił z tak niewiarygodną powagą, że mógł tylko siedzieć cicho i czekać, co ten dalej wymyśli.

Kaplica i krematorium stały w samym środku posiadłości, o kilkaset metrów od głównej bramy. Czekają tam jeszcze parę innych samochodów i karawan z trumną, z Bonattim za kierownicą.

- Jeżeli rodzina się zgadza, wysyłamy tu karawan przed resztą samochodów - wtrącił Meehan.
- W dzisiejszych czasach kondukt nie może jechać za trumną. Za duży ruch - cała kawalkada porwałaby się na strzępy.

W chwilę później od strony bramy nadjechała limuzyna, za nią trzy dalsze. Z przodu, obok kierowcy, siedział Billy. Meehan wysiadł i z kapeluszem w ręku podszedł, by powitać rodzinę i przyjaciół zmarłego.

Był to niezwykle widok i Fallon patrzył jak urzeczony na Meehana, który zbliżał się po kolei do każdej grupy z poważną, zatroskaną miną. Szczególnie dobrze radził sobie ze starszymi paniami.

Trumnę wniesiono do kaplicy, za nią postępował kondukt. Meehan dołączył do niego na końcu, pociągając Fallona za rękaw.

- Chodź, zobaczysz, jak to wszystko funkcjonuje. Nabożeństwo było szczęśliwie krótkie, niemal równie sztuczne, jak płynąca z taśmy muzyka. Martin odczuł ulgę, gdy dobiegło końca i jakiś automat zasunął kurtynę, kryjąc trumnę przed wzrokiem zgromadzonych.

- Teraz przesuwają się na pasie transmisyjnym do sali krematoryjnej - szepnął Meehan. - Zabiorę cię tam, gdy tylko wszyscy sobie pójda.

Po wyjściu z kaplicy Meehan odbył następną rundę rozmów z krewnymi zmarłego. Poklepał po plecach kogo należało, dłoń starszej pani potrzymał przez chwilę w swoich rękach - robił to naprawdę po mistrzowsku. Wreszcie udało mu się wymknąć i skinął na Fallona. Obeszli budynek, Meehan otworzył tylne drzwi i poszedł przodem.

W sali stały cztery ogromne piece. Dwa huczały, trzeci był cichy, a z czwartego jakiś człowiek w białym kitlu wygarniał popiół.

Meehan skinął głową z zadowoleniem.

- Artur nam całkowicie wystarczy - powiedział. - Wszystko jest całkowicie zautomatyzowane. Zaraz ci to pokażę.

Na wózku czekała trumna, którą przed chwilą widzieli w kaplicy.

- W ścianie są wahadłowe, gumowe drzwi - wyjaśnił Meehan.

- Trumna wjeżdża tutaj na wałkach i łąduje na wózku.

Pchnął wózek w kierunku zimnego pieca i otworzył drzwiczki. Wepchnął trumnę do środka, zamknął drzwi i przycisnął czerwony guzik. Od razu rozległ się huk. Przez szybę wziernika Fallon widział, jak w piecu pojawiają się płomienie.

- To wszystko - powiedział Meehan. - Te piece pracują na promieniach podczerwonych i są ostatnim słowem w dziedzinie wydajności. Proces spalania trwa godzinę i nie trzeba wcześniej nagrzewać pieca. Kiedy temperatura dochodzi do tysiąca stopni, wszystko płonie jak zapalka. Fallon spojrział przez szybę i zobaczył, że trumna stanęła nagle w ogniu. Przez ułamek sekundy widział głowę z płonącymi włosami. Pospieszenie odwrócił wzrok.

Meehan stał blisko pieca, przy którym pracował Artur.

- Przyjrzyj się! To wszystko, co zostaje.

W piecu znajdował się spopielony szkielet. Gdy Artur pchnął go pogrzebaczem, rozsypał się na drobne odłamki, które spadły przez kratę do dużego blaszanego pudła z popiołem. Meehan wyciągnął je i przeniósł do stojącego pod ścianą aparatu.

- To jest zgniatarka - wyjaśnił, wsypując do środka zawartość pudła. Zatrzasnął wieko. - Popatrz tylko - dwie minuty i po wszystkim.

Przycisnął guzik i aparat zaczął z wielkim hałasem mielić kości. Kiedy Meehan uznał, że już wystarczy, wyłączył urządzenie, odkręcił umieszczoną pod nim stalową urnę i pokazał ją Fallonowi. Była w trzech czwartych wypełniona szarym popiołem.

- Czy zauważyłeś, że na urnie jest nalepka - zapytał. - To bardzo ważne. Robimy wszystko w ściśle określonej kolejności, nie ma mowy o pomyłce. - Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej białą kartkę z czarną obwódką. - Najbliższy krewny dostaje takie zawiadomienie z numerem kwatery. Nazywamy ją Kartą Wiecznego Odpoczynku. Teraz chodź, pokażę ci ostatni etap.

Ciągle jeszcze padało. Okoloną cyprysami ścieżką z tyłu budynku wyszli na porosłą trawą teren poprzecinany gęstym żywopłotem. Po obu stronach każdej alejki stały tabliczki z numerami. Przy taczce pracował ogrodnik. Motyką spulchniał klomb.

- Jeszcze trochę roboty dla ciebie, Fred - zawołał Meehan. - Zanotuj to sobie w czarnym zeszycie.

Ogrodnik wyciągnął notes i spisał w nim dane z nalepki na urnie.

- Numer pięćset trzydzieści siedem, panie Meehan - oznajmił.

- W porządku, Fred, zajmij się tym.

Ogrodnik podszedł do tabliczki z właściwym numerem i wysypał popiół na mokrą trawę, po czym miotłą wtarł go w ziemię. Meehan odwrócił się do Fallona.

- I to wszystko, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz; cześć pieśni, zostaje tylko Karta Wiecznego Odpoczynku z numerem.

Wracali w stronę kaplicy, gdy odezwał się ponownie:

- Ja wolałbym raczej normalny pogrzeb. Uważam to za bardziej stosowne. Ale ludziom trzeba dawać to, czego chcą.

Billy'ego i Bonattiego nie było już przed kaplicą. Czekał tylko Donner i przybyły drugą limuzyną Varley. Zjawił się kierownik krematorium i poprosił Meehana o chwilę rozmowy.

Fallon został sam. Ciągle czuł w nozdrzach fetor z otwartego grobu. Tuż za głównym wejściem do kaplicy była toaleta. Wszedł do środka i obmył ręce i twarz zimną wodą. W okienku nad umywalką nie było szyby i wiatr wiewał krople deszczu. Stał przez chwilę, ogarnięty uczuciem przygnębienia. Otwarty grób, pozbawione palców stopy wystające z przegniłej trumny... ładnie się zaczął ten dzień. A teraz jeszcze to - człowiek zredukowany do garstki popiołu.

Kiedy wyszedł z łazienki, Meehan już na niego czekał.

- No i to wszystko. Chyba, że chciałbyś obejrzeć jeszcze jedną kremację.

- Jeśli mogę wybierać, to nie. Meehan zaśmiał się cicho.

- Ja mam jeszcze dwie, ale to nieważne. Varley może cię odwieźć do Jenny. - Uśmiechnął się szeroko. - W taki dzień jak dzisiaj nie warto wychodzić z domu, jeśli się nie musi. Na twoim miejscu nie ruszałbym się stamtąd. Bo to może być ciekawe - kiedy Jenny się rozkręci, robi się z niej prawdziwe półdiabło.

- Wiem, już mi to mówiłeś.

Usiadł z tyłu wozu i Varley ruszył. Zamiast jechać wprost do głównej bramy, wybrał wąską dróżkę, na której samochód mieścił się z trudem, a potem między drzewami skręcił w prawo.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, Mr Fallon. W ten sposób oszczędzamy kilometr.

Dojechali do niewielkiej bramy. Varley wysiadł, otworzył ją, przejechał i znowu wysiadł, żeby ją zamknąć. Pięćdziesiąt metrów dalej droga łączyła się z szosą.

Gdy byli już blisko śródmieścia, Fallon powiedział:

- Możesz mnie tu gdziekolwiek wysadzić, Charlie.

- Ależ tak nie można, panie Fallon - jęknął Varley. - Przecież sam. pan słyszał, co powiedział pan Meehan. Mam pana odwieźć do Jenny.

- Przekaż panu Meehanowi ukłony ode mnie i powiedz mu, że sam sobie może jechać do Jenny.

Przejeżdżali właśnie przez Rickingham Street. Gdy byli przy kościele Najświętszego Imienia, Fallon przechylił się zniechęca przez oparcie i wyłączył stacyjkę. Zatrzymawszy w ten sposób samochód, wysiadł i przeszedł przez jezdnię. Varley odprowadził go spojrzeniem aż do bocznego wejścia do kościoła, po czym szybko odjechał, żeby zawiadomić Meehana.

Rozdział XI

WEDŁUG FALLONA

Wielebny kanonik O'Halloran, administrator prokatedry, stał przy oknie w swoim gabinecie. Gdy wprowadzono Millera i Fitzgeralda, odwrócił się, żeby ich powitać i, opierając się mocno na lasce, podszedł do biurka. Miał sztywną lewą nogę.

- Dzień dobry panom, jeśli można mówić o dobrym dniu przy takiej pogodzie. Czasem myślę, że ten przekłety deszcz nigdy się nie skończy.

Mówił z akcentem z okolic Belfastu. Miller polubił go od razu tylko dlatego, że mimo siwizny wyglądał na eksboksera ciężkiej wagi i miał kilkakrotnie złamany nos.

- Moje nazwisko Miller, jestem nadinspektorem. O ile mi wiadomo, ksiądz kanonik zna inspektora Fitzgeralda.

- Owszem, znam - kanonik usiadł za biurkiem. - Biskup, niestety, jest w Rzymie, więc panowie będą musieli zadowolić się mną.

- Czy ksiądz kanonik dostał mój list?

- Tak, posłaniec doręczył mi go wczoraj wieczorem.

- Uznałem, że będzie to oszczędność czasu - Miller zawahał się i ostrożnie dodał: Prosiłem, żeby ksiądz da Costa był obecny przy rozmowie.

- Czeka w sąsiednim pokoju. - Kanonik pedantycznie nabijał fajkę tytoniem ze starego kapciucha. - Sądzę, że powinienem wysłuchać najpierw oskarżenia.

- Wszystko napisałem w liście.

- I czego panowie oczekują ode mnie?

- Żeby ksiądz kanonik przemówił księdzu da Costa do rozsądku. On musi nam pomóc. Musi zidentyfikować tego człowieka.

- Jeżeli pańskie podejrzenie jest słuszne, sam papież nie potrafiłby go do tego skłonić - stwierdził spokojnie O'Halloran. - Tajemnica spowiedzi jest nienaruszalna.

- Nawet w takim przypadku jak ten? - spytał Miller ze złością. - To bez sensu i ksiądz kanonik dobrze o tym wie.

Fitzgerald uspokajająco położył mu rękę na ramieniu, ale O'Halloran bynajmniej nie był zgorzony. Powiedział łagodnie:

- Protestantowi albo Żydowi, w ogóle każdemu, kto nie jest katolikiem, cała koncepcja spowiedzi musi się wydawać absurdalna. Anachronizm, nie mający racji bytu we współczesnym świecie. Czy nie tak pan sądzi, panie nadinspektorze?

- W tym wypadku na pewno.

- Kościół zawsze uważał, że spowiedź jest dobra dla duszy. Grzech jest potwornym ciężarem, a dzięki spowiedzi ludzie mogą się go pozbyć i zacząć wszystko od nowa. - Miller poruszył się zniecierpliwiony, ale kanonik mówił dalej równie spokojnym głosem. Miał niezwykle dar przekonywania. - Po to, żeby spowiedź miała jakąkolwiek wartość terapeutyczną, musi być ktoś, kto jej wysłucha - i to jest właśnie rola kapłana. Jest on, oczywiście, tylko pośrednikiem w rozmowie z Bogiem. Nie można się spodziewać, że ludzie zwierzaliby mu się ze swoich grzechów, gdyby nie byli pewni, że to, co mówią, jest absolutną tajemnicą i nie będzie ujawnione w żadnych okolicznościach.

- Ależ tu mamy do czynienia z morderstwem! - nie wytrzymał Miller. - Z morderstwem i ohydą, jakiej ksiądz kanonik nie zdoła sobie wyobrazić!

- Wątpię - kanonik uśmiechnął się i ponownie zapalił fajkę. - To dziwne, ale chociaż większość ludzi sądzi, że księża są oderwani od rzeczywistości, ja w ciągu tygodnia stykam się z taką porcją ludzkich nieprawości, z jaką przeciętny człowiek nie ma do czynienia w ciągu całego życia.

- Bardzo ciekawe, ale nie widzę, co to ma do rzeczy...

- No, dobrze, panie nadinspektorze, spróbuję to wyjaśnić. Podczas ostatniej wojny byłem w niemieckim oflagu, gdzie wszystkie plany ucieczki paliły na panewce dlatego, że ktoś stale informował władze niemieckie o każdym naszym posunięciu. - Dźwignął się z fotela i

pokuśtykał do okna. - Wiedziałem, kto to jest, wiedziałem od miesiący. Ten człowiek wyznał mi to na spowiedzi...

- I nic ksiądz nie zrobił? Miller był szczerze wstrząśnięty.

- No cóż, próbowałem go przekonać, ale to było wszystko, co mogłem zrobić. Nie wolno mi było nawet najłżejszą aluzją dać innym k do zrozumienia, jaka jest prawda. Twarz miał bardzo zmęczoną.

- Czy pan myśli, że łatwo jest żyć z takim ciężarem na duszy? Coś panu jeszcze powiem. Regularnie słucham spowiedzi w katedrze i nie ma tygodnia, żeby ktoś nie wyznał mi czegoś, za co mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności prawnej.

Miller wstał.

- A więc ksiądz kanonik nie może nam pomóc?

- Tego nie powiedziałem. Porozmawiam z nim, wysłucham, co ma do powiedzenia. Czy mogliby panowie poczekać kilka minut w drugim pokoju?

- Oczywiście, ale przed naszym wyjściem chciałbym się jeszcze z nim zobaczyć w obecności księdza kanonika.

- Jak pan sobie życzy.

Wyszli, a kanonik nacisnął umieszczony na biurku przycisk.

- Prosić księdza da Costę.

Była to nieprzyjemna sprawa i czuł się dziwnie przybity. Wpatrywał się w zalany deszczem ogród i zastanawiał się, co też powiedzieć księdzu da Costa. Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i odwrócił się.

- I co mam z tobą zrobić, Michale?

- Przykro mi, Wasza Wielbność - da Costa był bardzo oficjalny - ale znalazłem się w tej sytuacji bez własnej winy.

- Zawsze tak bywa. - Kanonik wrócił do fotela. - Czy prawdą jest to, co oni przypuszczają? Czy ta sprawa ma związek z konfesjonalem?

- Tak.

- Też tak myślałem. Nadinspektor nie pomylił się. Jak mi napisał, jest to jedyne sensowne wytłumaczenie całej historii. - Westchnął ciężko i pokręcił głową. - Zdaje mi się, że chce nadać dalszy bieg sprawie. Czy jesteś na to przygotowany?

- Oczywiście - da Costa był spokojny.

- To miejmy to jak najszybciej za sobą. - Kanonik znowu użył przycisku. - Poprosić nadinspektora Millera i inspektora Fitzgeralda.

- Zwrócił się ponownie do da Costy: - Musisz przyznać, że jest w tym wszystkim pewna doza czarnego humoru.

- Humor, Wasza Wielbność?

- Ależ oczywiście. Wysłano cię do parafii Najświętszego Imienia Pańskiego za karę, prawda? Żeby nauczyć cię pokory - a ty znów jesteś ośrodkiem skandalu. - Uśmiechnął się gorzko. - Już widzę minę biskupa.

Ponownie wprowadzono Millera i Fitzgeralda. Miller skinął głową w stronę da Costy.

- Dzień dobry księdzu.

Kanonik O'Halloran podniósł się, czując, że sytuacja tego wymaga.

- Omówiłem ten problem z księdzem da Costa, panie nadinspektorze. Prawdę mówiąc, obawiam się, że niewiele mogę tu zrobić.

- Rozumiem. - Miller zwrócił się do da Costy: - Zapytam księdza jeszcze raz, i to po raz ostatni - czy jest ksiądz gotów nam pomóc?

- Bardzo mi przykro, panie nadinspektorze - odpowiedział duchowny.

- Mnie również, proszę księdza. - Miller przybrał teraz chłodny, oficjalny ton. -

Przedyskutowałem tę sprawę z komisarzem okręgowym i postanowiłem wysłać dziś raport o niej i o udziale w niej księdza do prokuratora, aby uczynił to, co uzna za stosowne.

- I co pan spodziewa się uzyskać? - wtrącił się kanonik.

- Jest chyba duże prawdopodobieństwo, że zostanie wydany nakaz aresztowania księdza da Costy pod zarzutem współdziałania z mordercą i ukrywania go.

O'Halloran zasepił się, ale powoli pokręcił głową.

- Na próżno traci pan czas, nadinspektorze. Nikt nigdy nie wyda takiego nakazu.

- Zobaczmy. - Miller wyszedł, a za nim pośpieszył Fitzgerald. Kanonik z westchnieniem usiadł ciężko za biurkiem.

- Więc to tak wygląda. Teraz będziemy czekać.

- Przykro mi, Wasza Wielbność.

- Wiem, Michale, wiem... Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Czy zechce Wasza Wielbność mnie wyspowiadać?

- Oczywiście.

Ksiądz da Costa zbliżył się do biurka i klęknął.

Anna grała, gdy Fallon wszedł do kościoła. Ćwiczyła tylko, głównie hymny, w każdym razie nic skomplikowanego. Siadł w pierwszej ławce i słuchał. Po chwili przestała grać. Przeszedł na górę między stallami chóru.

- Hymny - odezwał się. - Prawdziwa plaga dla kościelnego organisty.

Zwróciła twarz ku niemu.

- Wcześniej pan przyszedł. Stryj spodziewał się pana o pierwszej.

- Nic innego nie mam do roboty. Wstała.

- Chciałby pan zagrać?

- Nie teraz.

- Dobrze - powiedziała. - To proszę zabrać mnie na spacer. Mam ochotę odetchnąć świeżym powietrzem.

W zakrystii pomógł założyć jej płaszcz. Na dworze padał gęsty deszcz, ale nie wydawała się tym zrażona.

- Dokąd pójdziemy?

- Tu będzie znakomicie. Lubię cmentarze. Są takie spokojne, kojące.

Oparła się na jego ramieniu i poszli ścieżką między wiktoriańskimi pomnikami i nagrobkami. Przenikliwy wiatr wygarniał spomiędzy kamieni liście, które toczyły się po ścieżce jak żywe stworzenia. Przystanęli przed starym mauzoleum, bo Fallon chciał zapalić papierosa i w tej chwili przy bocznym wejściu zjawił się Billy i Varley. Dostrzegłszy Fallona i dziewczynę, cofnęli się.

- On tu jeszcze jest, dzięki Bogu - wymruczał Varley.

- Wracaj na Paul's Square i zaczekaj tam na Jacka - nakazał Billy. - Powiedz mu, gdzie jestem. Będę ich obserwował.

Varley odszedł, a Billy wśliznął się przez bramę i przemknął między pomnikami w stronę Fallona i Anny.

- Chciałabym panu podziękować za wczorajszy wieczór.

- Nie ma za co.

- Jeden z tych ludzi był pańskim starym przyjacielem. Nazywał się O'Hara, prawda?

Nie, myli się pani.

- Chyba się nie mylę. - Anna nie dawała się zbić z tropu. - Kiedy pan odszedł, stryj rozmawiał z nim w gospodzie po drugiej stronie ulicy. Dużo mu o panu opowiadał, o Belfaście, Londonderry i IRA.

- Łajdak - syknął Fallon. - Zawsze miał zbyt długi język. Jeśli nie nabierze rozumu, to lada dzień ktoś go wykończy.

- Na pewno nie miał złych intencji. Stryj odniósł wrażenie, że ogromnie pana ceni. - Zawahała się i dodała ostrożnie: - Podczas wojny trafiają się nam czasem rzeczy niezależne od naszej woli...

- Nigdy nie wracam do tego, co było, co myślałem czy robiłem. To nie ma żadnego znaczenia. - Zboczyli w inną ścieżkę. Fallon podniósł wzrok na zachmurzone niebo. - Litości, czy już nigdy nie przestanie lać? Co za świat! Nawet niebo nad głową płacze i płacze.

- Ma pan gorzki stosunek do życia, Mr Fallon.
- Mówię o własnych doświadczeniach, a w ogóle, jeśli o mnie chodzi, trudno to nazwać życiem.
- Niech mi pan powie, na czym zależy panu na tym bożym świecie?
- Tylko na pani.

Byli już w pobliżu plebanii i stojący za mauzoleum Billy Meehan dokładnie widział ich przez lornetkę.

Anna zatrzymała się, zwrócona do Fallona.

- Co pan powiedział?
- To nie jest miejsce dla pani. - Gestem wskazał cały cmentarz.
- Ono należy do zmarłych, a pani żyje.
- A pan?

Po długim milczeniu powiedział łagodnie:

- Ze mną jest inaczej. Ja jestem chodzącym trupem, i to od dawna. Były to najstraszniejsze słowa, jakie usłyszała w życiu i miała je zapamiętać na zawsze. Utkwiła w nim spokojne niewidzące oczy, przyciągnęła ku sobie jego głowę i mocno pocałowała, rozchyłając wargi w umyślnie prowokujący sposób.

- Poczujesz to? - Była zaczepna. - Przebiłam skorupę?
- Myślę, że można to tak nazwać. Nie umiał ukryć zaskoczenia.
- To dobrze. Wrócę teraz do domu. Muszę się przebrać i przygotować lunch. Może byś do powrotu stryja pograł na organach.
- To jest pomysł - zgodził się i zawrócił do kościoła. Już od ganku Anna zawołała.
- Myśl o mnie, pamiętaj: istnieję, żyję. Jestem z krwi i kości. Zamknęła drzwi, a on ruszył w swoją stronę. Gdy już nie było go widać, Billy wyszedł z ukrycia. Fallon i bratanica księdza - pomyślał - to rzeczywiście ciekawe.

Miał już ruszyć dalej, ale jego uwagę zwrócił jakiś ruch za oknem plebanii. Cofnął się do kryjówki i podniósł lornetkę do oczu. W oknie stała Anna i rozpiniała bluzkę. Billy'emu zaschło w ustach, zrobiło mu się gorąco, a gdy dziewczyna zdjęła spódnicę, zaciśnięte na lornetce palce zdrząły.

Suka, myślał, dziwka Fallona. Fallona! Ucisk w podbrzuszu stawał się nie do zniesienia. Uciekł.

Fallon grał przeszło godzinę. Chciał przez chwilę odpocząć. Ścierpły mu dłonie, ale mimo zmęczenia muzyka sprawiła mu przyjemność. Rozejrzał się i zobaczył księdza da Costę. Wstał i zszedł na dół, w stronę siedzącego kapłana.

- Długo tu ksiądz jest?
- Może pół godziny, może nieco dłużej. Gra pan po mistrzowsku i wie pan o tym, prawda?
- Kiedyś grałem.
- Zanim wziął pan karabin do ręki, by walczyć w chlubnej sprawie matki Irlandii?

Fallon znieruchomiał.

- Nie powinno to księdza obchodzić - wyszeptał.
- Chyba jednak powinno. Zwłaszcza mnie, z oczywistych, jak sądzę, powodów. Na miłość boską, człowieku - jak mogłeś popełnić to, coś popełnił, skoro masz w sobie tyle muzyki?
- Sir Filip Sydney uchodził za wzór rycerza na dworze Elżbiety Tudor. Komponował muzykę i układał angielskie wiersze, a kiedy pragnął rozrywki, razem z Sir Walterem Raleighiem zagarniał Irlandczyków w dogodne miejsce i wyrzynał ich jak bydło.
- OK, punkt dla pana. Czy właśnie tak pan siebie widzi? Jako żołnierza?
- Mój ojciec był żołnierzem - Fallon przysiadł na balustradzie przed ołtarzem. - Sierżantem w pułku spadochroniarzy. Walczył za Anglików i poległ pod Arnheim. Proszę, oto ironia losu.
- A co się stało z panem?

- Wychował mnie dziadek. Miał farmę w górach, w Sperrins. Hodował owce, trochę koni...

Dobrze mi tam było. Biegałem sobie dziko i boso, aż skończyłem siedem lat i nowy nauczyciel zarazem organista kościelny odkrył, że mam słuch absolutny. Potem już nigdy nie byłem szczęśliwy.

- I studiował pan w Trinity College?
- A o tym kto księdzu powiedział?
- Pański przyjaciel, O'Hara. Ma pan stopień naukowy? Oczy Fallona zrobiły się prawie wesołe.
- A uwierzy mi ksiądz, jeśli powiem, że wiejski chłopak został ni mniej, ni więcej tylko doktorem muzykologii?
- Czemu nie? Matka Beethovena była kucharką, ale to nieistotne. Ta druga sprawa... Jak to się zaczęło?
- Przez przypadek... W sierpniu 1969 roku spędzałem weekend u kuzyna w Belfaście. Mieszkał na Falls Road. Może ksiądz pamięta, co się wtedy zdarzyło?
- Da Costa z powagą skinął głową.
- Chyba pamiętam.
- Prowadzony przez bojówkarzy tłum protestantów wyległ na ulice z mocnym postanowieniem spalenia do szczytu wszystkich katolickich domów na tym terenie. Zatrzymała ich garstka ludzi z IRA.
- I pan w tym uczestniczył?
- Ktoś dał mi karabin, a ja odkryłem dziwną rzecz - w cokolwiek mierzyłem, zawsze trafiałem.
- Jest pan urodzonym strzelcem.
- Właśnie. - Twarz Fallona pociemniała. Nagle wyjął ceskę z kieszeni. - Kiedy trzymam coś takiego, kiedy mam palec na spuście, czuję coś dziwnego - jakby to było przedłużenie, dalszy ciąg mnie samego. Czy to ma jakiś sens?
- O, tak. Ale sens przerażający. I potem zabijał pan nadal.
- Nadal walczyłem - odparł Fallon chowając ceskę z powrotem do kieszeni. - Jako żołnierz Irlandzkiej Armii Republikańskiej.
- I było to dla pana coraz łatwiejsze? Za każdym razem przychodziło panu łatwiej?
- Fallon powoli wyprostował się. Oczy miał bardzo ciemne i milczał. Ksiądz mówił dalej:
- Właśnie wracam z ostatniej potyczki z nadinspektorem Millerem. Interesują pana jego plany?
- Proszę, niech ksiądz powie.
- Przedstawi sprawę prokuraturze i poprosi o postawienie mnie w stan oskarżenia za współdziałanie z mordercą po dokonaniu zbrodni.
- Nie uda mu się.
- .
- A jeśli się uda? Zmartwi się pan choć trochę?
- Chyba nie.
- Brawo, przynajmniej jest pan uczciwy. To znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone. To twoja sprawa, Fallon... Jedność Irlandii czy wolność, czy nienawiść do przeklętych Anglików, czy o co tam głównie chodzi. Powiedz, warto było? Strzelać i zabijać? Zostawiać za sobą trupy i kaleki?
- Twarz Fallona była bardzo blada, prawie biała. Oczy pozostawały ciemne i pozbawione wyrazu.
- Rozkoszowałem się każdą chwilą - powiedział spokojnie.
- A dzieci - to też się opłaciło?
- To był przypadek jego głos brzmiał głucho.
- Zawsze zdarzają się przypadki, lecz ostatecznie można się tu powołać na jakieś racje, choćby błędne. Ale strzał do Kraski to było zwykłe, popełnione z zimną krwią morderstwo.
- Zgoda, proszę księdza. Domaga się ksiądz kilku odpowiedzi, spróbuję ich więc udzielić. - Postawił nogę na balustradzie, oparł łokieć na kolanie a podbródek na dłoni. - Jest taki poemat Ezry Pounda, który kiedyś lubiłem, "Jedyni, by złapać za oręż"..., a potem"... szli z okiem wlepionym w piekło wierzący w starcze kłamstwa"... Właśnie na tym w końcu polega moja sprawa. Starcze kłamstwa. W imię tego sam zabiłem przeszło trzydziestu ludzi i byłem obecny przy śmierci Bóg wie ilu innych.

- Błądził pan. W ostatecznym rachunku gwałt w takich wypadkach nie opłaca się. Mogłem zapewnić o tym pana, zanim pan zaczął. Ale Krasko... Tego nie mogę zrozumieć.
- Proszę posłuchać. Żyjemy w różnych światach. Ludzie tacy jak Meehan to wyrzutki społeczeństwa. Tak samo jak ja. Uczestniczę w walce, z którą ani ksiądz, ani żaden uczciwy obywatel nie ma nic wspólnego. My żyjemy we własnym, odrębnym świecie. Krasko był alfonsiem, stręczycielem, handlarzem narkotyków.
- I ty go zamordowałeś - da Costa był nieubłagany.
- Walczyłem za sprawę. Zabijałem dla niej, nawet kiedy przestałem wierzyć, że warta jest jednego ludzkiego życia. To były morderstwa. Ale teraz? Teraz tylko zarzynam świnie. W każdym jego słowie brzmiała odraza do siebie.
- Świat nie może być niewinny, skoro żyje w nim człowiek - da Costa mówił to z wielkim przekonaniem.
- Można wiedzieć, co ma znaczyć ta perła mądrości?
- Może lepiej wyjaśnię to, opowiadając pewną historię. Spędziłem parę lat w chińskim obozie jenieckim. Przewieziono mnie tam z Korei. Było to coś w rodzaju centrum specjalnej indoktrynacji.
- Pranie mózgu?
- Właśnie. Z ich punktu widzenia byłem obiektem szczególnym - wiadomo, jakie jest nastawienie kościoła katolickiego do komunizmu i vice versa. Używali nader prostej techniki, która zresztą w zadziwiająco wielu przypadkach skutkowałą. Było to unowocześnienie metody Pawłowa - wmówienie winy, a właściwie zwiększenie tkwiącego w każdym z nas poczucia winy. Wie pan, o co najpierw zapytał mnie oficer śledczy, gdy już wiedział, że jestem księdzem? Otóż - czy miałem w misji służącego. Gdy potwierdziłem, udał zdziwienie, wziął Biblię i przeczytał mi fragment, w którym nasz Pan mówi o służeniu innym. Po czym zapytał, jak mogłem zgodzić się, by służono mnie. Taki drobiazg spowodował wzrost poczucia winy.
- Dał się ksiądz na to nabrać?
- Człowiek da się nabrać, jak pan to zgrabnie ujął, na prawie wszystko, jeśli jest na wpół zagłodzony i trzymany w całkowitym odosobnieniu. Używając terminologii marksistowskiej, każdy człowiek ma swoje tezy i antytezy. W przypadku księdza tezami są wiara i kapłańskie obowiązki. Poza tym proszę się nie łudzić, w takich obozach pracują światowej klasy fachowcy.
- A antytezy?
- To mroczna część duszy - strach, nienawiść, agresja, pociąg cielesny. Starają się odkryć właściwy każdemu mroczny punkt i na tym tle rozbudować poczucie winy, aż do zupełnego załamania. Dopiero wtedy przystępują do "reedukacji".
- A czego próbowali na księdzu?
- Seksu. To jest najczęstsze wobec księży katolickich, bo celibat jest czymś dla nich niepojętym.
- Jak to wyglądało?
- Na wpół zagłodzonego zamknięto na trzy miesiące w ciasnej i mokrej celi, a potem położono do łóżka między dwie panienki, najprawdopodobniej całkowicie oddane sprawie, podobnie jak pan, choć w inny sposób. Właściwie było to dość dziecinne - przypuszczam, że powinno mnie przytłoczyć poczucie winy, ponieważ jak każdy normalny człowiek miałem wzwód. Dla mnie była to jednak najnormalniejsza funkcja fizjologiczna i wydaje mi się, że dla Boga podobnie.
- Duszyczka nieskalana grzechem, tak?
- Nie, ale nie przez seks. Jestem bardzo gwałtownym człowiekiem, panie Fallon. Był czas w moim życiu, gdy lubiłem zabijać. Gdyby tym się zajęli, mogliby do czegoś dojść. Żeby przed tym uciec, wstąpiłem do seminarium. To była i jest moja największa słabość, ale ja chociaż przyznaję się do jej istnienia. A pan?
- Każdy przyznaje się do pewnych spraw, ja robię to tylko w przypadku tych, które uznaję za ważne...

- Proszę sobie nie przerywać.

- Czego ksiądz oczekuje ode mnie? Ewangelii według Fallona? Zgoda, jeśli o to księdzu chodzi

- wszedł na schodki prowadzące na ambonę i stanął przy pulpicie. - Nie wiedziałem, że taki ładny stąd widok. Co mam mówić?

- Co pan chce.

- Zatem dobrze. Życie pozbawione jest celu. Człowiek jest z natury rzeczy samotny. Nie ma trwałych wartości.

- Myli się pan. Zapomniał pan o Bogu.

- Bóg? - zdziwił się Fallon. - Jaki Bóg pozwoliłby na świat, w którym wesoło śpiewające dzieciaki przemieniają się w pewnej chwili w krwawe ochłapy? - głos mu się załamał. - Czy chce mi ksiądz powiedzieć, zachowując przy tym uczciwość, że po tym wszystkim w obozie, nadal nieugięście wierzy w Boga? Że nie zwątpił ani na moment?

- Przeciwności rodzą w człowieku siłę - rzekł ksiądz da Costa. - Kuliłem się kiedyś przez sześć miesięcy w mroku, unurzany we własnych odchodach, przykuty łańcuchem do ściany. Przyszedł nawet taki dzień, taka chwila, że byłem zdolny do wszystkiego, i wtedy zobaczyłem jednak, jak odsuwają płytę, poczułem smród gnoju, lecz wyszedłem stamtąd na własnych nogach i wtedy wiedziałem, Fallon, wiedziałem!

- Cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli ten wasz Bóg istnieje, to diabelnie chciałbym, żeby ksiądz na niego wpłynął. Niech się do cholery zdecyduje! Jest dobry w sprawach typu gdzie i kiedy, lecz ma cholerne kłopoty z uzasadnieniem, dlaczego dzieje się tak czy inaczej.

- Niczego się pan zatem nie nauczył?

- Ależ nauczyłem się. Nauczyłem się zabijać z uśmiechem na twarzy. To nie byle co. Lecz najistotniejszej lekcji udzielono mi zbyt późno.

- Jaka to lekcja?

- Nie ma takiej sprawy, za którą warto by było umrzeć. Zapadła nagle cisza, przerywana tylko dzwonieniem deszczu o szyby. Fallon zszedł z ambony, zapiął pasek płaszcza. Zatrzymał się jeszcze koło księdza.

- Prawdziwy jednak kłopot polega na tym, że nie ma też sprawy, dla której warto by było żyć. Szedł między ławkami do wyjścia, jego kroki budziły echo pod sklepieniem. Trzasnęły drzwi, zamigotały płomienie świec. Ksiądz ukląkł przy balustradzie ołtarza, złożył ręce i modlił się tak żarliwie, jak rzadko kiedy w życiu.

Po chwili ktoś wszedł i znajomy głos zapytał:

- Stryju Michale? Jesteś tu?

W drzwiach zakrystii stała Anna.

- Tutaj, kochanie! - zawołał.

Ruszyła w kierunku, z którego dochodził jego głos, a on wyszedł jej na spotkanie i ujął jej wyciągnięte ręce. Zaprowadził ją do ławki, gdzie usiedli oboje. Szybko wyczuła jego nastrój.

- Co się stało? Gdzie jest mister Fallon?

- Poszedł już. Porozmawialiśmy sobie. Teraz chyba rozumiem go znacznie lepiej.

- On w środku jest jak martwy. Zamarzł.

- I udręczony nienawiścią do samego siebie. Nienawidzi siebie, a zatem nienawidzi życia. Nie przetrwało w nim żadne uczucie - w normalnym znaczeniu tego słowa. Tak naprawdę, to jestem przekonany, że on szuka śmierci. To jedyny powód, który mogę sobie wyobrazić jako przyczynę takiego trybu życia.

- Nie rozumiem.

- Całe życie położył na jednej szali. Poświęcił się sprawie, w którą wierzył jak w świętość, i oddał jej wszystko, co posiadał. Trudno narazić się na większe niebezpieczeństwo, gdyż zawsze coś może zawieść, a gdy to się stanie, to szybko okazuje się, że ta święta sprawa jest funta kłaków nie warta. I zostaje się z niczym.

- To zwykła dziwka - uśmiechnął się zjadliwie Billy. - Rozbierała się przy oknie. Każdy ją sobie mógł obejrzeć.

- Mało prawdopodobne - powiedział Fallon. - Cmentarz jest otoczony dwudziestostopowym murem. Chyba mówiłem ci już, żebyś się trzymał z daleka od kościoła?
- Co cię ugryzło? - szydził Billy. - Boisz się, że cię stamtąd wysiudam? Chcesz ją mieć tylko dla siebie?

Fallon powoli podnosił się z miną, która przestraszyłaby samego diabła.

- Jeszcze raz zbliż się do tej dziewczyny, spróbuj jej zrobić najmniejszą krzywdę, a zabiję cię. Jack Meehan grzbietem dłoni wymierzył bratu policzek.

- Wstrętny świntuch - powiedział. - Potrafisz myśleć tylko o dupach. Jakbym miał jeszcze za mało kłopotów. Wynoś się!

Już w drzwiach Billy, blady z wściekłości, spojrzął na Fallona.

- Poczekaj, sukinsynu. Już ja was urządzę, ciebie i tę twoją dziwkę.

- Kazałem ci się wynosić! - wrzasnął Meehan i Billy wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Meehan odwrócił się do Fallona.

- Nie martw się, już ja dopilnuję, żeby nie rozrabiał.

- A ty? - Fallon zapalił papierosa. - Kto cię będzie pilnował? Meehan roześmiał się z satysfakcją.

- Ciebie nic nigdy nie wyprowadzi z równowagi. Jak wczoraj Miller wszedł do kościoła i zastał cię rozmawiającego z księdzem, zdenerwowałem się naprawdę. A ty sobie usiadłeś przy organach... - pokręcił głową. - To naprawdę było wspaniałe.

Fallon lekko zmarszczył brwi.

- Byłeś tam?

- Tak, byłem. - Teraz Meehan wziął papierosa. - Jednego tylko nie rozumiem.

- Czego?

- Mogłeś wczoraj wpakować kulkę w moją głowę, a nie w lustro. Czemu tego nie zrobiłeś? Miałoby to sens, skoro tak ci zależy na księdzu da Costa, któremu - według ciebie - w jakiś sposób zagrażam.

- A co by się stało z moim paszportem i miejscem na statku w Hull?

Meehan znowu uśmiechnął się.

- Niegłupi z ciebie facet. Wiesz, jesteście do siebie bardzo podobni.

- Jak diabli - z głębokim przekonaniem odparł Fallon. Twarz Meehana pociemniała.

- Znowu zadzieraszasz nosa? Życie za Irlandię; szlachetny powstaniec z bronią w rękę? - Był wściekły. - Nie próbuj mnie nabierać na te bzdury, Fallon. Sprawiało ci przyjemność ganieć po mieście z pistoletem w kieszeni, jak w starym westernie. Sprawiało ci przyjemność zabijanie. Mam ci powiedzieć, skąd to wiem? Bo bez przyjemności nie robiłbyś tego aż tak dobrze.

Fallon wpatrywał się w niego i bladł coraz bardziej. Nagle, niemal nadprzyrodzonym sposobem w jego dłoni znalazła się ceska.

- Pamiętaj, Fallon, że jestem ci potrzebny. - Zaśmiał się szorstko. - Beze mnie nie będziesz miał paszportu i nie odpłyniesz z Hull w niedzielę wieczorem. Lepiej więc bądź grzeczny i odłóż to.

Otworzył drzwi. Fallon ciągle trzymał go na muszce. Meehan odwrócił się do niego.

- No dobrze, strzelaj!

Fallon nieruchomo trzymał broń. Meehan stał z rękami w kieszeniach płaszcza i czekał. Wreszcie powoli odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Fallon jeszcze przez chwilę trzymał przed sobą ceskę. Wreszcie wolno opuścił ją i nie zdejmując palca ze spustu oparł rękę na stole.

Siedział jeszcze w tym samym miejscu, gdy weszła Jenny.

- Już sobie poszli - powiedziała.

Fallon milczał. Z odrazą popatrzył na pistolet.

- Do czego ci to było potrzebne? Co się stało?

- Właściwie nic - powiedział. - Pokazał mi lustro, ale nie zobaczyłem w nim nic nowego. - Odgarnął włosy z czoła i wstał. - Chyba pójdę się trochę przespać.

Podszedł do drzwi. Jenny nieśmiało zapytała:

- Czy chcesz, żebym z tobą poszła?

Zdawało się, że jej nie słyszy; wyszedł cicho, uwikłany w swój własny, ponury świat. Usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy Fitzgerald wszedł do biura Millera, nadinspektor stał przy oknie i czytał kopię jakiegoś listu. Podał ją Fitzgeraldowi.

- Wysłaliśmy to do prokuratury.

- To chyba trafnie rozlicza sprawę - mruknął Fitzgerald i oddał przeczytany list. - Kiedy można spodziewać się decyzji?

- Właśnie w tym sęk, że zajmie im to nieco czasu. Nieoficjalnie telefonowałem już do człowieka, który będzie zajmował się tą sprawą.

- I jakie jest jego zdanie?

- Prawdę mówiąc, nie robił mi specjalnych nadziei. - Miller był wyraźnie zawiedziony. -

Wiesz, jacy bywają ludzie, gdy ktoś ma jakikolwiek związek z religią.

- Rozumiem.

Dopiero teraz Miller spostrzegł, że inspektor trzyma kartkę papieru.

- Co tam masz?

Fitzgerald zdobył się na odwagę.

- Niestety, niedobra wiadomość. Z Centralnej Kartoteki dzwoniło w sprawie ceski.

Miller usiadł znużony.

- No dobrze, jestem gotów na najgorsze.

- Według danych komputera, po raz ostatni w tym kraju zabito kogoś z ceski w czerwcu 1952 roku. Były żołnierz zastrzelił swoją żonę i jej kochankę. W trzy miesiące później został powieszony.

- Znakomicie - cierpko oświadczył Miller. - Tego właśnie potrzebowałem do szczęścia.

- Oczywiście, sprawdzają dla nas handlarzy bronią w Londynie i okolicy - dodał Fitzgerald. - Zajmie to sporo czasu, ale ta linia śledztwa może coś dać.

- Wiem - odparł gorzko Miller. - Gruszka na wierzbie też może czasem wyrosnąć. - Założył nieprzemakalny płaszcz. - Czy wiesz, co w całej tej sprawie jest niezwykle?

- Co?

- Powiem ci. Nie ma tutaj żadnej zagadki do rozwiązania. Wiemy, kto stoi za tym zabójstwem

- Jack Meehan. I gdyby ten cholerny ksiądz zechciał tylko otworzyć usta, miałbym już głowę Meehana na talerzu.

Miller ze złością odwrócił się i zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że na szybie zrobiła się rysa.

l Fallon zdjął tylko buty i marynarkę i położył się na zaścielonym łóżku. Gdy się obudził, pokój był pogrążony w ciemności. Był okryty kołdrą, co znaczyło, że wchodziła tu Jenny. Zegarek wskazywał kilka minut po ósmej; pośpiesznie włożył buty, chwycił marynarkę i zszedł na dół.

W kuchni Jenny zajęta była prasowaniem.

- Jakież trzy godziny temu zajrzałam do pokoju, ale spałeś.

- Trzeba było mnie obudzić. - Zdjął trenz z wieszaka za drzwiami.

- Jack Meehan uprzedził, że masz nie wychodzić.

- Wiem. - Przełożył ceskę do kieszeni płaszcza i zapiął pasek.

- To ta dziewczyna, prawda? O nią się niepokoisz. - Zmarszczyła brwi i odstawiła żelazko. - Słuchałam pod drzwiami. Słyszałam prawie wszystko. Jaka ona jest?

- Jest niewidoma, a to znaczy, że łatwo ją skrzywdzić.

- Myślisz o Billy'm? Sądzisz, że może dobrać się do niej, żeby się zemścić za wczoraj?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie dziwię się. - Zaczęła prasować białą bluzkę. - Powiem ci parę słów o nim, żebyś wiedział z kim masz do czynienia. Normalnie dwunastoletniemu chłopakowi musi wystarczyć własna ręka do zabawy. Ale nasz Billy to co innego - on już wtedy robił to z dorosłymi kobietami.

Głównie z dziewczynkami ze stajni Jacka. Billy był jego bratem, więc nie chciały mu odmawiać. - Pokręciła głową. - Mając piętnaście lat był już zboczeńcem, małym, sprośnym sadystą. Później było coraz gorzej. - Znowu odstawiła żelazko. - Na twoim miejscu też bym się niepokoiła o tę dziewczynę.

- Dziękuję. Nie czekaj na mnie wieczorem.

Drzwi trzasnęły za nim. Jenny stała przez chwilę patrząc ze smutkiem przed siebie, po czym wróciła do prasowania.

Anna da Costa miała właśnie wejść do wanny, kiedy zadzwonił telefon. Włożyła szlafrok i zeszła do hallu w chwili, gdy stryj odkładał słuchawkę.

- Kto dzwonił?

- Ze szpitala. Ta starsza pani, Włoszka, do której byłem wzywany parę dni temu, miała nowy atak. Spodziewają się, że umrze dziś w nocy. Będę musiał tam iść.

Zdjęła płaszcz ze stojącego w hallu wieszaka i podała mu go. Otworzył frontowe drzwi i razem wyszli na ganek. Padał ulewny deszcz.

- Pójdę pieszo. Nie warto brać samochodu. Czy mogę zostawić cię samą?

- Nie martw się o mnie. Jak dużo czasu ci to zajmie?

- Bóg jeden wie, pewnie dobrych parę godzin. Nie czekaj na mnie. Idź spać o zwykłej porze.

Wyszedł na deszcz i szybko ruszył ścieżką. Minał chlubę cmentarza, wspaniałe wiktoriańskie mauzoleum z brązowymi drzwiami i marmurowym przedsionkiem. Billy Meehan szybko uskoczył w cień przedsionka, ale gdy kapłan przeszedł, znów wysunął się do przodu.

Słyszał rozmowę przy drzwiach i czuł narastające podniecenie. Miał już tego wieczoru dwie prostytutki, ale przyjemność z tego była nikła i wcale go nie zaspokoiła. Chciał już wracać do domu i nagle przypomniał sobie Annę. Annę rozbierającą się przy oknie.

Czaił się w cieniu przedsionka mauzoleum chyba od dziesięciu minut, ale już było mu bardzo zimno, a wiatr nawiewał na niego strugi deszczu. Pomyślał o Fallonie, o upokorzeniu doznanym poprzedniej nocy i twarz wykrzywił mu wściekły grymas.

- Ten skurwiel - szepnął. - Mały, irlandzki skurwiel. Ja mu pokażę.

Wyjął z kieszeni napełnioną do połowy butelkę whisky i pociągnął z niej długi łyk.

Ksiądz da Costa szybko wszedł do kościoła. Wyjął hostię z cyborium i włożył ją do srebrnej puszki, którą zawiesił na szyi. Wziął również oleje święte, aby namaścić nimi uszy, nos, usta, dłonie i stopy umierającej.

W kościele panował spokój i cisza, tylko deszcz bił o okna. W kilka minut po wyjściu księdza drzwi lekko skrzypnęły i wszedł Fallon.

Rozejrzał się dla pewności, że jest sam, po czym szybko podążył do bocznej nawy, wsiadł do windy i nacisnął guzik. Nie czekając, aż winda wjedzie na wieżę, zatrzymał ją nad pokrytą brezentem dziurą w dachu.

Dach nie był stromy, mógł więc po ołowianej blasze przejść do przylegającego do wieży niskiego murku.

Doskonale widział stąd plebanię. Dwie wysokie betonowe latarnie po lewej stronie ulicy górowały nad murami cmentarza i oświetlały frontową ścianę domu.

W oknie sypialni paliło się światło i wewnątrz było dobrze widoczne - szafa, obraz, brzeg łóżka... Nagle zjawiła się Anna, owinięta dużym białym ręcznikiem.

Było oczywiste, że właśnie wyszła z wanny. Nie pomyślała o zasłonięciu okien. Może czuła się bezpiecznie wiedząc, że od ulicy odgradza ją wysoki mur, a może miało to jakiś związek z jej ślepotą.

Zaczęła się wycierać. To dziwne, jak niewiele kobiet dobrze wygląda nago, ale ta dziewczyna była wyjątkiem. Czarne włosy sięgały jej prawie do stromych piersi, a wąska talia przechodziła płynnie w może odrobinę za szerokie biodra.

Nałożyła pończochy z gumką, czarny stanik, majtki i zieloną jedwabną sukienkę z plisowanym dołem. Wzięła się do szczotkowania włosów. Obserwując ją, przy tej może najbardziej kobiecej czynności, Fallona ogarnął dziwny smutek. Nie znajdował w sobie żadnego pożądania, niczego fizycznego. Miał tylko tragiczną pewność, że patrzy na coś, czego

nigdy na tym świecie nie będzie miał, i to z własnej winy. Anna związała włosy czarną wstążką i znikła z pola jego widzenia. Zaraz potem zgasło światło.

Przeszył go deszcz. Wiatr dmuchnął mu w twarz deszczem. Postawił kołnierz. Było bardzo cicho. Tylko od czasu do czasu z oddali docierał szum przejeżdżającego samochodu. Nagle zupełnie wyraźnie usłyszał czyjeś kroki na żwirowej ścieżce.

Spojrzał w dół i zobaczył wyłaniającą się z cienia postać. Rozpoznał ją po sięgających do ramion białych włosach. Billy Meehan. Fallon pochylił się, obserwując jak tamten zmierza do drzwi i naciska klamkę. Ustąpiła łatwo i Billy zniknął we wnętrzu domu.

Po dachu wrócił do windy. Serce tłukło się jak oszalałe.

Widok Anny w oknie podniecił Billy'ego do tego stopnia, że stracił panowanie nad sobą. Ból w podbrzuszu był nie do zniesienia, a wypity alkohol stłumił w nim resztki samokontroli. Wszedł na ganek i spróbował otworzyć drzwi, a gdy nie stawiały oporu, wśliznął się do środka i zasunął rygiel.

Z pokoju na końcu korytarza słyszał cichy śpiew. Zbliżył się ostrożnie i zajrzał przez półotwarte drzwi.

Anna siedziała w rogu wiktoriańskiej sofie przy stoliku z przyborami do szycia. Przyszywała guzik do koszuli. Przyglądał się, jak sięga do pudła, szuka palcami nożyczek i przecina nitkę. Billy zdjął płaszcz, rzucił go na podłogę i ruszył w jej stronę. Usłyszała i szelest rzuconego płaszcza, i jego ciche kroki. Zwróciła twarz w jego stronę.

Kto to? Czy ktoś tu jest?

Zatrzymał się na moment. Anna wstała. Billy przysunął się na palcach i gdy stanęła bokiem do niego, jedną ręką przyciskając do piersi koszulę, a w drugiej trzymając igłę, zaszedł ją od tyłu.

- Kto to? - powtórzyła pytanie ze strachem. Włożył jej rękę pod suknię i zarechotał.

- Przyjemnie, co? Lubisz to? Dziewczyny zawsze lubią, jak im to robię.

Wydała okrzyk grozy. Gdy rozpaczliwie wyrwała się, wsunął ręką za dekolt, sięgając do piersi.

Z wykrzywioną z przerażenia twarzą krzyknęła:

- Nie, na miłość boską, proszę, nie! Kto to?

- Fallon. To ja, Fallon.

- Kłamiesz! - wrzasnęła. - Kłamiesz! - Machnęła ręką i trafiła go w twarz.

Billy wierzchem ręki wymierzył jej policzek.

- Już ja cię nauczę, ty dziwko! Jeszcze się będziesz czołgać. Rzucił ją na sofę, zdarł jej majtki, brutalnie rozwierał uda, miażdżył jej usta swoimi. Pośród nieopisanej grozy i dławiącego wstępu czuła, że majstruje przy suwaku od spodni i napiera na nią.

Krzyknęła, znów uderzył ją w twarz i przycisnął jej głowę do brzegu sofy. Jej prawa dłoń, którą wyciągnęła do stołu w poszukiwaniu oparcia, zacisnęła się na nożyczkach.

Zamroczone, prawie nieprzytomna nie zdawała sobie sprawy z tego, że z impetem wbija mu je pod żebra. Trafiła prosto w serce.

Fallon zastał zaryglowane frontowe drzwi. Do środka można się było dostać tylko wybiwszy okno w kuchni. Gdy wbiegł do salonu, zobaczył Billy'ego Meehana leżącego na nieprzytomnej dziewczynie i rzucił się na niego. Odciągając go, zobaczył wystającą spod żeber rękę nożyczek.

Wziął dziewczynę na ręce i zaniósł na górę. Pierwszy pokój, do którego zajrzał, najwyraźniej należał do jej stryja, ale następny był jej. Położył ją na łóżku i okrył kołdrą.

Siedział, trzymając Annę za rękę. Po chwili jej powieki drgnęły. Wzdrygnęła się gwałtownie i spróbowała uwolnić dłoń.

- Proszę się uspokoić, to ja, Martin Fallon - powiedział łagodnie. - Jesteś już bezpieczna. Nie ma się czego bać.

Westchnęła głęboko.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Co się stało?

- Nic nie pamiętasz?

- Tylko tego okropnego człowieka. Skłamał, że nazywa się Fallon, a potem próbował... próbował... - Wstrząsnęła się. - O Boże, dotykał mnie... to było straszne, straszne. Chyba zemdlalam.

- To prawda - potwierdził spokojnie. - Wtedy ja się zjawiłem, a on uciekł.

Odwróciła do niego twarz.

- Wiesz, kto to był?

- Niestety, nie.

- Czy to... - zawahała się. - Czy myślisz, że za tym stał Meehan?

- Tak mi się wydaje.

Zamknęła oczy, a gdy ponownie ujął jej rękę, wyrwała ją raptownie, jakby w tej chwili nie mogła znieść dotknięcia mężczyzny, żadnego mężczyzny.

Zmusił się, żeby zadać narzucające się w tej chwili pytanie:

- Udało mu się?

- Nie, chyba nie.

- Chcesz, żebym wezwał lekarza?

- Na miłość boską, tylko nie to! Truchleję na samą myśl, że ktokolwiek może się o tym dowiedzieć.

- A stryj?

- Jest w szpitalu przy umierającej. Wróci dopiero za kilka godzin.

- No dobrze. - Wstał. - Proszę tu zostać i odpoczywać. Przyniosę koniak.

Znowu zamknęła oczy. Miała blade, prawie przezroczyste powieki. Była taka bezbronna...

Schodząc, czuł przypływ zimnej furii.

Przykleknął obok Billy'ego, owinał chusteczką uchwyt nożyczek i wyciągnął je z ciała. Było bardzo mało krwi, najwyraźniej nastąpił krwotok wewnętrzny. Oczyszczył nożyczki, podniósł płaszcz zabitego. Z kieszeni wypadły kluczyki od samochodu. Podniósł je machinalnie i okrył płaszczem ciało.

Patrząc na zwłoki nie czuł nic prócz obrzydzenia. Świat będzie lepszy bez Billy'ego Meehana. Zasłużył sobie na taki koniec. Ale czy Anna da Costa będzie mogła żyć ze świadomością, że go zabiła? Zresztą, nawet gdyby wyrok sądu był taki, jak być powinien, nawet jeśli zostanie uniewinniona, wszyscy się dowiedzą. Na myśl o wstydzie i upokorzeniu, jakie miałyby spotkać tę delikatną dziewczynę, ponownie ogarnęła go furia. Kopnął trupa.

W tej samej chwili przyszła mu myśl tak niespodziewana, że prawie pozbawiła go tchu. A jeśli ona nie dowie się - ani teraz, ani nigdy? Jeśli Billy Meehan zniknie z tej ziemi bez śladu, jakby w ogóle nie istniał? Był sposób, żeby tego dokonać. W każdym razie musi spróbować - to jej się od niego należy.

Klucze, które wypadły z płaszcza wskazywały, że gdzieś w pobliżu stoi samochód Billy'ego.

Jeśli to czerwony scimitar, to powinien go łatwo znaleźć. Pośpiesznie ruszył do bocznej furtki cmentarza.

Scimitar był zaparkowany tylko parę metrów za furtką. Gdy otworzył tylne drzwi, Tommy zaszczekał i obwąchał mu rękę. Obecność psa komplikowała sprawę, ale na to nie było rady. Zamknął drzwi i szybko wrócił na plebanię. Zabrał wszystko z kieszeni zabitego. Wziął także łańcuszek ze złotym medalikiem, sygnet i zegarek. Owinał ciało płaszczem, przerzucił je przez ramię i wyszedł. Zatrzymał się przy furtce, sprawdził, czy nikogo nie ma w pobliżu. Ulica była wyludniona i cicha. Wrzucił ciało do samochodu. Charcik natychmiast zaczął wyć.

Jeszcze raz wrócił na plebanię. W kuchni starannie umył nożyczki gorącą wodą, wrócił do salonu i schował je do pudła z przyborami do szycia. Nalał do kieliszka trochę koniaku i zaniósł na górę.

Anna prawie już spała, ale usiadła, żeby wypić koniak.

- Co ze stryjem? Uważasz, że powinien wiedzieć, co zaszło?

- Tak, raczej tak. Powinien o tym wiedzieć.

- Dobrze. - Otulił ją koldrą. - Teraz proszę spać i o nic się nie martwić. Będę czekał na dole, dopóki stryj nie wróci.

- To potrwa kilka godzin - powiedziała sennie.
- Nie szkodzi. Podszedł do drzwi.
- Przykro mi, że sprawiam tyle kłopotu - szepnęła.
- To wszystko moja wina. Gdyby nie ja, nic by się nie stało.
- Nie ma sensu tak mówić. Wszystko na tym świecie ma swój cel, swoją rację bytu, nawet moja ślepotą. Nie zawsze umiemy to dostrzec, bo jesteśmy tylko małymi ludźmi, ale tak jest na pewno.

Nie wiedzieć czemu, jej słowa dziwnie go pocieszyły.

- Proszę spać - powiedział łagodnie i zamknął drzwi.

Teraz o wszystkim decydował czas. Nie zwlekając pobiegł do samochodu.

O dziwo, charcik wcale mu nie przeszkadzał. Przysiadł z tyłu wozu, obok ciała i tylko od czasu do czasu wył. Gdy Fallon pogłodził go po łbie, zauważył, że pies cały drży.

Zbliżał się do krematorium Pine Trees tą samą alejką, którą rano wybrał Varley. Na ostatnie kilkaset metrów wyłączył silnik, wykorzystując lekką pochyłość terenu. Nie było to zresztą takie ważne - pamiętał, że główna brama i dom kierownika znajdują się prawie pół kilometra od krematorium.

Ustawił wóz przy kaplicy. Okno w ubikacji otworzył, wsuwając rękę przez zbitą szybę, którą zauważył jeszcze rano. Wszedł do środka.

Drzwi od kaplicy miały zamek Yale, więc od wewnątrz można je było bez trudu otworzyć.

Zawrócił do wozu, wziął ze schowka pod tablicą rozdzielczą latarkę i wsunął ją do kieszeni.

Zarzucił sobie na ramię ciało chłopca. Pies chciał iść za nim, ale udało mu się wolną ręką wepchnąć go z powrotem do samochodu i zatrzaskać drzwiczki.

Do sali krematoryjnej dostał się tą samą drogą, którą rano odbyła trumna. Piece były zimne i ciemne. Otworzył drzwiczki najbliższego i wepchnął ciało. Następnie wyjął przedmioty należące do Billy'ego i obejrzał je raz jeszcze. Te, które nadawały się do spalania, położył na zwłokach. Sygnet, medalik i zegarek schował z powrotem do kieszeni... Zamknął drzwi pieca i włączył gaz. Usłyszał głuchy łoskot zapalającego się gazu. Zajrzał do pieca. Co mówił Meehan? Najwyżej godzina. Zapalił papierosa i tylnymi drzwiami wyszedł na dwór.

Na zewnątrz z trudem można było wyłować odgłosy pracującego pieca. Odsunawszy się jeszcze o parę metrów przestał je zupełnie słyszeć. Wrócił sprawdzić, co się dzieje wewnątrz.

Temperatura dochodziła do tysiąca stopni. Zobaczył, że zaczął się palić leżący na piersiach trupa portfel. Nagle szyba wziernika rozjarzyła się od rozbłysku, z jakim całe ciało stanęło w płomieniach.

Zapalił następnego papierosa i czekał. Po godzinie wyłączył piec. Wyraźnie było widać jeszcze kawałek czaszki, miednicę i resztki kończyn, ale i te pozostałości rozkruszyło pierwsze dotknięcie pogrzebacza.

Napełnił blaszane pudło, znalazł szczotkę i szufelkę i dokładnie wymiół cały popiół. Zamknął drzwiczki pieca tak, jak je zastał. Do rana piec na pewno ostygnie.

Znalazł pustą urnę, przykręcił ją u dołu zgniatarki i zamknął pokrywę. Otworzył szufladę biurka i wyjął nie wypełnioną Kartę Wiecznego Odpoczynku. Kiedy po dwóch minutach odkręcił urnę, z Billy'ego Meehana pozostało pięć funtów szarego popiołu.

Poszedł do miejsca, w które Meehan zaprowadził go rano. Tam, gdzie ogrodnik po południu przerwał pracę, znalazł taczki i rozmaite narzędzia.

Przeczytał numer na tabliczce i uważnie rozsypał popiół. Następnie wziął z taczek miotłę i starannie wtarł go w ziemię. Uznawszy, że już wystarczy, odłożył miotłę dokładnie na poprzednim miejscu i odszedł.

Dopiero w samochodzie natrafił na pierwszą przeszkodę - gdy wsiadł, chart prześliznął mu się między nogami i uciekł. Rzucił się w pogoń. Pies skręcił za kaplicę i biegł ścieżką, którą on sam przed chwilą szedł. Gdy dotarł do miejsca, gdzie rozsypał prochy, chart siedział już w mokrej trawie i cichutko skomlał. Podniósł go i podrapał za uchem. Przez całą drogę do samochodu przemawiał do niego pieszczotliwie. Tym razem nie puścił zwierzęcia, póki nie zamknął drzwi. Umieścił go na tylnym siedzeniu i szybko odjechał.

Dopiero wyjechawszy na główną drogę pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Głęboko wciągnął powietrze. Zapalając papierosa zauważył, że drżą mu ręce. Udało się, ale napięcie nie minęło. Przez chwilę wydawało mu się, że Billy Meehan nie przestanie nawet po śmierci szkodzić ludziom - ale przecież przestał istnieć; dosłownie został starty z powierzchni ziemi, a on nie odczuwał z tego powodu najmniejszej skruchy.

Na PauFs Square zwolnił i rozejrzał się. Szczęście dopisało mu do samego końca. Podwórce było puste. Wstawił wóz do garażu, zostawił wewnątrz kluczyki, charta i szybko odszedł. Kiedy wrócił na plebanię, księdza da Costy jeszcze nie było. Cicho wszedł na górę i zajrzał do sypialni Anny. Spała spokojnie, więc zamknął drzwi i wrócił na dół.

Obejrzał dokładnie dywan w salonie, ale nie było na nim śladów krwi. Otworzył barek i nalał sobie dużą whisky. Kiedy dolewał do szklanki wodę sodową, otworzyły się drzwi. Odwrócił się. Wchodził ksiądz da Costa. Zatrzymał się zdumiony.

- Co pan tu robi, Fallon? - Nagle pobladł i jęknął - Wielki Boże, Anna!

Wbiegł na schody. Fallon podążył za nim.

- Nic jej nie jest. Śpi. Ksiądz spojrział na niego.

- Co się stało?

- Był tu nieproszony gość. Zjawiłem się w porę, żeby go wypłoszyć.

- Ktoś od Meehana?

- Możliwe. - Wzruszył ramionami. - Nie zdążyłem mu się przyjrzeć.

Ksiądz krążył po hallu z palcami splecionymi tak mocno, aż zbiały mu stawy.

- Boże! Kiedy to wszystko się skończy?

- Wyjeżdżam w niedzielę wieczorem - odparł Fallon. - Załatwiono mi miejsce na statku odpływającym z Hull.

- I myśli pan, że to wystarczy? - Ksiądz potrząsnął głową.

- Głupio pan rozumuje, panie Fallon. Jack Meehan nie będzie czuł się bezpieczny, dopóki ja żyję. Zaufanie, prawda, honor, obietnica - to wszystko nie istnieje dla niego. Dlaczego miałby sądzić, że ma to dla innych jakieś znaczenie?

- Zgoda. To moja wina. Co ksiądz chce, żebym zrobił?

- Może pan zrobić tylko jedno - odrzekł duchowny. - Uwolnić mnie tylko na jeden sposób.

- I resztę życia spędzić w celi? Aż takim bohaterem nie jestem. Podszedł do drzwi frontowych.

- Na pewno nic jej się nie stało? - zapytał ksiądz.

- Musi się tylko dobrze wyspać. Jest dużo silniejsza, niż ksiądz przypuszcza, i to pod każdym względem.

Położył rękę na klamce.

- To był bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, że pan zjawił się w porę...

- No dobrze; obserwowałem ten dom. Da Costa ze smutkiem pokręcił głową.

- Widzisz, przyjacielu, wbrew sobie robisz dobre uczynki. Jesteś człowiekiem straconym.

- Niech to szlag trafi! - warknął Fallon. Skoczył w deszcz i pośpiesznie się oddalił.

Rozdział XIII

KOŚCIÓŁ WOJUJĄCY

Gdy Anna weszła do gabinetu, ksiądz da Costa pakował szaty liturgiczne do małej walizki. Był szary ranek, za oknem nieprzerwanie padał deszcz. Anna była nieco bledsza niż zwykle, ale poza tym wydawała się całkiem spokojna. Miała na sobie szarą spódnicę i sweter. Włosy związała czarną wstążką.

Ujął obie jej dłonie i poprowadził do kominka.

- Jak się czujesz?

- Znakomicie, naprawdę. Wychodzisz?

- Niestety, muszę. Wczoraj umarła jedna z zakonnice w klasztorze Matki Boskiej Miłosiernej. Siostra Maria Gabriela. Poprosiły mnie o odprawienie nabożeństwa. - Zawahał się. -

Wolałbym nie zostawiać cię samej.

- Dam sobie radę. O wpół do jedenastej siostra Klara przyprowadzi dzieci ze szkoły powszechnej na próbę chóru. Potem mam do dwunastej prywatną lekcję.

- To dobrze. Zanim skończysz, będę z powrotem.

Wziął walizkę, podał ramię Annie i oboje przeszli przez hali.

- Weź płaszcz. Potrząsał głową.

- Wystarczy parasol. - Otworzył drzwi i znów się zawahał. - Pomyślałem sobie, Anno, że chyba powinnaś na jakiś czas wyjechać. Póki ta sprawa nie zostanie tak czy inaczej załatwiona.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. Odstawił walizkę na podłogę i przytulił ją.

- Nigdy jeszcze nie czułem się tak bezradny. Tak zbity z tropu. Może po tym, co się stało wczoraj wieczorem, powinienem porozmawiać z Millerem.

- Nie możesz tego zrobić - przerwała mu szybko, za szybko.

- Musiałbyś wmieszać w to Fallona. Popatrzył na nią badawczo.

- Lubisz go, prawda?

- Nie wybrałabym tego określenia - odpowiedziała spokojnie. Współczuję mu - jest naznaczony przez życie. Gorzej - mówiła nadspodziewanie żarliwie - człowiek, który nie ma duszy, nie potrafi tak cudownie grać. Bóg nie może być aż tak niehumaniczny.

- Największym darem boskim dla człowieka jest wolna wola. Każdemu, moja droga, dane jest prawo wyboru między dobrem a złem.

- Dobrze - powtórzyła z uporem. - Ja wiem jedno na pewno: wczoraj, kiedy potrzebowałam pomocy tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu, ocalił mnie właśnie Fallon.

- Wiem. - Ksiądz skinął głową. - Obserwował dom. Białe policzki zarumieniły się; jej twarz zmieniła wyraz.

- I nie obchodzi cię, co się z nim stanie?

- Ależ obchodzi mnie - był bardzo poważny. - Może bardziej, niż potrafisz zrozumieć. Widzę człowieka genialnego, który spadł do rynsztoka. Widzę ludzką istotę, wspaniałą istotę, która z siebie tylko znanych ciemnych powodów chce się sama zgubić.

- To mu pomóż!

- Uratować kogoś wbrew niemu? To jest możliwe tylko w książkach. W życiu rzadko.

Kimkolwiek jest mężczyzna podający się za Martina Fallona, jedno jest pewne: sam siebie nienawidzi za to, co zrobił i za to, czym się stał. Zżera go odraza do samego siebie.

W głowie Anny był zamęt.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ten człowiek szuka śmierci na każdym zakręcie. Powita ją ze szczerą radością. - Westchnął.

- O tak, kochanie, przejmuję się tym, co się stanie z Martinem Fallonem, przejmuję się z całego serca. Tragedia polega na tym, że on się nie przejmuje.

Zostawił ją na progu i spiesznie odszedł przez cmentarz. Nie miał ochoty rozkładać parasola; schylił głowę, chroniąc twarz przed deszczem. Dotarłszy do kruchty, z której przechodziło się do zakrystii, zobaczył Fallona. Siedział w rogu na małej ławce. Ręce tkwiły w kieszeniach płaszcza, głowa opadła mu na piersi.

Ksiądz potrząsnął go za ramię. Fallon natychmiast podniósł głowę i otworzył oczy. Apatyczne spojrzenie i napięta, nieogolona skóra na policzkach czyniły go podobnym do umarłego.

- Długa noc - szepnął łagodnie ksiądz.

- Dużo czasu, żeby myśleć - głos Fallona był obcy. - O bardzo wielu sprawach.

- Doszedł pan do jakich wniosków?

- O, tak. - Wstał i wyszedł na deszcz. - Taki cmentarz to miejsce w sam raz dla mnie. - Lekko uśmiechnął się do kapłana. - Bo widzi ksiądz, w końcu uświadomiłem sobie ważną rzecz...

- Jaką?

- Że nie mogę już dłużej żyć z samym sobą.

Oddalił się szybko. Da Costa został w strugach deszczu z wyciągniętą ręką, jakby chciał go przyciągnąć.

- Fallon! - zawołał stłumionym głosem.

Po drugiej stronie cmentarza poderwało się z drzewa stadko gawronów, kraczących gniewnie, gdy wiatr roztrzącał je jak garść czarnych szmat. Gdy ponownie usadowiły się na gałęziach, Fallon znikł już za rogiem kościoła.

Anna zamknęła za sobą frontowe drzwi, zeszła po schodkach i tam dotarły do niej dźwięki organów. Znieruchomiała. Zwróciła twarz w stronę kościoła i lekko przechyliła głowę, żeby lepiej słyszeć. Nie mogła się mylić. Z bijącym sercem, najszybciej jak potrafiła, pobiegła, postukując po ścianie laską.

Kiedy otworzyła drzwi do zakrystii, wydawało jej się, że muzyka, wypełnia cały kościół. Fallon grał "Pawanę dla zmarłej infantki" łącząc mistrzowską technikę z siłą uczucia w sposób dla niej niewiarygodny. Skończył i dopóki nie przebrzmiały ostatnie echa muzyki, siedział zgarbiony przy instrumencie. Obróciwszy się na taborecie zobaczył Annę przy balustradzie ołtarza.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak grał.

Przeszedł na dół między stallami chóru i stanął po drugiej stronie balustrady.

- Dobra muzyka żałobna. i 0 Modlitwa za konających Poczuli się tak, jakby ktoś dotknął jej serca zimnymi palcami. Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie powinieneś tak mówić. Chciałeś mnie widzieć?

- Tylko miałem nadzieję, że przyjdiesz.

- Otóż i jestem.

- Chciałem przez ciebie przekazać wiadomość księdzu. Proszę mu powiedzieć, że jest mi przykro, bardziej przykro niż mogę to wyrazić. Ale już żadne z was nie powinno się martwić. Daję mu słowo, że zadbam o to.

- Ale jak? Nie rozumiem.

- To moja sprawa - powiedział spokojnie. - Przeze mnie się zaczęło i ja muszę to zakończyć! Żegnaj, Anno da Costa. Więcej mnie nie zobaczysz.

- Nigdy cię nie widziałam - powiedziała ze smutkiem i przechodzącemu obok położyła rękę na ramieniu. - Czy to nie straszne?

Powoli i bezszelestnie cofnął się. Niepewnie wyciągnęła rękę przed siebie.

- Jesteś tu?

Fallon szybko skierował się do drzwi. Zaskrzypiały, gdy je otwierał. Odwrócił się, żeby jeszcze raz na nią popatrzeć.

- Martin, wróć - zawołała, a w jej głosie było wiele rozpacz. Drzwi zamknęły się z lekkim stukotem i zapłakana Anna uklękła przed ołtarzem.

Siostrzyczki ze Zgromadzenia Matki Boskiej Miłosiernej zajmowały się nie tylko nauczaniem. Miały również znaczne osiągnięcia misyjne w dalekich krajach, gdzie przede wszystkim zajmowały się chorymi. Właśnie dzięki temu ksiądz da Costa poznał w 1951 roku w Korei siostrę Marię Gabriellę. Mała, uparta Francuzka była chyba najlepszym, najbardziej życzliwym dla bliźnich człowiekiem, jakiego spotkał. Pracowała z wielkim oddaniem i mimo zrujnowanego w chińskim obozie zdrowia, jej niepokromiony duch do końca pozwalał jej znajdować siłę do otaczania ludzi czynną miłością. Kilka mniszek nie potrafiło powstrzymać łez, gdy zabrzmiały słowa Ofiarowania: Domine Jesu Christe, Rex Gloriam, libera animas omnium fidelium... Ich łagodne głosy wznosiły się pod krokwie małej klasztornej kaplicy. Da Costa modlił się za spokój duszy siostry Marii Gabrieli, za wszystkich grzeszników na świecie, którzy swoimi czynami pozbawiali się nieskończonej łaski miłości bożej. Za Annę, żeby nie stało się jej nic złego; za Martina Fallona, żeby wystarczyło mu odwagi na to, co musi zrobić i za Jacka Meehana zwanego Dandym... W tym momencie zdarzyła się rzecz straszna, gdyż poczuł suchość w gardle, jakby samo nazwisko Meehana dławiło go.

Zaraz po mszy zakonnice, nie zważając na deszcz, przeniosły trumnę na mały cmentarz w kącie między zewnętrznym i wewnętrznym murem klasztoru. Ksiądz da Costa skropił trumnę i mogiłę wodą święconą. Gdy odmówił modlitwy, zakonnice z pewnym trudem zapaliły świece, symbol duszy siostry Marii Gabrieli, spokojnej już i spoczywającej w Panu i odśpiewały Psalm dwudziesty trzeci, który szczególnie sobie upodobała. Ksiądz da Costa myślał o

biednym ciele zakonnicy, tak udręczonym bólem w tych ostatnich dniach; o Boże, westchnął, dlaczego dobrzy ludzie cierpią... Tacy jak Maria Gabriela. A Anna? Taka ładna, kochająca... Na wspomnienie ubiegłej nocy wezbrała w nim wściekłość. Wbrew wysiłkom, patrząc w otwartą mogiłę, mógł myśleć wyłącznie o tym, że najprawdopodobniej trumna pochodzi z zakładu pogrzebowego Jacka Meehana.

Poprzedniego wieczoru Jenny Fox zażyła dwa proszki nasenne i zasnęła. Było już po jedenastej, gdy się obudziła. Włożyła szlafrok i zeszła na dół. W kuchni zastała Fallona. Siedział przy stole z butelką irlandzkiej whisky i na wpół opróżnionym kubkiem w zasięgu ręki. Starannie składał rozłożoną na części ceskę. Tłumik leżał obok butelki.

- Wcześniej zaczynasz - zauważyła.

- Dawno już nie miałem w ustach alkoholu. Prawdziwego alkoholu. Teraz piję czwarty kubek. Muszę sobie coś przemyśleć.

Dopił whisky, wcisnął magazynek do pistoletu i przykręcił tłumik.

- Doszedłeś do jakichś wniosków? - zapytała ostrożnie.

- Tak, chyba trzeba to tak określić. - Nalał sobie jeszcze jedną whisky i wypił duszkiem. - Postanowiłem wcielić w życie hasło "Precz z Jackiem Meehanem". Coś w rodzaju jednoosobowej krucjaty.

- Zwariowałeś? Nie miałbyś najmniejszej szansy.

- Na pewno dziś po mnie przyśle. Musi, bo jutro w nocy odpływam, a pewne rzeczy zostały jeszcze nie obgadane.

Zajrzał w lufę ceski.

- Co masz zamiar zrobić?

- Zabić to ścierwo - odparł po prostu. - Wiesz, jak to nazwał Szekspir? Dobry uczynek na niegodziwym świecie.

Wiedziała, że jest pijany, ale pijany na swój specjalny sposób. Powiedziała z rozpaczą:

- Nie bądź idiotą. Zabijesz go i nie wsiądziesz na żaden statek. Co wtedy?

- Naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

Podniósł rękę i strzelił. Rozległo się głuche stuknięcie i na półce nad lodówką mały porcelanowy piesek rozleciał się w kawałki.

- Widzisz? Jeśli umiem trafić coś takiego, choć wlałem w siebie pół butelki whisky, to w żaden żywy sposób nie mogę nie trafić Jacka Meehana.

Wstał i znowu sięgnął po butelkę.

- Martin, na litość boską, posłuchaj mnie. Minał ją i poszedł do drzwi.

- Poprzedniej nocy w ogóle nie kładłem się do łóżka, więc zrobię to teraz. Jeśli Meehan zadzwoni, to mnie obudź. A niezależnie od tego nie daj mi spać dłużej, jak do piątej. Mam jeszcze sporo do zrobienia.

Nasłuchiwała. Słyszała kroki na schodach, otwieranie i zamykanie drzwi w jego pokoju...

Dopiero wtedy ocknęła się. Przykłęka i zaczęła zbierać kawałki porcelany.

Zaułek Buli and Bell znajdował się niedaleko Paul's Square. Tę brudną, pozbawioną słońca, pokrytą kocimi łbami uliczkę nazywano tak od stojącej przy niej przeszło dwustuletniej gospody. Obok wejścia tkwiły przepelnione kosze na śmieci, a skrzynki i kartonowe pudła piętrzyły się wokół bezładnie. W Buli and Bell największy ruch był wieczorem i właśnie dlatego Jack Meehan zaszczycał ten lokal swoją osobą po południu. O tej porze przeważnie miał go wyłącznie dla siebie, co przy załatwianiu pewnego rodzaju interesów było szczególnie dogodnie.

Siedział za stołem z kuflem piwa pod ręką. Kończył sandwicza z zimną pieczenia i czytał "Financial Times". Donner zajął miejsce przy oknie i układał pasjansa.

Meehan opróżnił kufel i pchnął go po kontuarze w stronę barmana.

- Jeszcze raz to samo, Harry.

Harry był muskularnym, barczystym młodzianem, wyglądającym, mimo białego fartucha, na zawodowego rugbystę. Miał długie, ciemne baki i twarz raczej niebezpiecznego człowieka. Gdy przesunął napelniony kufel do Meehana, do gospody weszli Rupert i Bonatti. Rupert

miął na sobie długą do kostek pelerynę w wielką kratę. Otrząsnął się energicznie i rozpiął okrycie.

- Ciekaw jestem, kiedy nareszcie przestanie lać. Meehan upił piwa i głośno czknął.
- Czego tu, u diabła, szukacie? Kto pilnuje interesu?

Rupert z wdziękiem usadowił się na krześle obok Jacka i położył mu rękę na udzie.

- Też muszę od czasu do czasu jeść, złotko. Przecież nie powinienem opaść z sił, prawda?
- Dobrze, dobrze. Harry, daj mu coś do picia. Rupert zapytał:
- Nawiasem mówiąc, czy ktoś wie, gdzie podziewa się Billy?
- Nie widziałem go od wczoraj - powiedział Meehan. - A kto go szuka?
- Kierownik z Pine Trees zadzwonił do biura tuż przed moim wyjściem.
- Czego chciał?
- Podobno znaleźli charcika, który aż tam się zabłąkał. Był cały mokry i trząsał się z zimna.

Kierownik pytał, co z nim robić.

Meehan zmarszczył brwi.

- Skąd on się tam wziął, u diabła?
- Widziałem go o wpół do ósmej rano, kiedy przyszedłem do garażu - wtrącił Donner. - Leżał w czerwonym scimitarze. Myślałem, że Billy zapomniał o nim wieczorem i wypuściłem go. To się już parę razy zdarzyło - jak Billy wrócił zalany, to zostawiał psa w wozie.
- Jak ja dziś wychodziłem, Billy'ego jeszcze nie było - mruknął Meehan. - Jeśli wóz jest w garażu, to znaczy, że wybrał się do któregoś klubu w centrum. Na pewno głupi gnojek leży jeszcze w łóżku z jakąś dziwką. - Zwrócił się do Bonattiego: - Jedź do Pine Trees, odbierz pieska, weź go do domu i nakarm.

Bonatti wyszedł, a Meehan pociągnął jeszcze łyk piwa.

- Bezmyślny gówniarz. Nogi z dupy mu powyrywam, jak go zobaczę.
- Jeszcze jest młody - wtrącił się Harry. - Z czasem nabierze rozumu.

Podniósł z podłogi wiadro z pomyjami i wyszedł na ulicę. Wylewał pomyje na kocie łby, gdy w zaułku ukazał się ksiądz da Costa. Był w sutannie i osłaniał się parasolem. Harry nie umiał ukryć zdumienia.

- Szukam Mr Meehana - powiedział uprzejmie da Costa.
- W jego biurze powiedziano mi, że mogę go tu zastać.
- Jest w środku.

Ruszył do gospody, ksiądz za nim; zatrzymał się w drzwiach, żeby złożyć parasol. Rupert zauważył go w lustrze za bufetem.

- Boże wszechmogący! - zawołał.

Zapanowała cisza i Meehan bardzo powoli obrócił się na stołku.

- Po diabła ksiądz tu przylazł? Po kolędzie, czy co? Starczy funt, żeby się księdza pozbyć? - ostentacyjnie wyjął portfel.
- Miałem nadzieję, że uda mi się zamienić z panem kilka słów na osobności - powiedział spokojnie da Costa.

Stał z tym swoim parasolem, z połami sutanny mokrymi od wysokiej trawy na klasztornym cmentarzu, z zabłoconymi butami, potarganą siwą brodą i czekał na odpowiedź.

Meehan roześmiał się.

- Słowo daję, szkoda, że ksiądz nie może się zobaczyć. Cholernie zabawny widok. Mężczyźni w spodnicy! Nigdy tego nie zrozumieję.
- Wcale się tego nie spodziewam - cierpliwie powiedział da Costa.
- Więc może porozmawiamy?

Meehan machnął ręką w stronę Donnera i Ruperta.

- Wszystko, co ksiądz mi powie, oni też mogą usłyszeć.
- Świetnie - zgodził się kapłan. - To zresztą proste. Chcę, żeby trzymał się pan z daleka od kościoła Najświętszego Imienia i żeby to, co wczorajszej nocy zaszło na plebanii, więcej się nie powtórzyło.

Meehan zmrużył oczy.

- O czym, u diabła, ksiądz mówi?

- Jak pan chce, Mr Meehan. Wczoraj w nocy, kiedy mnie nie było, ktoś włamał się na plebanię i zaatakował moją bratanicę. Gdyby Fallon nie zjawił się we właściwym momencie i nie przegonił napastnika, skończyłoby się to dla niej tragicznie. I co? Sądzę, że teraz powie mi pan, że nic o tym nie wie.

- I, u diabła ciężkiego, naprawdę nie wiem! - wrzasnął Meehan. Ksiądz da Costa z trudem opanował gniew.

- Kłamie pan - oświadczył krótko.

Krew nabiegła Meehanowi do twarzy. Wytrzeszczył oczy.

- Do jasnej cholery, jak śmiesz!

- Ostrzegam pana po raz ostatni - powtórzył. - Podczas naszej ostatniej rozmowy mówiłem panu, że mój Bóg jest nie tylko Bogiem miłości, ale i gniewu. Niech pan to dobrze zapamięta. Trzęsąc się ze złości Meehan nakazał barmanowi wyrzucić księdza. Harry podniósł klapę kontuaru i stanął obok niego.

- Zabieraj się stąd, kolego.

- Wyjdę, kiedy załatwię swoje sprawy.

Harry jedną ręką chwycił go za kołnierz, drugą za pasek i przy wtórze śmiechu Donnera i Ruperta wyniósł go za drzwi. Wszyscy wyszli na próg, żeby nacieszyć się dalszym ciągiem. Ksiądz stał na czworakach w kałuży.

- Co z tobą, złotko? - zawołał Rupert. - Złałeś się, czy jak?

Był to dziecinny i prostacki żarcik, ale okazał się ostatnią kroplą przepelniającą cierpliwość da Costy. Harry postawił go na nogi i przycisnął szyję ramieniem. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie lubimy, kiedy poprzebierani zbrojeńcy denerwują nam klientów. - Nic więcej nie udało mu się powiedzieć.

Ksiądz zareagował tak, jak go nauczono przed trzydziestoma laty w twardej szkole SAS.

Wykonał półobrót na jednej nodze i wbił mu łokieć w żebra. Harry zatoczył się łapiąc oddech.

- Nie powinienes nikogo dopuszczać tak blisko. Nie miałeś dobrych nauczycieli.

Barman usiłował wyprowadzić prawy sierpowy, ale ksiądz oburącz chwycił go za przegub, wykręcił i podniósł do góry. Unieruchomiwszy ramię, pchnął go naprzód, głową w stertę skrzynek.

Natarł na niego Donner; ten dostał precyzyjnie wymierzonego kopniaka w rzepkę kolanową, a zaraz potem cios kolanem w twarz, który posłał go na ścianę.

Rupert krzyknął ze strachu. Cofając się w pośpiechu do bezpiecznego schronienia, poślizgnął się na górnym stopniu i pociągnął za sobą Meehana. Gdy Meehan próbował wstać, ksiądz trzasnął go w twarz; był to dobry, solidny prawy prosty, w który włożył cały swój gniew i napięcie. Rozległ się chrzęst kości, nos Meehana spłaszczyl się pod ciosem, z nozdrzy trysnęła krew i Meehan zwałił się na podłogę.

Rupert doczołgał się za bufet. Ksiądz stał nad Meehanem z zaciśniętymi pięściami, ogarnięty jeszcze furją walki. Nagle popatrzył na swoje ręce. Dostrzegł na nich krew i ogarnęła go zgroza.

Powoli wycofał się na ulicę. Harry leżał na skrzynkach, twarzą w dół. Donner wymiotował pod ścianą. Przerażony da Costa jeszcze raz popatrzył na swoje zakrwawione ręce, odwrócił się i prawie pobiegł przed siebie.

Wróciwszy na plebanię, zastał Annę zajętą robótką na drutach.

- Spóźniłeś się, stryju. Niepokoiliam się o ciebie.

Był jeszcze wzburzony i siłą musiał narzucić sobie spokój.

- Przepraszam. Musiałem jeszcze wstąpić w jedno miejsce. Anna odłożyła robótkę i wstała.

- Kiedy po twoim wyjściu poszłam do kościoła, żeby przygotować się do próby z chórem, zastałam tam Fallona. Grał na organach.

Ksiądz zasępił się.

- Powiedział coś? Rozmawiałaś z nim?

- Prosił mnie o przekazanie ci wiadomości; że uznaje swoją winę i przeprasza.

- Nic więcej?

- I jeszcze, że wkrótce nie będziemy mieli powodów do zmartwień. Że sam to zaczął i sam skończy. Sądziś, że odda się w ręce policji?

- Bóg jeden wie. - Ksiądz zmusił się do uśmiechu i dla dodania jej otuchy położył rękę na jej ramieniu. - Pójdę teraz do kościoła. Tam też mam kilka spraw. Wkrótce wrócę.

Pośpieszył przez cmentarz do kościoła. Upadł na kolana, złożył ręce i spojrzał w górę na ukrzyżowanego Chrystusa.

- Wybacz mi, Ojczy Niebieski, wybacz mi.

Pochylił głowę i zapłakał, bo wiedział, że w głębi serca nie czuje ani odrobiny żalu za to, co zrobił Jackowi Meehanowi. Co gorsza, cichy lecz przenikliwy głos brzęczał mu w uszach, że wyświadczyłby przysługę ludzkości, ścierając Meehana z powierzchni ziemi.

Meehan wyszedł z łazienki w jedwabnym kimonie. Do twarzy przyciskał woreczek z lodem.

Lekarz już poszedł, krwawienie ustało, ale w miejscu nosa miał brzydki, spuchnięty i posiniaczony ochłap, któremu już nic nie mogło przywrócić dawnego kształtu. Donner, Bonatti i Rupert z szacunkiem czekali przy drzwiach. Dolna warga Donnera dwukrotnie zwiększyła objętość. Meehan cisnął worek z lodem na drugą stronę pokoju.

- To święstwo mi wcale nie pomaga. Niech mi ktoś da drinka. Rupert rzucił się do barku i nalał duży kieliszek koniaku. Zaniósł go Meehanowi, który ze ściągniętymi brwiami wyglądał przez okno na skwer. Odwrócił się do nich. Nagle, ku ich zdumieniu, był taki jak zawsze.

- Frank, jak się nazywa ten stary, co tak dobrze zna się na materiałach wybuchowych?

- Ellerman, proszę pana, jeśli to jego ma pan na myśli.

- Właśnie jego. Chyba teraz nie siedzi, co?

- Nic nie słyszałem.

- Dobra. Chcę go tu mieć najdalej za dwie godziny. Idź po niego; możesz go uprzedzić, że zarobi parę stów. - Upił jeszcze trochę koniaku i zwrócił się do Ruperta:

- A dla ciebie, kotku, też mam stosowną robotę. Pójdiesz w moim imieniu do Jenny. Będzie nam potrzebna.

- Myślisz, że się zgodzi? - spytał Rupert. - - Ta suka, jak sobie coś ubzdura, umie stroić fochy.

- Tym razem nie będzie. - Meehan zachichotał. - Przedstawisz jej ode mnie propozycję nie do odrzucenia.

Znowu roześmiał się, jak z dobrego dowcipu, a Rupert niepewnie zerknął na Donnera. Ten odważył się zapytać:

- Co to znaczy, Mr Meehan?

- To znaczy, że mam już tego dosyć. Wszystkiego: księdza, Fallona, całej zabawy. Mam zamiar zrobić z tym koniec raz na zawsze. Jeszcze tej nocy załatwimy ich obu; zaraz wam powiem, w jaki sposób.

Harvey Ellerman miał pięćdziesiąt lat, a wskutek dwudziestu dwóch lat, jakie łącznie spędził za kratkami, wyglądał na sześćdziesiąt. Był nieśmiały, drobnym człowieczkiem. Zazwyczaj chodził w tweedowej czapce, brązowym płaszczu nieprzemakalnym i zawsze robił wrażenie przytłoczonego ciężarem życia. A jednak ten drobny, niepozorny mężczyzna był uważany za najlepszego w całej północnej Anglii znawcę wszystkiego, co dotyczy materiałów wybuchowych. W końcu ten kunszt stał się przyczyną jego zguby, gdyż do każdego zadania przystępował tylko w sobie właściwy sposób i dzieła jego rąk były jakby podpisane. Toteż od wielu lat policja notorycznie go aresztowała.

Wysiadł z windy i poprzedzany przez Donnera wszedł do mieszkania Meehana. W ręce dźwigał tanią fibrową walizkę przewiązaną skórzanym paskiem. Meehan wyszedł naprzeciwko wyciągając rękę na powitanie.

Ellerman odstawił walizkę.

- Bardzo się cieszę, Harvey - zawołał Meehan. - Mam nadzieję, że potrafisz nam pomóc. Czy Frank wytłumaczył ci, o co mi chodzi?

- Owszem, panie Meehan, w pewnym sensie wytłumaczył. - Ellerman zawahał się. - Mam nadzieję, że nie chce pan, bym wziął w tym osobiście udział. Nie zależy panu na tym?

- Na pewno nie. Ellerman odetchnął z ulgą.
 - Po prostu wycofałem się z osobistego udziału w robocie. Chyba mnie pan rozumie?
 - Naturalnie, Harvey, szkoda słów. Byłeś dla nich za dobry, wiadomo.
- Meehan podniósł walizkę Ellermana i postawił ją na stole.
- No dobra, zobaczymy, co przyniosłeś.
- Ellerman rozpiął pasek i otworzył walizkę. Zawierała różnorakie materiały wybuchowe starannie zapakowane w puszki, zbiór lontów i zapalników, porządnie zwinięte zwoje drutu i skrzynkę z narzędziami.
- Frank powiedział mi, że zależy wam, żeby to było podobne do tego, co IRA stosuje w Irlandii.
 - Nie tylko podobne, Harvey. Chcę, żeby to było identyczne. Chłopcy z ekipy technicznej, którzy będą badać to, co pozostanie z bomby, powinni być pewni, że wiedzą, skąd ona pochodzi.
 - Jak pan sobie życzy. - Ellerman miał płaski, bezbarwny głos. Wydobył z walizki jedną puszkę. - Użyjemy tego. Puszka po sucharkach Waverley, wykonana w Belfaście. Wypełni się ją galignitem. Damy, powiedzmy, dziewięćdziesiąt funtów. To powinno wystarczyć.
 - A zapalnik?
- Ellerman pokazał długi, cienki, czarny ołówek.
- Ostatnio używają przeważnie takich. Chemiczny, rosyjskiej produkcji, właściwie niezawodny. Wybucho w dwadzieścia minut po zerwaniu kapturka.
 - Doskonale! - Meehan zatarł dłoń. - Bierz się do roboty! Przeszedł przez pokój do okna, wesóło przy tym pogwizdując.

Rozdział XIV GRIMSDYKE

- Fallona wyrwało ze snu potrząsanie za ramię. Nad nim stała Jenny, powtarzając z uporem:
- Zbudź się! Zbudź się!
- W prawym oku czuł uporczywy, pulsujący ból, lecz poza tym było mu dziwnie lekko na duszy. Usiadł, spuszczać nogi na podłogę, i przesunął dłonią po nie ogolonym podbródku.
- Która godzina?
 - Dochodzi czwarta. Telefonował twój przyjaciel, ksiądz da Costa. Chce cię zobaczyć. Wyprostował się powoli i spojrział na nią z niejakim zdziwieniem.
 - Kiedy to było?
 - Dziesięć minut temu. Chciałam cię obudzić, lecz powiedział, że nie może czekać.
 - Gdzie mam się z nim spotkać? W kościele?
 - Nie - potrząsnęła głową. - Powiedział, że zabiera bratanicę na wieś. Uważa, że tak będzie dla niej bezpieczniej. Jadą do małej miejscowości - Grimsdyke, jakieś dwadzieścia mil stąd, głęboko wśród moczarów. Chciałby, żebyś zjawił się tam jak najszybciej.
 - Rozumiem - zastanawiał się przez chwilę. - Znasz to miejsce? Skinęła głową. - Jeździłam tam na pikniki; kiedyś, gdy byłam mała.
- Oni jadą konkretnie do Mili House, tam nie byłam lecz powiedział mi, jak się tam dostać. Fallon przyjrzał się jej uważnie.
- A zawieziesz mnie tam?
 - Jeżeli chcesz. Możemy wziąć mój wóz. Będziemy na miejscu w pół godziny. +
- Spoglądał na nią ciemnymi, nagle pozbawionymi wyrazu oczami. Odwróciła wzrok, zbyt zdenerwowana, by patrzeć mu prosto w twarz i poczerwieniała ze złości.
- Co mi tam zresztą. Nie moja sprawa. Chcesz jechać, czy nie? Wiedział, że Jenny kłamie, lecz nie było to aż tak ważne, gdyż z jakiegoś powodu nie miał wątpliwości, że i tak zawiezie go tam, gdzie trzeba.

- Zgoda. Fajnie, tylko się umyję. Będę na dole za kilka minut. Ledwie wyszła, wyjął magazynek z ceski, przeładował tak, by było w nim osiem pocisków i włożył broń do prawej kieszeni płaszcza.

Podszedł do okna i uniósł róg dywanu - leżał tam browning, który miał przy sobie podczas pierwszego spotkania z Kristou. Obok spoczywała gruba na prawie dwa tysiące funtów koperta - pieniądze, które otrzymał od Meehana - w dwudziestofuntowych banknotach. Schował je do górnej kieszeni marynarki i szybko sprawdził pistolet.

W szafce nad umywalką znalazł rolkę leukoplastu i odciął z niej parę dość długich kawałków, posługując się przy tym otrzymaną od Jenny brzytwą. Potem przykleił z pomocą owych kawałków broń do nogi tuż nad kostką i zasłonił ją skarpetką.

Płaszcz zapiął schodząc po schodach. Jenny czekała już w hallu, ubrana w czerwony nieprzemakalny płaszcz z tworzywa. Uśmiechnęła się do niego blade sponad wciąganych właśnie rękawiczek.

- Możemy już jechać?

Otworzyła frontowe drzwi, lecz gdy chciała przez nie przejść położył jej rękę na ramieniu.

- O niczym nie zapomniałaś? Nie masz już nic do powiedzenia? Znow się zarumieniła i w jej głosie pojawił się gniew.

- A sądzisz, że powinnam?

- Dobrze zatem. - Odpowiedział jej łagodnie. - Jedziemy. Zamknął drzwi, zszedł za nią na ulicę i skierował się do zaparkowanego na ulicy mini coopera.

Grimsdyke to dzikie, odludne miejsce położone wśród odnóg ujścia Tamizy i jej mulistych mielizn, zarosłe trzciną, aż na wysokość człowieka. Od zarania dziejów wszyscy, którzy się tu pojawiali, robili to w ściśle określonych celach - Rzymianie, Dunowie, Normanowie - teraz była to wielka domena duchów. Dziwny świat, zamieszkały li głównie przez ptaki - kuliki, bekasy i dzikie gęsi przylatujące tu z Syberii, którym odpowiadała zima spędzona na błotnistych nizinach. Przejechali przez niewielką, całkiem ładną wioskę. Trzydzieści czy czterdzieści domów, warsztat samochodowy, gospoda - i szybko zniknęli jej z oczu. Padał gęsty deszcz, wiatr gnał na moczary chmury znad morza.

- Pół mili za wsią na prawo - Jenny obrzuciła Fallona szybkim spojrzeniem. - Tak powiedział ten człowiek.

- Wygląda, jakby to było tutaj - wskazał Fallon.

Zjechała z głównej drogi i poprowadziła coopera ścieżką niewiele szerszą niż chłopska furmanka - a właściwie była to zarosnięta trawą wąska grobla. Po obu jej stronach bagna ciągnęły się milami, a wiatr podnosił znad trzcin tumany morskiej mgły.

Opuścił szybę i odetchnął głęboko ciepłym, słonym powietrzem.

- Niezła okolica.

- Bardzo lubiłam tu przyjeżdżać, gdy byłam mała. To jedyne takie miejsce na ziemi. Zupełnie inny świat niż miasto.

Im bardziej zbliżali się do ujścia rzeki, tym szczelniej otulała ich mgła. W końcu wjechali na wzniesienie i o sto jardów na południe, między kępą drzew, dostrzegli budynek, który kiedyś z pewnością był młynem.

Położył dłoń na ramieniu Jenny. Samochód zatrzymał się nagle.

- I co teraz? - spytała.

- Pójdziemy dalej pieszo.

- Czy to konieczne?

- Jednej rzeczy nauczyłem się w życiu - ostrożności. Wzruszyła ramionami i nie mówiąc nic więcej, wysiadła z wozu.

Fallon zszedł ze ścieżki i tratując młody jodłowy zagajnik, ruszył w kierunku młyna, który majaczył wśród drzew.

Przykucnął pod krzakiem, pociągając Jenny za sobą, i uważnie przyjrzał się budynkowi. Miał on dwupiętrową kamienną wieżę z otwartym dachem. Z jednej strony sterczała drewniana

przybudówka wyglądająca na stodołę i w lepszym chyba stanie niż całość. Z żelaznej rury, nazywanej tu kominem, unosiła się cienka strużka dymu.

Po drugiej stronie rudery obracało się olbrzymie koło wodne, czyniąc przy tym mnóstwo trzasków i skrzypiąc niemiłosiernie. W ruch wprowadziła je woda z wezbranego potoku.

- Nie widać jego furgonetki - szepnął Fallon.

- Pewnie wstawił ją do stodoły. Na litość boską, zdecyduj się. Idziemy tam, czy nie? Jestem już całkiem przemoknięta.

Wyglądała na rozgniewaną, palce jej lewej ręki drżały lekko.

- Sama pójdiesz. Jeśli wszystko będzie w porządku, to mnie zawołasz.

Spojrzała na niego jakby zaskoczona, wzdrygnęła ramionami, wstała i wyszła na otwartą przestrzeń. Patrzył za nią, aż weszła do stodoły. Raz tylko obejrzała się, żeby na niego zerknąć. Otworzyła dużą, dwudrzwiową bramę i zniknęła w środku.

W chwilę później ukazała się znowu i zawołała:

- Wszystko w porządku. Chodź!

Wahał się przez sekundę, aż w końcu skinął głową i wyszedł z zagajnika na polanę, dziwnie się przy tym uśmiechając. Gdy podszedł na parę kroków od bramy, powiedziała:

- Są tutaj - i zawróciła do stodoły.

Bez dalszej zwłoki poszedł za nią. W stodole śmierdziało starym sianem i myszami. W jednym rogu stała rozklekotana furmanka, a wzdłuż trzech ścian budynku biegła szeroka antresola.

Przez jej pozbawione szyb, okrągłe okna, padało słabe światło. W innym rogu stał żelazny piecyk, w którym buzował ogień.

Nie było tu śladu księdza i Anny. Zresztą Fallon wcale na to nie liczył. Jenny stała pod przeciwległą ścianą, tuż obok żelaznego dzieciennego łóżeczka, w którym spała przykryta koldrą jasnowłosa dziewczynka.

- Przepraszam, Martin - na jej twarzy malowała się teraz prawdziwa rozpacz. - Nie miałam wyboru.

- Zaiste. Fallon!

Podniósł wzrok i zobaczył Donnara z M-16 w dłoni, stojącego na antresoli w towarzystwie Ruperta z dubeltówką z odpiłowaną lufą i Harry'ego, barmana z Buli and Bell, który pokazał się właśnie na galerijce po drugiej stronie budynku z rewolwerem w garści.

- Powiadają, że kula z tej maszynki wchodzi z przodu i wychodzi z tyłu, zabierając po drodze nieco bebechów, radzę ci zatem stać spokojnie.

- Z pewnością będę stał spokojnie - zapewnił go Fallon głosem, w którym nie było ani cienia ironii.

Pierwszy zszedł po drabinie Harry. Nie wyglądał zbyt świeżo. Jedna strona jego twarzy była zupełnie sina, a lewe oko nie chciało się za nic otworzyć. Stał parę kroków od Fallona i wymierzył w niego broń, podczas gdy po tej samej drabinie zszedł Rupert. Gdy obaj zajęli już właściwe pozycje, przyłączył się do nich Donner.

- Nie ufaj nigdy kobiecie, skarbie - Rupert uśmiechnął się drwiąco. - Myślałem, że sam to wiesz. To suki, żadnej nie można zawierzyć. Rządzą nimi księżyc. Ja zaś, na przykład...

Donner kopnął go w kostkę.

- Zamknij się i przeszukaj go. Broń ma pewnie w prawej kieszeni. Bez najmniejszych problemów Rupert znalazł ceskę oraz kopertę z pieniędzmi. Donner zajrzał do niej i gwizdnął z cicha.

- Ile?

- Dwa tysiące - odparł Fallon. Donner uśmiechnął się.

- Można powiedzieć, nieoczekiwana premia, co?

Włożył pieniądze do wewnętrznej kieszeni kurtki, a Rupert wziął się do obmacywania Fallona od stóp do głów.

- Naprawdę mi się podobasz, skarbie. Przyjemny jesteś - i poklepał Fallona po policzku.

Martin odepchnął Ruperta prawym ramieniem, aż ten zachwiał się na nogach.

- Raz jeszcze mnie dotkniesz, a skręcę ci kark.

Rupertowi zabłysły oczy, podniósł odpiłowaną dubeltówkę i odbezpieczył ją.

- Proszę, jacy jesteśmy niegrzeczni! - syknął. - Ale to się zaraz załatwi.

Donner szturchnął go w plecy.

- Ty głupia cioto - krzyknął. - Co ty wyprawiasz? Chcesz wszystko zepsuć? - odepchnął go brutalnie. - Idź lepiej i zrób herbatę. Tylko do tego się nadajesz.

Nie wypuszczając dubeltówki z ręki, Rupert odszedł ponuro w stronę piecyka, a Donner wyjął tymczasem z kieszeni policyjne kajdanki. Założył je Fallonowi na przeguby dłoni, zniknął i schował kluczyki do górnej kieszeni.

- Od ciebie zależy, czy będziemy to załatwiać ostro, czy nie - oznajmił. - Mnie jest wszystko jedno, rozumiesz?

- Staram się przecież.

- Dobrze. Usiądź koło dziewczyny, tak żebym miał was oboje na oku.

Fallon zbliżył się do łóżeczka i usiadł plecami do ściany. Spojrzał na dziecko. Miało zamknięte oczy, lecz oddychało równomiernie.

- Twoja córka - upewnił się. - Zdrowa?

- Dali jej tylko środek nasenny, ale nic poza tym - - Jenny miała oczy pełne łez. - Przepraszam cię, Martin, ale nie miałam wyboru. Zabrałam ją po lunchu, jak w każdą sobotę, i poszłam z nią do parku. Tam nas znaleźli. Rupert i ten potwór, Harry.

- Grozili ci?

- Powiedzieli, że jeżeli nie uda mi się ciebie tu sprowadzić, to nie oddadzą mi Sally - położyła mu rękę na ramieniu. - Co mogłam zrobić? Byłam przerażona. Nie znasz Jacka Meehana tak jak ja - podobnie jak Billy, jest zdolny do wszystkiego.

- Billy nie będzie już cię dręczył. Zabiłem go wczoraj w nocy. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

- Co zrobiłeś?

- To, co zamierzam przeprowadzić i z Dandy Jackiem - odparł Fallon spokojnie. - W lewej kieszeni marynarki jest paczka papierosów. Bądź tak miła, wyjmij jednego i zapal dla mnie. Nie otrząsnęła się jeszcze z osłupienia wywołanego zupełnie niespodziewaną wiadomością, lecz zrobiła, o co ją prosił. Włożyła mu papierosa do ust. Gdy pocierała zapałkę, podszedł do nich Donner. W rękę trzymał brezentową torbę w kratę i przykucnąwszy obok Fallona, otworzył zamek błyskawiczny. Wyjął ze środka trzy butelki irlandzkiej whisky i ustawił je na ziemi.

- Jameson - ucieszył się Fallon. - Moja ulubiona. Skąd wiedziałeś? .

- I wszystko dla ciebie - całe trzy butelki.

- Prawdę mówiąc, brzmi to ciekawie - stwierdził Fallon. - Mów dalej.

- Proszę bardzo. Pomysł jest rzeczywiście znakomity i myślę, że ci się spodoba. Widzisz, Fallon, mamy na głowie trzy problemy: księdza i jego bratanicę, bo wiedzą więcej niż powinni...

- I mnie - mruknął Fallon.

- Właśnie - Donner też zapalił papierosa. - A w każdym razie -

Mister Meehan wpadł na bardzo dobry pomysł, by pozbywając się da Costy i dziewczyny, winę za to złożyć na ciebie.

- Pojmuję. A jak wy to sobie wyobrażacie?

- Tam, w Ulsterze, byłeś specem od zamachów bombowych, prawda? No więc właśnie, chcąc sprzątnąć kogoś tutaj, z pewnością sięgnąłbyś po swoje wypróbowane metody, prawda?

- O Boże - szepnęła Jenny.

Donner nie zwrócił na nią uwagi - widać było, że bawi się tym wszystkim znakomicie.

- Wieczorna msza w Najświętszym Imieniu jest o szóstej - mówił dalej. - Kiedy się skończy, Mister Meehan i Bonatti zgarną księdza i jego bratanicę i odstawią ich na wieżę razem z dwudziestoma funtami gelnitu w puszcze po biszkoptach i chemicznym zapalnikiem. Gdy puszka wybuchnie, niewiele zostanie z nich i z kościółka.

- Rozumiem. A co ze mną?

- Prosta sprawa - Bonatti sprowadzi tu furgonetkę da Costy. Potem wlejemy ci do gardła trzy butelki irlandzkiej whisky, posadzimy cię za kierownicą i jazda... Trzy mile stąd w Cullan jest dość ostry zakręt. Nazywają go zresztą zakrętem śmierci, tyle tam wypadków.

- I sądzisz, że oni to kupią?

- I jak jeszcze! W rozwalonej furgonetce znajdą wszystko, czego trzeba do fabrykowania bomb, w tym kilka lasek gelignitu, takiego samego jak ten, który załatwi kościół, nie wspominając o broni, z której zabity został Krasko. Bądźmy szczerzy, chłopcy z ekipy śledczej będą mieli swój dzień, jako że, ostatecznie, Special Branch poluje na ciebie od lat. Będą wprost zachwyceni.

- Miller się na to nie nabierze. O tym nie ma mowy. On i tak wie, że za wszystkim stoi Meehan.

- Wiedzieć sobie może, lecz nie będzie mógł tknąć go nawet palcem.

- To morderstwo - szepnęła Jenny ze zgrozą. - Morderstwo z premedytacją. Nie możecie tego zrobić.

- Stul pysk! - warknął Donner.

Cofnęła się trwożnie i zupełnie nagle spostrzegła, że dzieje się coś niezwykłego - oczy Fallona zmieniły nieco barwę ich czerń rozjaśniły cętki światła. Gdy podniósł na nią wzrok, zdało się jej, że wstąpiła weń nowa siła, że emanuje z niego moc czynienia rzeczy wielkich. Zupełnie tak, jakby dotąd spał i teraz dopiero się obudził.

Rozejrzał się - pozostała dwójka była zajęta własnymi sprawami: zwrócony tyłem do nich Harry oglądał starą furmankę, a Rupert stał przy piecu bębniąc palcami po dubeltówce.

- Zatem tak sobie wykombinowaliście? - spytał cicho Fallon, opuszczając skute ręce.

Donner potrząsnął głową w udanym zmartwieniu.

- Powinieneś być pozostać na tym swoim zadupiu, ty głupi Irlandczyku. Tutaj grywa się o większe stawki.

Donner pochylił się po drugiego papierosa. Fallon obiema dłońmi ujął kolbę browninga, który tkwił przyklejony plastrem przy lewej kostce, poderwał broń i strzelił Donnerowi prosto w serce.

Siła pocisku poderwała Donnera i cisnęła nim o klepisko. W tym samym momencie Fallon trafił Harry'ego w plecy, gruchocząc mu kręgosłup, zanim tamten zdążył się odwrócić. Ciało poleciało do przodu, wpadając na furmankę.

Jenny krzyknęła, a Fallon, stojąc, odtrącił ją i wymierzył w Ruperta, który odwrócił się w popłochu z rękami zaciśniętymi na dubeltówce, lecz zrobił to za późno.

Trzecia kula trafiła go w sam środek czoła. Otworzył usta w bezgłośnym krzyku. Z roztrzaskanej czaszki trysnęła krew i mózg, barwiąc szare kamienie, a ciało Ruperta potoczyło się pod ścianę, tylko jego palce nacisnęły spust dubeltówki w przedśmiertnym skurczu powodując jednoczesny strzał z obu luf.

Jenny zasłoniła sobą dziecko, które było jeszcze pogrążone w narkotycznym śnie. Zaległa cisza - rozejrzała się z lękiem. Fallon absolutnie spokojny stał bez ruchu w pozycji strzeleckiej, z pistoletem przed sobą. Twarz miał bardzo bladą, bez wyrazu, i znów pociemniałe oczy.

Prawy rękaw jego marynarki był w strzępach i krew kapiała na podłogę. Jenny podniosła się niepewnie na nogi.

- Jesteś ranny.

Nie zwrócił na nią uwagi, jakby w ogóle jej nie słyszał. Zajrzał do furmanki, gdzie twarzą do dołu leżał Harry i szturchnął go stopą. Potem podszedł do resztek Ruperta.

Przysunęła się do niego.

- Nie żyje? - spytała szeptem. Gdy jej wzrok padł na rozwaloną czaszkę, cofnęła się. Zemdlilo ją i oparła się o ścianę, by odzyskać równowagę.

Gdy się opanowała, ujrzała, że Fallon kłęczy przy zwłokach Donnera, przetrząsując kieszenie jego marynarki. W końcu znalazł kluczyki od kajdanek i wstał.

- Zdejmij to.

Mdły odór krwi uderzył w nią, wsączając się w jej mózg tym mocniej, im bliżej była Fallona. Półprzytomna i przerażona potknęła się i z trudem uniknęła upadku.

Złapał ją za ramię.

- Ostrożnie, dziewczyno. Nie rozsyp się teraz - jesteś mi potrzebna.

- Nic mi nie jest - zapewniła go. - Naprawdę.

Otworzyła kajdanki. Odrzucił je na bok, znowu przykleknął i z wewnętrznej kieszeni marynarki Donnera wydobyl kopertę z pieniędzmi. Gdy wstał, Jenny powiedziała z westchnieniem:

- Daj mi lepiej obejrzeć twoje ramię.

- Dobrze.

Zdjął marynarkę i usiadł na brzegu łóżka, zapalając papierosa.

Ramię nie wyglądało dobrze. Kilka brzydkich ran - stalowy śrut rozerwał ciało w trzech czy czterech miejscach. Zabandażowała je wyjętą z kieszeni Donnera chustką najlepiej jak umiała. Fallon chwycił jedną z butelek irlandzkiej whisky, wyciągnął zębami korek i pociągnął łyk.

Skończywszy swoje zabiegi, Jenny przysiadła obok niego na łóżku i rozejrzała się po stodole.

- Ile to wszystko trwało? Dwie, trzy sekundy? - wzdrygnęła się. - Kim ty właściwie jesteś, Martin?

Fallon niezgrabnie nakładał marynarkę.

- Nie słyszałaś? Głupim Irlandczykiem, który powinien pozostać na swoim zadupiu.

- Ale on nie miał racji?

- Tam, skąd pochodzę, nie przeżyłby nawet jednego dnia - odparł beznamiętnie. - Która godzina?

Spojrzała na zegarek. - - Wpół do szóstej.

- Dobra - wstał i sięgnął po płaszcz. - Wieczorna msza w Najświętszym Imieniu zaczyna się o szóstej i kończy koło siódmej. Zawiesz mnie tam teraz.

Pomogła mu włożyć płaszcz.

- Ten statek, na którym miałaś odpłynąć z Hull... Słyszałam, jak Donner mówił o nim z Rupertem. Zdążyłbyś jeszcze.

- Bez paszportu?

Paska nie udało mu się zapiąć - zraniona ręka nieco już przeszkadzała. Zrobiła to za niego.

- Za forszę wszystko można. Masz jej dość.

Stała bardzo blisko, obejmując go nadal w pasie i patrzyła mu w oczy.

- A ty pewnie chciałabyś pojechać ze mną, co? Zaprzeczyła.

- Mylisz się, Martin. Dla mnie jest już za późno na zmiany. Było na nie za późno już wtedy, gdy zaczęłam karierę. Chodzi mi tylko o ciebie. Wszyscy, których dotąd znałam, tylko różnili mnie lub bili. Ty jeden potraktowałeś mnie inaczej.

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę dość smutnym wzrokiem.

- Weź dzieciaka - powiedział w końcu cicho.

Podszedł do drzwi. Jenny owinęła córeczkę w kocyk. Gdy wyszła na zewnątrz, Fallon stał z rękami w kieszeniach, moknąc na deszczu i wpatrując się w niebo, gdzie kluczem w kształcie litery V przelatywały dzikie gęsi.

- One są wolne, a ja nie, Jenny - powiedział łagodnie. - Czy potrafisz to zrozumieć?

Wyjął prawą rękę z kieszeni i zobaczyła, że po palcach ścieka krew.

- Potrzebujesz lekarza.

- Potrzebuję Dandy Jacka Meehana i nikogo więcej. Chodźmy. Zawrócił i poszedł w kierunku samochodu.

Jedną ręką zapalił papierosa i wsparł się plecami o wyściełane siedzenie.

- Chciałbym ci coś wytłumaczyć - odezwał się po chwili. - To, co Donner o mnie wygadywał, wiesz, to że rzucałem bomby gdzie popadło, to kłamstwo. Historia ze szkolnym autobusem i dziećmi, to był wypadek. Wpadli w zasadzkę, którą ustawiliśmy na wojskową pancerkę. To była pomyłka.

Zacisnął rozpaczliwie pięści.

- Wiem, wiem - szepnęła Jenny. - Rozumiem.

- To cudownie. To wręcz nadzwyczajne, bo ja tego nigdy nie potrafiłem zrozumieć.

W jego głosie było tyle bólu, że łyzy stanęły jej w oczach. Nadludzkim niemal wysiłkiem skupiła uwagę na prowadzeniu wozu.

Ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, ksiądz i jego czterej ministranci udali się do zakrystii, lecz Anna grała nadal. Chłopcy przebrali się we własną odzież, ksiądz zdjął komżę, pożegnał się z nimi i otworzył im drzwi na ulicę.

Anna grała teraz mocnymi, pełnymi brzmienia akordami, co oznaczało, że ostatni wierni opuścili już kościół. Miała taki zwyczaj i w jakiś sposób wyczuwała ten moment bezbłędnie.

Teraz grała Bacha - ten sam utwór, który wtedy wybrał Fallon. Nagle muzyka urwała się. Ksiądz da Costa, który właśnie zdejmował albę, podniósł głowę i czekał, lecz dziewczyna nie podjęła gry. Zmarszczył brwi, otworzył drzwi od zakrystii i wszedł do kościoła.

Anna stała przed okalającą ołtarz balustradą. Jack Meehan trzymał ją mocno za ramię. Da Costa zrobił gwałtowny krok naprzód i w tej samej chwili zza filara wyłonił się Bonatti z lugerem w ręku.

Ksiądz stanął jak wryty. Jack Meehan uśmiechnął się.

- To rozumiem. A teraz wszyscy razem pojedziemy sobie na wieżę. W windzie zmieszczą się tylko dwie osoby, musimy się zatem rozdzielić. Ja pojedę z dziewczyną, a ksiądz będzie łaskaw zabrać się z Bonattim. I jeszcze jedno, niech ksiądz pamięta, że każdy jego nieopatrny gest odbije się na dziewczynie. Lepiej będzie w tej sytuacji trzymać ręce przy sobie i nie próbować żadnych sztuczek.

- Doskonale, panie Meehan. Lecz czego pan ode mnie chce?

- Wszystko w swoim czasie - pchnął Annę w kierunku dźwigu, odsunął kratę, wpuścił ją do środka i poszedł za nią. Kiedy się wznosili, krzyknął jeszcze do da Costy:

- Niech ksiądz pamięta, co mówiłem, i niczego nie wymyśla! Ksiądz poczuł, że z wolna wzbiera w nim furia, spróbował się uspokoić. Czego ten człowiek chce? Kiedy tylko dźwig zjechał na dół, wszedł pospiesznie do kabiny. Bonatti wskoczył za nim i nacisnął guzik.

Gdy dźwig znalazł się na górze, da Costa odsunął kratę. Meehan zapalił światła i mokre deski rusztowania zaśniły w ulewnym deszczu.

Anna stała z ręką opartą na balustradzie, z wyrazem całkowitej dezorientacji na twarzy. Da Costa zrobił krok naprzód i w tej samej chwili Meehan wyjął z kieszeni browninga.

- Stój! - krzyknął, i zwracając się do Bonattiego, rzucił: - Zwiąż im ręce z tyłu.

Ksiądz nie miał innego wyjścia, założył zatem dobrowolnie ramiona na plecy. Bonatti związał je kawałkiem cienkiego drutu.

- Teraz dziewczyna.

Związał ręce i jej, a gdy skończył, da Costa przysunął się do bratanicy. Milczała.

- Nic się nie bój - powiedział cicho.

- Dobrze stryju. A co oni z nami zrobią?

- Obawiam się, że odpowiedź na to pytanie zna tylko pan Meehan. Ja nie mam pojęcia.

- No dobrze, proszę księdza, powiem teraz co i jak.

Meehan odsunął zamek torby, wsunął ręce do środka, złamał bezpiecznik, zasunął zamek i odstawił torbę na bok.

- Pozostawię was teraz na kwadrans, żebyście mogli sobie trochę pomedytować. Mam nadzieję, że gdy wrócę, zastanę was w nieco bardziej ugodowych nastrojach. Jeżeli nie, to...

- Niczego nie rozumiem - przerwał ksiądz. - O co wam właściwie chodzi?

W tej samej chwili z dołu rozległy się pierwsze tony preludium i fugi d-moll Bacha.

Na twarzy Meehana malowało się jedynie zdziwienie.

- To Fallon - szepnął.

- Jakim cudem? To niemożliwe - odparł Bonatti, podobnie jak szef, szeptem.

- No to kto tak gra? Przecież nie duch - Meehana zalała zła krew. - Leć po niego.

Przyprowadź mi go! Powiedz mu, że jeżeli będzie stawiał opór, to skończę z dziewczyną.

Bonatti popędził do dźwigu, zasunął kratę i ruszył w dół. Organy zamilkły, gdy znajdował się w połowie drogi. Dźwig zatrzymał się i nagle zrobiło się bardzo cicho. Odbezpieczył lugera, odsunął nogą kratę i wyszedł.

Wjeżdżali na Rockingham Street. Fallon leżał na siedzeniu z zamkniętymi oczami i przez chwilę Jenny była pewna, że stracił przytomność, ewentualnie śpi, lecz gdy dotknęła delikatnie jego ramienia, otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Gdzie jesteśmy?

- Przed Najświętszym Imieniem.

Nabrał głęboko powietrza i wyprostował się.

- Dobra dziewczyna - wyjął z kieszeni płaszcz brązową kopertę i podał ją jej. - Tu jest blisko dwa tysiące funtów. To zaliczka, jaką otrzymałem od Meehana. Uczciwie zarobiona. Nie będzie mi już potrzebna. Wyjedź stąd gdzieś daleko, gdzie nikt cię nie będzie znał. Bierz dzieciaka i spróbuj się jakoś urządzić.

Koperta była śliska od świeżej krwi. Jenny zapaliła górne światło i spojrzała najpierw na kopertę, a potem na Fallona.

- Martin! Jesteś cały zakrwawiony!

- Głupstwo - mruknął otwierając drzwi. Wsiadła z wozu.

- On cię zabije. Nie znasz go, tak jak ja. Nie masz z nim żadnej szansy. - W jej głosie była rozpacz. - Pozwól, wezwę policję, niech Miller się nim zajmie.

- Żadnej policji, na litość boską. W życiu nie zwracałem się do nich o pomoc. I teraz już za późno, by zaczynać - pogłaskał ją delikatnie po twarzy. - Jesteś naprawdę kochana, Jenny. I śliczna. Życie nie zepsuło cię, pamiętaj o tym. A teraz wynoś się do diabła i niech Bóg cię błogosławi.

Odwrócił się i ruszył w stronę kościoła. Jenny wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Była przekonana, że Fallon nie przeżyje następnego kwadransa - w końcu chęć uratowania go wzięła górę nad wszystkim innym. Podjechała do budki telefonicznej na rogu i wykręciła trzy dziewiątki, a gdy odezwała się dyżurna telefonistka, poprosiła, by połączyć ją pilnie z nadinspektorem Millerem.

Przez okna kościoła wpadało do środka jeszcze trochę światła, lecz cisza była niewzruszona.

Organy milczały. Spojrzał na tablicę przy drzwiach, i, podobnie jak wcześniej Meehan, zrozumiał, że pomylił się, jako że sobotnia msza zaczyna się o całe pół godziny wcześniej niż w inne dni tygodnia.

Ogarnęła go panika. Na myśl, że może już jest za późno, ruszył do działania. Pchnął drzwi kościoła; otworzyły się z trzaskiem, który odbił się głośnym echem. W kościele nie było żywej duszy - tliła się tylko rubinowa lampka nad ołtarzem, migotały świece, Matka Boska uśmiechała się ze smutkiem, a wysoko, pod sufitem, wznosił się ukrzyżowany Chrystus.

Przebiegł pędem przez główną nawę i dopadł dźwigu - klatki nie było na dole. Nacisnął guzik, lecz winda nie zjechała. Nacisnął raz jeszcze. Nic. Znaczyło to, że tam, na górze, nie zasunięto kraty.

Z rozpaczą zaczął walić pięścią w mur. Za wszelką cenę trzeba sprowadzić Meehana na dół. Ale jak?

Pomysł wpadł mu do głowy zupełnie nagle. Bardzo prosty, tak śmiesznie prosty, że Fallon zaczął się śmiać, a śmiech ten odbijał się od ścian i sklepienia, krążył po pustych nawach, wpadł na chór.

Usiadł do organów i zaczął gorączkowo manipulować aparaturą. Na klawiszach pojawiła się krew, lecz nie zwrócił na to uwagi. Zagrał pierwsze akordy Bacha. Wspaniałe dźwięki tej niezwykłej muzyki wypełniły kościół. Grał najgłośniej, jak tylko mógł, nie dbając o ból w prawej ręce i ramieniu.

- Schodź, sukinsynu! - wrzasnął na cały głos.

Przestał grać. Usłyszał głos zjeżdżającego dźwigu. Wstał, wyjął z kieszeni ceskę, z trudem nakręcił tłumik i w momencie, w którym winda znalazła się na dole, stał już przygotowany do strzału.

Krata odsunęła się - z trzaskiem wyleciały kopnięte przez Bonattiego drzwi. Wyszedł z lugerem w dłoni. Strzał Fallona wytrącił mu broń z ręki, która zwiśla bezwładnie.

- Meehan jest na górze?

Bonatti trząsał się jak liść na wietrze. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł z siebie wydobyć głosu. Skinął tylko potakująco głową.

- To fajnie - uśmiechnął się Fallon i Bonatti znów ujrzał twarz, na widok której sam diabeł zwiąłby ze strachem.

- Fajnie - powtórzył Fallon. - A teraz idź sobie do domu i zastanów się nad sobą.

Bonattiemu żadna dalsza zachęta nie była potrzebna. Ściskając krwawiący przegub, pobiegł do drzwi. Trzasnęły za nim i znów martwa cisza zapanowała w kościele. Fallon wszedł do windy i nacisnął guzik.

Na górze, na wąskich deskach rusztowania czekali Meehan, ksiądz da Costa i Anna. Strugi deszczu lśniły złoto w świetle żółtawej żarówki. Zajechała winda, drzwi się otworzyły - wewnątrz było ciemno.

- Bonatti? - zapytał Meehan, unosząc broń. Blady jak upiór Fallon wyłonił się z ciemności.

- Witaj, draniu.

Meehan wycelował, lecz ksiądz skoczył i pomimo związanych rąk przyparł go do balustrady, po której ten osunął się ciężko na deski. Browning wyleciał mu z rąk, a Fallon kopnął go tak, że wypadł znikając w mroku.

Stał teraz, śmiertelnie zmęczony. Oparł się o barierę i zrobił ruch ceską. Ramię zaczęło go boleć nie na żarty.

- Taaak - powiedział do Meehana. - Rozwiąż go.

Ten zrobił, co mu kazano, i po chwili ksiądz miał już wolne ręce. Rozwiązał Annę i zwrócił się z troską do Fallona:

- Jest pan ranny.

Fallon nie zareagował. Całą uwagę skupił na Meehanie.

- Bomba? - spytał. - Odbezpieczyłeś ją?

- Wypchaj się.

- Bomba? - zdziwił się ksiądz.

- Tak. Czy miał przy sobie jakąś torbę?

- Tam - ksiądz wskazał ręką, gdzie Meehan położył swój bagaż.

- W porządku - warknął Fallon. - Niech ksiądz zabiera się stąd razem z Anną. Uciekajcie. Od razu i jak najdalej. Bo jak to wybuchnie, to cały ten kościół się zawali.

Ksiądz da Costa nie czekał ani chwili, chwycił Annę za ramię i poprowadził ją ku windzie, lecz dziewczyna wyrwała mu się i krzyknęła do Fallona:

- Nie pójdziemy bez ciebie! Martin!

- W windzie jest miejsce tylko dla dwóch osób - odpowiedział spokojnie. - Bądź rozsądna.

Anna dotknęła ramienia Fallona, umazując sobie ręce krwią. Przynęła rękę do oczu, jakby chciała ją obejrzeć.

- O mój Boże - szepnęła. Ksiądz otoczył ją ramieniem.

- Pan jest ranny - powiedział.

- Niech ksiądz nie zwleka - powiedział.

Da Costa wszedł wraz z Anną do windy. Już zjeżdżając, krzyknął do Fallona:

- Zaraz wracam, Martin. Zaczekaj na mnie.

Głos jego pochłonęły ciemności, a Fallon uśmiechnął się i zwrócił do Meehana:

- Ty i ja. I kończymy sprawę. Kto by pomyślał, co? Razem pójdziemy do piekła.

- Jesteś obłąkany! - krzyknął Meehan. - Nie zamierzam tu czekać jak kto głupi. Nie chcę ginąć. Zaraz pozbędę się tej cholernej bomby.

Skierował się ku torbie, lecz Fallon jednoznacznym ruchem uniósł ceskę.

- Ja się na tym lepiej znam, pamiętasz? Teraz może wybuchnąć od najbliższego dotknięcia - zaśmiał się cicho. - Mam pomysł. Pozostawmy sprawę Bogu - jeśli winda wróci, przyskamy stąd. Jak nie...

- Skończony wariat... - jęknął Meehan.

- Tak na marginesie, to mam coś dla ciebie - powiedział Martin, wyjmując z kieszeni zmiętą kartkę papieru z czarną obwódką.

- Co to znowu, do jasnej cholery?

- Karta Wiecznego Odpoczynku. Tak to chyba nazwałeś. To Billy. Ma kwaterę numer 528 w Pine Trees.

- Łiesz! - krzyknął Meehan.

- Skądże - Fallon potrząsnął głową. - Zabiłem go wczoraj wieczorem, gdy usiłował zgwałcić Annę da Costa. Zawiozłem go do krematorium i spaliłem zgodnie ze wszelkimi regułami sztuki, tak jak mnie nauczyłeś. Ostatni raz, gdy go widziałem, miał postać pięciu funtów szarego popiołu. Rozrzuciłem go po mokrej trawie.

- Billy! - jęknął Meehan. Coś w nim pękło, lecz wyprostował się i mimo wycelowanej broni rzucił się głową naprzód na Fallona.

Fallon nacisnął spust - rozległ się głuchy stuk niewypału. Całym rozpędem Meehan wpadł na Irlandczyka, przyciskając go do drewnianej barierki, która poddała się z trzaskiem. Razem z paroma deskami Fallon runął w dół. Jego ciało odbiło się od brezentowej płachty, która przykrywała dziurę w dachu, zerwało ją i wpadło do środka.

Meehan obejrzał się błyskawicznie i sięgnął po torbę. W momencie, w którym chciał ją odrzucić w mrok, eksplodowała.

Ksiądz da Costa i Anna wyszli na ulicę i natknęli się na dwa nadjeżdżające pędem policyjne wozy. Z pierwszego wypadł Miller; z miejsca ku nim pobiegł. I wtedy właśnie bomba wybuchła.

Efekt był wprost niesamowity. Cały kościół zaczął się rozpadać. Działo się to jakby w zwolnionym tempie. Najpierw runęła wieża, potem stalowe podpory, następnie rusztowania, wreszcie dach.

Miller schwycił Annę za drugie ramię i wszyscy troje przebiegli na drugą stronę ulicy. Gdy dotarli już do samochodów, zwałił się na ziemię długi, ciężki słup podtrzymujący rusztowanie. Stojący za nimi mężczyźni przykucnęli odruchowo.

Ksiądz podniósł się pierwszy. Stał tak z zaciśniętymi pięściami i patrzył na zagładę swego kościoła. Kiedy opadł kurz, ujrzał, że stoją jedynie mury i schodki prowadzące do tylnych drzwi.

Z drugiego wozu wyszedł młody policjant z latarką. Da Costa odebrał mu ją bez słowa i zwrócił się do Millera:

- Idę tam.

- Czy ksiądz oszalał?

- Czy pan nie rozumie? Fallon był wewnątrz. To on nas uratował. Może żyje? Może jest ranny? Muszę to sprawdzić. To mój obowiązek.

- Fallon? - krzyknął Miller. - A więc to był Fallon! O mój Boże!

Ksiądz da Costa wspiął się na schodki i pchnął wypaczone drzwi. Wnętrze kościoła leżało w gruzach, a najbardziej zniszczona była część przylegająca do wieży i sama wieża.

Posuwał się powoli główną nawą, wodząc migotliwym światłem latarki po ruinach. Przestrzeń przed głównym ołtarzem obróciła się w jedno wielkie rumowisko - tu właśnie zapadła się wieża i duża część dachu.

Między zwałami gruzu utworzyło się coś na kształt tunelu. Ksiądz opadł na kolana i wczuł się w cień, usiłując rozpoznać drogę światłem latarki.

Znalazł go na końcu tego tunelu. Widać było jedynie głowę i górną część ramion, resztę zasłaniała figura Chrystusa wiszącego na krzyżu, która padając, osłoniła go w ostatniej chwili. Da Costa podczołgał się, jak mógł najbliżej. Wielki krzyż ugiął się pod ciężarem gruzów, pył sypał się na rannego jak zasłona dymna.

- Martin? Słyszysz mnie? - szepnął ksiądz. Tuż za nim pojawiła się postać Millera.

- Na litość boską szepnął. - Musimy stąd jak najszybciej wyjść. To wszystko może runąć w każdej chwili.

Ksiądz da Costa nie zwracał na niego uwagi.

- Martin!

Fallon otworzył oczy.

- Wyprowadziłeś Annę? - spytał słabo.

- Tak, Martin.

- To dobrze. Przepraszam, przepraszam za wszystko. - Krzyż obsunął się niżej; kamienie i odłamki cegieł sypały się na plecy księdza. Przysunął się, żeby osłonić głowę leżącego.

- Słyszysz mnie, Martin? - powtórzył. - Chciałbym, żebyś dokonał aktu skruchy. Powtarzaj za mną: Ojcze nasz, któryś jest...

- Och, mój Boże... - westchnął Martin Fallon i umilkł. Nastąpiła długa chwila ciszy. Zdawało się, że nawet cegły i kamienie zastygły w bezruchu. I nie wiedzieć czemu Miller poczuł, że nie ma tu dla niego miejsca, a scena ta nie jest przeznaczona dla jego oczu. Odwrócił się i wyczołgał na czworakach z tunelu.

A za nim, pod resztkami zapadającego się dachu, ksiądz da Costa, na kolanach, z głową zwieszoną na piersi, odmawiał modlitwę za duszę człowieka, który znany mu był jako Martin Fallon.